

P O W O J E N N I

HELENA MNISZEK

POWOJENNI

POWIEŚĆ.



POZNAŃ
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA
KAROLA RZEPECKIEGO
1929

TEJŻE AUTORKI.

Trędowata	wydanie piętnaste
Ordynat Michorowski	wydanie dwunaste
Gehenna	wydanie dziesiąte
Panicz	wydanie siódme
Pustelnik	wydanie czwarte
Verte	wydanie piąte
Królowa Gizella	wydanie trzecie
Dziedzictwo	wydanie drugie
Zaszumiały pióra	wydanie trzecie
Książęta boru	wydanie trzecie
Pluton i Persefona, baśń fantastyczna	
Kwiat Magnolji	
Prymicja	
Prawa ludzi	
Sfinks	

Światła elektryczne rzęsiłą kaskadą zalewały solidnie zastawiony stół, w dużej sali jadalnej, w ogromnym dworze, w Pochlebach.

Edward Zebrzydowski spożywał wieczerę z kolegą swoim, Karolem Kmietowiczem.

Urządzenie jadalni nie było świetne, lecz wytworne, powleczone patyną odległych lat.

Dębowe boazerje ścian i kasetony sufitu były stare zniszczone, tu i owdzie poodłupywane, przypylone przez czas. Meble także z dębu, kryte skórą powycieraną już i bez właściwego koloru. Posadzka ugiwała się, skrzypiąc pod naciskiem stóp. Kilkanaście portretów zdobiących ściany pokrywał pył szarawy, że były jakby za mgłą. Odczuwało się tu zaniedbanie kompletne i brak wszelkiej opieki. Meble zdawały się być wrośnięte w posadzkę i trwać na równi z nią od wieków. Za to postacie obu panów były już z najnowszej epoki, ale różniły się z sobą zasadniczo. Kmietowicz śniady brunet, nie wysoki, męzny w barach, o oczach czarnych, energicznych, miał w sobie wyraźne cechy zmysłowca i do pewnego stopnia epikurejczyka. Robił wrażenie jedyne go towarzysza do hulanki, smakosza i bibosza, lecz nie poświęcającego takim uciechom większości czasu ze swego życia, które miało inne cele i zasady. Edward Zebrzydowski przeciwnie, uważał, że świat był dla niego tylko stworzony i że on go dla siebie meblował dowolnie, jak wielki pałac. Każda część świata, każdy kraj i stolica były pokojem, przeznaczonym do innych zabaw i przyjemności. War Zebrzydowski wysoki, smukły i zgrabny, wybitnie rasowy szatyn, miał oczy ciemno-szare, pełne blasków. Cała postać wykwiłtna tchnęła zbytkiem i rozkoszą życia. Teraz jakby przygasła, miała w sobie rozleniwienie, graniczące z apatją i nudą.

HELENA MNISZEK

Zewnętrzna glazura tego światowca licowała dobrze ze zmęczonym wyrazem twarzy i nonszalancją ruchów. Patrzył ironicznie trochę, a trochę biernie na kolegę, który mówił:

— Zapewniam cię War, że wino przez ciebie rezonuje w tej chwili, ale nie ty sam. To są absurdy co opowiadasz.

W oczach Zebrzydowskiego błysnęły płomienie.

— Ty myślisz, Lolek, że jestem pijany? ... mylisz się najzupełniej. Powtarzam, że gdy mi Róża odmówi swej ręki jestem człowiek zgubiony. Wtedy żenię się z Nastusią i pal diabli wszystkie względy. Czasy, uważasz, nadeszły demokratyczne i praktyczne. Żeniąc się z Różą, złożę hołd praktyczności, a z Nastusią dowiodę, że umiem płynąć z falą. W jednym i w drugim wypadku musisz mi przyznać, że potrafię żyć w tej epoce powojennej.

— Ani jeden, ani drugi projekt nie dla ciebie. Wiesz co, pijmy na intencję jakiegoś trzeciego nieznanego jeszcze, który się wyłoni ... powiedzmy losu.

— Los, przestarzałe słowo. Los i fortuna to para zgrzybiałych starców dożywotników. Dziś nikt się na takie archaizmy nie bierze. Każdy sam sobie urabia życie, jak mu się podoba i jak kogo na co stać. Pawciu, wina! ... Cóż się tak na mnie gapisz, niedołęgo. Przynieś szampana, to najlepsze lekarstwo na medytację wszelkiego rodzaju, na refleksje, żale, smutki, kłopoty i tem podobne obrzydliwości Pfuj! Gorycz mam od tego w ustach. Pawciu, wal po szampana do piwnicy. Żywo!

Młody lokaj, faworyt, nie ruszył się z miejsca, stał jak mumia i tylko lekko kiwał głową, patrząc na swego pana.

Zebrzydowski irytował się.

— Ruszysz ty się, Pawciu, czy nie? ... bo widzisz, kochanie, dopóki grzecznie proszę, to radzę iść po szampana, a jak zjadę do piwnicy na twoim karku, to nie wiem, czy mnie utrzymasz. Słyszysz? Pawciu, Pawciuniu luby! Nie drażnij mnie, kotku, bo mnie już pasja chwyta, jeszcze chwila, a będzie źle ... zobaczysz chłopaczku ...

— Jaśnie panu nie wolno pić za dużo.

POWOJENNI

— Kto ci to powiedział, kochanie drogie?... Przynieś, przynieś i... ty się napijesz... Czasy widzisz nastąpiły demokratyczne. Nie powinieneś mnie wcale jaśniować, bo to nie modnie... Teraz każą się jaśniować tylko różne powojenne milionery... różne wysokie i mniej wysokie urzędniki, co na posadach udają magnatów. Prawdziwi magnaci i jaśnie panowie teraz, to zdechł pies!... Głupiś, Pawciu, że u mnie jeszcze służysz. Ale ponieważ służysz tymczasem, więc idź po szampana.

Zebrzydowski rzucił się na tył krzesła i ręce wyciągnął przed sobą na stole, kręcąc w palcach kieliszek i dzwoniąc nim o talerz.

— Ach, Lolek, jak mi dziś wesoło, nawet nie masz pojęcia. Jestem pewny, że mi Różyczka Krongoldówna nie odmówi swej łapki, w której dzierży miliony. Wtedy jestem uratowany... W podróż poślubną trzeba się będzie naturalnie ciągnąć z madame Zebrzydowską née Krongold, obowiązek poniekąd, że tak powiem dyplomatyczny. Ale potem sam czmychnę w świat!... To dopiero będzie prawdziwe zwycięstwo nad zmorą obecną. Nic mi, widzisz, nie pozostało innego nad karierę!...

— A jeśli panna Róża nie tylko twego nazwiska żądać będzie, lecz i... serca?...

— Eee, taką znowu wymagającą nie jest.

— A jeśli będzie?...

— To jej zełgam, że ją kocham. Wielkie rzeczy!... Dziś słowo kocham wypada z ust tak samo łatwo, jak dym z papierosa i tak samo się rozwiewa bez śladu. Słowo to z sercem obecnie niema nic wspólnego, dwa różne pojęcia. Słowo kocham, to teraz bardzo tania waluta, bez wartości istotnej... a serce to także już bankrut beznadziejny...

— Czy i twoje War? To serce, któreś na balu w Re-sursie, w Warszawie ofiarował, jakoby raz na zawsze, pani Teresie Pobożynie?

— Ba, ba i dotąd go jej nie odebrałem, ale to co innego. To był luksus z czasów przedwojennych. Karnawał 1913 roku. Siódmy rok dobiega i jeszcze ten luksus trwa.

HELENA MNISZEK

Ale co mi z tego?... Co mi to uczucie dało?... Sumę gorzkich zawodów i świadomość upokarzającą, żem się rznął łbem o mur chiński, jakim jest nietykalność pani Teresy.

— Powiedz lepiej miłość jej dla męża. Niezłomność jej moralności okazałaby się dopiero wtedy miarodajną, gdyby była zawiedziona mężatką. Że zaś jest przeciwnie... Ot i Pawcio!... i Mumek extra-dry w lodku. Brawo! Brawo!...

Oczy Kmietowicza zaiskrzyły się zadowoleniem.

Otworzona butelka wprawna ręką Pawcia strzeliła szlachetnym odgłosem szlachetnego trunku. Zapieniły się kielichy. Kmietowicz wznosił puhar do góry.

— Twoje zdrowie, War!... Oby twoje zbankrutowane serce znalazło jeszcze...

— Dożywocie przy milionach panny Krongold.

— Fe! wstydz się! Bluźnisz!... Oby znalazło swój odwet.

— W sercu pani Teresy?... Och... Kłapa, mój drogi! Ona jest *uniwira*, a Pobóg to czarownik.

— Nie dajesz mi skończyć, War. Chciałem powiedzieć, żeby znalazło odwet w sercu jakiej niewiasty, podobnej do pani Teresy, ale wolnej, do której wypowiedziane słowo *kocham* nie byłoby czczym dymem.

— No, to taka znajdzie sobie drugiego Poboga i zbuduje dokoła siebie chiński mur wierności dla niego. Nie, nie! ja pasuję tylko do panny Róży i do jej milionów. Nalewaj, Pawciu! co tam mruczysz pod nosem? Morały skieruj do siebie, bo przyzwoity sługa milczy, gdy służy. Zatraciłeś swój europejski styl, zbolszewiczałeś, kotku! Powiadaj zaraz co tam mruczysz?...

— Jaśnie pan sam na siebie bicz kręci — rzekł kamerdyner, załamując ręce.

— A ty może wolisz, żebym na ciebie ukręcił? Zgodaj!

— Jaśnie pan chory na serce...

— Tiens, znowu serce! Psiakrew...

— I... zrujnowany można powiedzieć, a szampan tak co dzień...

POWOJENNI

— Czy ja się sam zrujnowałem, żebym okazywał skruchę?... Nalewaj, Pawciuniu luby... o tak!... zdrowie twoje Loll!... Hej, Pawciu, dolewaj!... Oool!... tak! Wybornie!... Zuch z ciebie, dobrze zamroziłeś!... Teraz czyje zdrowie?... Dolewaj, Pawciu!... dolewaj!... Mniejsza czyje zdrowie, aby pić!... niech będzie moje zdrowie. Do pełna!... doskonale!!... Zdrowie Wara Zebrzydowskiego na skromnych Pochlebach! Tylko na Pochlebach!... Mój Boże!... Ale pij jednym tchem. O... tak!..

Znowu wyciągnął kielich do kamerdynera.

— Dolewaj! — wrzasnął.

— Dalibóg, dosyć! Jaśnie pan z krzesła spadnie.

— Ty dostaniesz krzesłem po łbie!... Lej!... Dużo tam jeszcze w piwnicy tego nektaru?

— Wystarczy do śmierci jaśnie pana, jak tak będzie co dzień.

— A ty błaznie jeden! to tembardziej będę wypijał. Nie chcę zostawiać Krongoldom Zebrzydowskiego wina.

— Za to zgadzasz się zostawić im Zebrzydowskiego, zrodzonego z Krongoldówny — sentencjonalnie rzekł Kmietowicz.

— Ot, to święte słowa jaśnie pana! Ot to właśnie, ot to!...

— Milcz ty! — krzyknął War na kamerdynera — Lolek! czemu nie pijesz do dna?... To wino samo płynie w gardło. Trzeba je umieć pić... Dolewaj!...

Nagle rzekł innym tonem kapryśnym i wdzięcznym:

— Pawciu, daj drugą butelkę... daj gołąbku!... nie krzyw mordy, bo ci z tem nie do twarzy. Przyniosłeś pewno kilka butelek... Ruszaj po tę drugą. W nagrodę wypijesz i ty z nami zdrowie twojej przyszłej pani, a mojej żony... Róży Zebrzydowskiej... słyszysz?... Dawaj nową butelkę!

— Nie dam, choćby mnie jaśnie pan zabił! nie dam!

— Nie dasz, skowroneczku, nie dasz? — mówił Edward pijany już zupełnie ze złowrogą miną.

HELENA MNISZEK

— War, daj spokój — mitygował przyjaciela Kmiewowicz. — Onegdaj wypiliśmy trzy butelki, wczoraj dwie, stanowczo za dużo. On ma rację...

— Ma rację?... a no, to zobaczymy, kto ma rację, ja, czy sam Pawik — cedził War przez zęby. — Powiedz mi, Pawciu, ale mów prawdę, bo w pysk!... Cobyś wolał, czy żebym zginął po pańsku, bodaj zalany szampanem, czy żebym biedę klepał jak każdy obdarty przez bolszewików safandula? Co? No, mówże, a prędko!...

— Co mam mówić, kiedy jaśnie pan taki...

— Jaki?... — nasroził się Edward.

— Prędki... Ja tobym wolał zupełnie coś trzeciego.

— Trzeciego? a to ciekawe... Mów...

— Żeby jaśnie pan był taki sam, jak przed wojną. Wtedy jaśnie pan głową rządził jak się patrzy... po pańsku... A teraz?...

Faworyt machnął ręką ze zniechęceniem. Edward zatoczył się ze śmiechu na krześle.

— Ha, ha, ha! On jest paradny ten kochany Pawcio!... Słyszałeś Lolek?... Byłem mądry, rządziłem głową po pańsku. Czemużeś ośle nie dodał, że miałem wtedy wielkie majątki... których teraz nie mam... Ha, ha, ha!... Nie!... Pawcio jest rozbrajający!...

Nagle przestał się śmiać i mówił ze sztuczną powagą:

— Och, zmieniłem się, mówisz... no, to nic dziwnego choćbym się nawet zmienił... Cały świat jest inny, niż był przed wojną. Państwa się pozmiaśniały, monarsze korony pozlatywały, ludzie są inni, inne prawa, inna etyka, inne kobiety... Chociaż ktoś tam powiedział, że kobiety zawsze takie same, ale zełgał, teraz są inne!... a on chce żebym ja był taki sam? Zwarjował Pawcio, jak Boga kocham!... Widzisz, kochanie, i ty jesteś nawet inny niż byłeś, bo dawniej ja tobie nauki dawałem, a teraz ty mnie... Co?... Jak ci się to podoba?... Świat się do góry nogami wywrócił, uważasz, więc i ludzie na nim fiknęli kozła zdrowego i ci, co byli niżej, stanęli teraz na głowach tym, co byli wyżej. Zrobiła się wieża Babel!... Zmieszali się ludziska jak groch w kotle. Wszystko się

POWOJENNI

zmieniło!... Czy to tylko ja, Zebrzydowski, mam stać na nogach normalnie z głową w porządku i na swoim miejscu?...

Nagle palnął pięścią w stół z pasją.

— Ja płynę z falą! Jak wszyscy to wszyscy!

Zerwał się z krzesła. Lokaj cofnął się przezornie w tył.

— Chodź, Lolek! — zawołał Zebrzydowski — kolacja skończona, wino wypite, a na tego cymbała nie mam ochoty dłużej patrzeć, bo... bo... mógłbym niespodziewanie wrócić do dawnego siebie i Pawcia trochę pomoralizować... Zresztą, szampan mi zbrzydł... Świństwo!...

Uklonił się Kmiotowiczowi trochę chwiejnie i ruszył do drzwi. Kmiotowicz podążył za nim. Za progiem, w małym gabinecie, Edward włożył rękę pod ramię przyjaciela i rzekł do niego poufnie:

— Jutro jadę do Warszawy, a za kilka dni będę narzeczonym Krongoldówny.

— Jedźmy do Warszawy — rzekł Kmiotowicz — ale tylko w celu wybadania, czy Derbyszcze i Hłowatyn beznadziejnie przepadły.

— No, przecie są poza linią demarkacyjną, więc to chyba wystarczy za odpowiedź. Najpierw pewno w gruzach, zrujnowane tak, że, jak to mówią, rodzona matka by ich nie poznała, a w dodatku i najgłówniej, że gdy są w ich ręku, tedy już dla mnie stracone.

Nagle uderzył się dłonią w czoło.

— Wiem! pojedę do Uchania. Doskonały pretekst! Rozpytam Poboga o stan Kraża, który jest po naszej stronie i wogóle o tamte obecne stosunki kresowe.

— Ależ War!...

— Tak, Lolku, jadę do Pobogów.

— Czy do Pobożyny?

— Może być!...

— Ej, War, tracisz głowę, zresztą dziś niema o niej mowy. Jutro wytrzeźwiejesz i uznasz projekt za niewczesny. Dobranoc ci!

— Dobranoc!

HELENA MNISZEK

Dwaj przyjaciele rozeszli się. Edward upadł na łóżko w ubraniu i bezmyślnie długą chwilę patrzył w sufit. Cisnął przez zęby przekleństwo, poczem wyjął z portfela dwie fotografie. Jedna przedstawiała wyborną podobiznę pani Teresy Pobożyny, z domu Orliczówny, druga była to sylwetka eleganckiej panny, brunetki bardzo przystojnej, nieco wyzywającej w pozie i w wyrazie twarzy. Zebrzydowski patrzył długo na obie, wreszcie szepnął do pani Teresy:

— Aha! uśmiechasz się jakby ironicznie, tego dawniej nie bywało! Owszem, śmieję się... masz męża, który cię widocznie zahypnotyzował i mur chiński rozciągnął dokoła ciebie... Masz dzieci... no, tego ci nie zazdroszczę!... A ja?... a ja?...

Fotografię pani Teresy schował znowu starannie do portfela i patrzył teraz na drugą podobiznę.

— Róża Saronu!... Moja przyszłość?... Cudownie! Dziady, pradziady i wszystkie prababki poprzewracają się w grobach... Wywołają trzęsienie ziemi... Jak Boga Kocham! Róża Saronu!... Karjera!... Partja!... No, aby nie to ostatnie..... Phi!... miliony nazwisk nie mają. Krongoldówna będzie Zebrzydowską i miliony znajdą się w kieszeni Zebrzydowskiego. O ile papa Krongold okaże się hojnym... — dodał po krótkim namyśle i naraz zachnął się.

— Jeszczeby nie? Za Zebrzydowskiego trzeba słono płacić, kopalni mało!... Płacić??...

Rzucił fotografię na dywan, chwycił się za głowę i wołał cichym jęczącym głosem:

— Jestem bestja, bestja, bestja!...

Po godzinie ciężkich medytacji, Edward rozebrał się wolno, powtarzając z jakąś rozdzierającą satysfakcją:

— Jestem bestja!

Drzemał już odurzony, gdy wsunął się do sypialni kamerdyner-faworyt. Zabierając ubranie swego pana, lokaj sprawiał się cicho, lecz Edward ocknął się z półsnu. Spojrzał błędnie i rzekł sennym głosem:

POWOJENNI

— Pawciu... pozbieraj na dywanie... rzuciłem tam miliony. Pozbieraj, Pawciu, i schowaj... To droga rzecz!...

Zdziwiony lokaj podniósł fotografię. Spojrzał, poznał. Pokiwał głową żałośnie.

— Pozbierałeś, Pawciu?...

— Pozbierałem — odrzekł głucho kamerdyner.

Edward Zebrzydowski wstał bardzo rano i wyszedł z domu bez śniadania. Powalał się po parku sennie, gdyż nie czuł się wypoczętym. Znudził go park, wyszedł na pole i błądził bez celu, po pustych drogach i miedzach znużony, ziewający. Nie interesowały go ładnie zazielenione oziminy, które już teraz w listopadzie zapowiadały obfity plon na rok przyszły. Zdaleka ujrzał pługi orzące pod jarzyną. Kilka par koni doborowych ciągnęło błyszczące lechy, skiby tłustej ziemi odwalały się posłusznie, cięte dwuskibowcami. W dalszej perspektywie to samo, znowu oracze na innem polu, a nad nimi rozkrakane stada wron, rzucające się chciwie na żer z wyrzuconych przez ziemię pędraków. Cisza na polach była jesienna, przerywana głosami wron i od czasu do czasu wołaniem fernali na konie.

Zebrzydowski mijał piękny łąn rzepaku, równego jak dywan pluszowy, zielonego jak szmaragd. Hen, daleko rozciągał się ten zielony kobierzec, nęcący oczy wiosenną barwą, ale Zebrzydowskiego nie ucieszył. Właściciel Pochlebów wzruszał ramionami i zżymał się na otaczające go widoki zamożności gospodarczej.

— Co mi tam rzepak, albo łąny ozimin! — myślał z goryczą. — Pochleby!... Boże zmiłuj się! Sześćdziesiąt włók, to mi dopiero fortuna dla Zebrzydowskiego!... Co ja będę robił na tych sześćdziesięciu włókach?.. Co za ironja, żeby mi akurat tylko Pochleby zostały, na urągowisko, czy ki djabeł?... — gniewał się w duchu były pan na Derbyszczech i Hłowatynie...

War Zebrzydowski trzepnął szpicrutą po gałęziach stojącej przy drodze wierzby, aż grad liści pożółkłych spadł obficie z suchym szelestem, obsypując mu ramiona. Edward wstrząsnął się. Ten laskotliwy dotyk jesiennych liści wydał mu się garścią piasku rzuconego w oczy przez jego zły los.

POWOJENNI

Zaklął przez zęby i szedł w głąb pól, patrząc dokoła biernym wzrokiem. Rozmyślał: Miał trzydzieści dwa lata, czuł się w pełni sił żywotnych, pragnień, fantazji, a oto obuch wojny zmiażdżył doszczętnie główny skarbiec jego fortuny, jej serce. Derbyszcze, Hłowatyn, dwa olbrzymie klucze na kresach, które od dzieciństwa były źródłem jego zbytków i bez których nie rozumiał siebie, tak samo, jak nie pojmowałby siebie z innym nazwiskiem. On mógł nazywać się tylko Zebrzydowskim! Zebrzydowski na Derbyszczach i Hłowatynie, to już było wystarczające, by iść przez życie z podniesioną głową i rządzić się własną fantazją... A teraz?... Zebrzydowski na Pochlebach?... Ach, nawet nie można używać takiego terminu, by nie narazić się na śmieszność... Najwyżej może być Zebrzydowski z Pochlebów, tak samo, jak każdy Dziubdziński z Kopytków, albo Kapuściński z Dziurek... Pochleby mogły być dla Zebrzydowskiego małą kieszonką na drobne, lecz nigdy jego kasą główną i jedyną. War nie umiał sobie z tego zdać sprawy... powtarzał to sobie codziennie od czasu jak wrócił z frontu, po inwazji bolszewickiej, od czasu, gdy Derbyszcze i Hłowatyn zostały poza linią demarkacyjną, zdevastowane i stracone dla niego. Czasem zdawało mu się, że to sen piekielny, zła mara jakaś, która się rozwieje, ukazując dawną rzeczywistość i świetność. Ale mara się nie rozwiała, to nie był sen, to była właśnie rzeczywistość, nie mająca nic wspólnego ze świetnością. Jakże on teraz będzie żył, na tym lewym brzegu Wisły, na tych sześćdziesięciowłókowych Pochlebach... O, ironjo!... Właśnie Pochleby nietknięte były przez wojnę, zaledwo je tam trochę nadszarpnęła rekwizycja. Noga bolszewicka w nich nie powstała i są nadal tem samym pięknem, jak je nazywają złotem jabłkiem okolicy.

War zaśmiał się z sarkazmem i zgrzytnął zębami. Pomimo, że rodzina jego pochodziła właśnie z Pochlebów, War nie czuł się wcale koroniarzem, lecz kresowiakiem. Derbyszcze i Hłowatyn były to posagowe majątki jego matki, hrabianki Mohyńskiej. War urodził się w Hłowatynie i tamte strony uważał za swoje rodzinne. Zresztą

HELENA MNISZEK

stroną rodzinną był dla niego cały świat, po którym kręcił się dowolnie, zależny tylko od własnej fantazji. Był jedynakiem, matka jego stale prawie mieszkała w Wiedniu. War się tam kształcił, tylko na wakacje letnie przyjeżdżał na kresy i na święta Bożego Narodzenia. Wtedy odbywały się wspaniałe i głośnie polowania, na które zjeżdżała arystokracja z całego świata. Trwały festyny i bale. Zebrzydowscy przyjmowali gości po królewsku, a młodociany War ze swoimi profesorami bawił się także. Strzelał dzielnie do łosi, dzików, jeleni, bywał na obławach na niedźwiedzie i na wilki, a podczas balów i maskarad wprawiał się w salonowy sport flirtu. Podpatrywał swoich mentorów i za ich przykładem miewał sam różne perypetje erotyczne. Wcześniej nabył, jak się wyrażał — treningu — w tych sprawach, ale bywał wybredny. Dla swojego corps pedagogique podsuwał mniejsze stawki, większe zaś i ponętniejsze walory zachowując dla siebie. Ale, że był zawsze gentlemański i jako towarzysz jedyny, znający się na dyskrecji, a hojny, przeto posiadał wielką miłość swych mentorów, z którymi był w najlepszym koleżeństwie. Pedagogów miał czterech: polaka, ze względów patriotycznych, francuza dla europejskiej ogłady i języka, włocho, mistrza sztuk pięknych, dla nauki stylów i muzyki, oraz niemca do fechtunku. Była przez jakiś czas i angielfka, lecz ta, zwana „zimną Brytanią“ okazała się nieczułą na zakusy czterech przedstawicieli kontynentu europejskiego i wypowiedziała im wojnę formalną. W wojnie tej zwyciężyła wprawdzie moralnie, lecz została za to ukarana „systemem kontynentalnym“, jak nazwali bojkot całej piątki męskiej. Bojkot był uciążliwy i tak jej dokuczył, że uciekła za morza i kanały, byle jaknajdalej od tej wrogiej koalicji.

Pod opieką czterech takich międzynarodowych nauczycieli, War Zebrzydowski rósł jak młody sokół, wespół z jastrzębiami, w złotej klatce, bardzo obszernej, ale dla niego za ciasnej i dusznej. Wkrótce też rozsadził ją swoją szeroką naturą i rozwinął do lotu skrzydła w całej organicznej mocy. Z początku hamował go trochę ojciec, którego War kochał nietylko za imponującą postawę wiel-

POWOJENNI

kiego pana, umiejącego godnie nosić swoją purpurę, ale i za bezprzykładną odwagę. Raz bowiem Jędrzej Zebrzydowski w oczach swego jedynaka zakłócił kordelasem niedźwiedzicę rozzartą, w momencie, gdy bestja chwytła go już w śmiertelne objęcia. War wiedział, że nikt tak nie polował, nikt tak nie prowadził gospodarstwa, jak Jędrzej Zebrzydowski, ale i nikt tak się bawić nie potrafił, jak on, nikt nie miał tak szerokiej ręki dla gości jak on, a tak ciężkiej i twardej dla swoich podwładnych. No, i nikt nie potrafiłby tak kochać hrabianki Beaty Mohyńskiej i zrodzonego z niej jedynaka, jak właśnie Jędrzej Zebrzydowski, który patrzył na żonę przez przekrój stubarwnej tęczy, będącej niczem innym jak „skroploną perfumą na przyzmacie jego zaślepienia“, jak mówił stryjeczny brat pani Jędrzejowej, hrabia August Mohyński... Mówił to raz przy Warze i War nie oburzył się za to, nie ujął się za matką. Przeciwnie sam zaczął wkrótce lekceważyć matkę i wszystkie kobiety. Gdy był już pełnoletnim, studjował prawo w Cambridge, politykę w Bernie, rolnictwo w Halli, zależnie od kaprysu i od tego, gdzie sobie dobrał weselszą kompanję i ładniejsze kobiety. Po śmierci ojca poczuł coś w rodzaju pustki dokoła siebie... zabrakło mu jakiejś jakby podpory realnej i było mu na razie dziwnie. Oto nie miał już kogo szanować, nikt mu nie imponował. Ujrzał lukę przed sobą, za sobą i zrozumiał, że teraz on jest panem położenia, ale że mu zarazem wtłaczają do rąk klucze od skarbca, z którego on czerpał zawsze, lecz nie wiedział, jak się ów skarbiec otwiera. Teraz musiał poznać owe tajniki dotąd obojętne i nieciekawe. Matka jego po owdowieniu zamieszkiwała stale w Wiedniu, żyjąc wyłącznie z procentów od kapitałów, ulokowanych w bankach zagranicznych i polskich. Z procentów korzystał także i Edward, ale po zgonie ojca zaczął czerpać bez miary z kapitałów; i z kasy kresowych dochodów. Główny plenipotent tamtych majątków zmuszony był wyzyskiwać je nadmiernie, byle tylko wystarczyć na potrzeby młodego milionera, który miał szeroki rzut ręki i jeszcze szerszą fantazję. Zwracał czasem Edward Zebrzydowski czujne

HELENA MNISZEK

oko i na swoje majątki, przejawiając dużo sprytu w prowadzeniu interesów. Wyzyskiwał swoje dobra, lecz ulepszał je również, zaprowadzał w fabrykach różne korzystne inowacje, dbał o rolnictwo. Plenipotent przyznawał mu pewne zdolności administracyjne, które ginęły w bezmiarze fantastycznych pomysłów i w zupełnym braku wytrwałości.

War był chimeryczny, jak przenerwowana kobieta. Często najlepsze projekty, utylitarnie doniosłe dla majątków, które plenipotent starał się ustalić, upadały nagle, bo Wara uniosła raptem fantazja w innym kierunku, a pieniądze przeznaczone na cel poważny szły na podróże, lub na filantropję, najczęściej źle pojętą, o ile nie na jakiś wyskok zupełnie dziwaczny. War należał do typu ludzi nieobliczalnych, którzy powodują się chwilowym porywem gaszącym często najlepsze intencje. W okolicy Hłowatyna i Derbyszcz War uchodził za lekkoducha. Ceniono jego dobre serce, hojność i serdeczność w stosunkach z ludźmi. Był uprzejmy, uczynny, miał humor i pogodę. Potrafił bezwiednie zjednywać sobie ludzi. Nikt nie wątpił, że ten miły szalawiła utrzyma jednak majątki swoje, nie roztrwoni fortuny magnackiej, powiększonej jeszcze przez ojca, który słynął za cudotwórcę w tym zakresie. Ale Jędrzej Zebrzydowski był oszczędny, War rozrzutny, ojciec pozytywista i rachunkowy pedant, War fantasta. Dbał o majątki, wprowadzał ulepszenia nie dla zdobycia większych pieniędzy, lecz dlatego, że lubił wspaniały moderunek i wystawę swoich majątków. Jego ambicja popychała go ku najwyższym postulatom osiągnięcia doskonałości w swych dobrach, lecz nie posiadał w sobie ani odrobiny zamiłowania do wytrwałej i systematycznej pracy cechującej jego ojca. Prócz tego Jędrzej Zebrzydowski poza Wiedniem, Warszawą i Petersburgiem nigdzie nie jeździł, nie lubiąc obcych krajów. War zaś fruwał po całym świecie. Nie ciągnęła go tylko Ameryka, tam nie był. Natomiast Afrykę zwiedzał parokrotnie, znał południową Azję, Japonję, Indje, wszędzie bawił krótko, zwiedzał, polował, albo się bawił. Europę znał całą. Gdy go

POWOJENNI

podróże znudziły wracał do kraju. Ale często bywało tak, że wróciwszy jednego dnia z podróży do Rzymu, już na drugi dzień pragnął jechać do Londynu, lub Sztokholmu. Nierozpakowane kufry zabierał kamerdyner na nowo do auta i wiozł je na kolej. Z Londynu czy Sztokholmu raptem przyszła Warowi ochota znaleźć się w Kairze. Jechał, do Kairu, potem do Warszawy, do Petersburga, do Madrytu, Aten, Konstantynopola, czy do Tokio. Gdy napadł go taki szal podróży, wówczas „Pawcio“ zwykł mówić, wzruszając ramionami:

— Tylko czekać, kiedy jaśnie pan każe mi kupić bilet na księżyc, jeśli gdzie przedtem nie skręcimy karku.

Czasem znowu War, jak się sam wyrażał, rozsądniał, wtedy siedział dłużej na jednym miejscu. O ile to było zagranicą, coś studjował, szperał w bibliotekach, zwiedzał poważne instytucje naukowe; o ile zdarzyło się to na kresach, wówczas korzystały na tem Hłowatyn i Derbyszcze w całej pełni. W Hłowatynie Edward rozszerzył i upiększył park i palmiarnię wspaniałą. W parku dość bogaty zwierzyniec, w pałacu akwarjum, było jego dziełem. Wtedy także plenipotent korzystał z obecności i usposobienia Zebrzydowskiego, by majątki otrzymały jaknajwięcej meljoracji, fabryki remontów, gospodarstwo kultury. War pełen pomysłów własnych zapalał się do nich i wprowadzał je w czyn, nie żałując wkładów. Pasjonował się do koni. Stajnie urządzone świetnie, ciągle udoskonalał. Konno zwiedzał z kolegami, których miał zawsze pełno u siebie, najdalsze okolice kresów, albo jeździł po staroświecku rozstawnemi końmi, lub autem sam kierując motorem. Był czynny, intensywny w swych zajęciach. Gdy go napadła chwilowa nuda, wypływał łodzią na jezioro Hłowatyńskie, by ukołysać się falą. Mówił wtedy, że mu „drujko“ na duszy, w rzeczywistości była to nieokreślona tęsknota fantasty, jakieś uczucie zbliżone do melancholji, smętne i niczem niedające się zaspokoić. W takich razach War najczęściej uciekał do lasów. W Derbyszczach wałęsał się po tamtejszych puszczech-kniejach, nieprzebytych matecznikach, ze starym Pawikiem, gajowym, ojcem swe-

HELENA MNISZEK

go kamerdynera, który uczył jeszcze strzelać hrabiego Augusta Mohyńskiego, a potem małego Wara. Na takich wycieczkach Edward koczował w puszczy, karmił się zwierzyną, sypiał w szałasie z chróstu dla różności, gdy go znudziły wygodne leśniczówki. Potem nagły przypływ fantazji rzucał go znowu do pierwszej stacji kolejowej i War prosto z szałasu w puszczy, pędził gdzieś w świat. Bywało i tak, że Edward w Lizbonie, w Marsylji albo w Hłowatynie nagle z miną melancholijną powiedział sobie: „Muszę jechać do Krakowa do cioci „kalendarz“, tak nazywał hrabinę Oktawję Mohyńską, żonę hrabiego Augusta, zwaną „Oktawą“ z powodu swej tuszy.

— Niech mi ciocia przypomni ile mam lat i że się powinienem ustatkować.

W Krakowie nacieszył się ciocią „kalendarzem“, która nie tylko po raz setny wypowiedziała mu datę jego urodzin, postarzając go zawsze, ale i zdradzała mu lata wszystkich znajomych panien i mężatek. Często War łapał hrabinę Oktawę za rękę i wołał tragicznie:

— Ciocia z arytmetyki życiowej uznaje tylko dodawanie. Ciocia nie była przy urodzeniu Mimi, a ja wiem, że ona jest o wiele młodsza.

Hrabina Mohyńska oburzała się wielce.

— Nieprawda! napewno ma teraz dwadzieścia dziewięć lat, co mi tu będziesz opowiadał!...

— A ja wiem, że najwyżej ma dwadzieścia cztery, bo za parę miesięcy będzie solennie obchodzone srebrne wesela małżeństwa jej rodziców, na które jestem zaproszony.

— To było dużo przedtem — krzyczała w zapale nieustępująca ciocia „kalendarz“.

— Na cztery lata przed ślubem? ... ciociu gwałtu! ... Matka Mimi jeszcze z klasztornej ławy poszła do ołtarza... Moja mama mówi, że miała szesnaście lat.

— Twoja mama nie pamięta nawet, kiedy się sama urodziła!...

— A ciocia pamięta swoje urodziny?

— Ja? ... wybornie! ... Cóż to sobie myślisz! ...

POWOJENNI

War robił wtedy uroczystą minę.

— Cioteczko, proszę opowiedz mi ten fakt ze szczegółami. To ogromnie ciekawe, pamiętać własne przyjście na świat, fenomenalne! Widocznie ludzie z tak odległej epoki jak ciocia, obdarzeni są lepszą pamięcią niż dzisiejsi...

Dostawał wtedy piorunujący wzrok cioci i jakiś epitet francuski. Ale wystarczyło, by War na przeprosimy spytał znowu o czyjeś tam lata i ciocia „kalendarz“ na nowo wpadała w swoją manję nieuleczalną.

Pomimo morałów cioci, że War za dużo wydaje i pomimo narzekań plenipotenta, Edward nie przestawał rozsiewać pieniędzy po całym świecie. Niespokojny duch jego nosił go z miejsca na miejsce, jak pióro lekkie, wiecznie poddane podmuchom własnej chimery. Żenić się, War ani myślał, wszelkie swaty matki, cioci Oktawy i stryja Augusta zbywał śmiechem, wszystkie kobiety lubił jak zabawki, nazywając je „figurynkami“, którymi ozdabiał swoje chwile nudy, jak serwantkę antyczną w swoim gabinecie. Miał u siebie pakę fotografii, drugą listów miłosnych, jak Don Juan. List raz przeczytany szedł do paki, fotografia, o ile przedstawiała bardzo piękną osobę szła do portfela na pewien okres, potem zastępowała ją druga, potem obie znajdowały się w pace i War więcej się o nie nie troszczył. Aż oto w karnawale 1913 roku, w Warszawie, na balu, Edward Zebrzydowski poznał Teresę Pobożną, żonę Romana Poboga, właściciela Krąża, położonego również na kresach, w innych stronach niż Derbyszcze i Hłowatyn. Zebrzydowski słyszał dużo o tym Krążu i znał jego historję. Wiedział, że pani Teresa, z domu Orliczówna, była wnuczką Hradec-Hradeckiego, którą to znowu dawniejszą historję znał wybornie dziadek jego, stary hrabia Mohyński. Obie te historje skupione na osobie pani Teresy, zaciekały Wara, gdy zaś dowiedział się, że Pobogowie należą do wyjątkowych małżeństw, pominąwszy wzgląd, że pobrali się za ledwo przed rokiem, War uczuł nieprzeparte pragnienie wypróbowania swoich zdolności uwodzicielskich. Wybrał się do Restursy

HELENA MNISZEK

z gotowym planem. Poznał się z panią Teresą i po odtańczeniu z nią mazura, stał się już jej satelitą. Asystował jej nieodstępnie. Zebrzydowski stwierdził odrazu, że zamiary jego będą bardzo trudne do osiągnięcia, gdyż Pobóg, nawet jako „tylko mąż“, był rywalem niebezpiecznym. Lecz to pobudziło Wara do uporczywszej akcji i w oczach jego dodało jeszcze uroku pani Teresie. Ale wszelkie jego zabiegi i wypróbowane sposoby zdobywcze, chybiły. War znalazł się w sytuacji beznadziejnej. Popadł w melancholję, gdyż jak sam mówił, pani Teresa „wzięła go“, on zaś ani myślał dać za wygraną. „Muszę przeczekać okres tego fatalnego — *za* — myślał z gniewem. „*Zakochana*“ żona jest stokroć trudniejsza do zdobycia niż „zakochany“ mąż nawet. Ale gdy owe *za* osłabnie i zostanie tylko „kocha męża“, wtedy zobaczymy!...“ Takt Tereni, jej sposób bawienia się, jej odnoszenie się do Wara było tego rodzaju, że nietylko Zebrzydowski nigdy cienia nadziei nie osiągnął, lecz i Roman, wierzący żonie bezwzględnie, tak jak tylko mężczyzna, bardzo kochający i pewny uczucia żony, może wierzyć, nie odpychał Wara. Nie było między obu mężczyznami scen żadnych, przeciwnie łączyła ich przyjaźń towarzyska raczej, ale zupełnie poprawna i swobodna, nie dająca ludziom wątku do plotek i przypuszczeń krzywdzących Terenię. Stosunek taki ułatwił im obcowanie z sobą, więc nawet razem podróżowali. War przyjeżdżał do Kręza na polowania. Pobogowie jeździli do Hłowatyna. Zebrzydowski był na balu w Uchaniach. Jednakże on mniej się czuł swobodnym wobec Poboga, niż Pobóg wobec niego. Drażniło to zepsutego życiem i powodzeniem panicza, że Pobóg nic sobie z niego nie robi, traktując go po przyjacielsku. Imponował mu tem wielce, ale gniewał jednocześnie, bo tem samem utwierdzał go w smutnem przekonaniu, że Teresa jest niezdobyta, że on przy Pobogu nie istnieje dla niej, jako mężczyzna pożądany. I że nietylko on to odczuwa, lecz i Pobóg, a wiedząc o potędze swego uroku, spokojny jest o zakusy Wara względem swej żony. Ta świadomość oburzała Wara i podniecała go niesłychanie. Fakt po-

POWOJENNI

został faktem, że on, War Zebrzydowski, znany i sławny w zakresie zdobywania serc niewieścich, tutaj, gdzie sam złożył swe uczucia, trafił na męża, w dodatku niezwyciężonego. Gdy zwierzał to Tereni z goryczą, ona, która na żadne zwierzenia wogóle nigdy nie pozwalała, wtedy jednak śmiała się swobodnie i radziła mu przyjaźnie, z całego serca, (czuł to także z bolesnym zgrzytem w duszy), aby stłumił w sobie uczucia, dla tak niewdzięcznej istoty i skierował je w inną stronę, gdzie nie będzie zwycięskiego rywala w mężu. Ale War nie obiecywał iść za jej radą. Czekał cierpliwie, nie przestając otaczać pani Teresy swoją adoracją. Uwielbienie jego i różne manewry nie zdołały nigdy wyłamać jednej cegielki z potężnego gmachu obopólnej miłości Pobogów. Nie skierowały na niego ani razu takiego spojrzenia pani Teresy, o jakim marzył. Odplacała mu się serdeczną przyjaźnią, ale nic więcej nigdy nie osiągnął i wreszcie stracił nadzieję. Nie podając uczuć swoich żadnej krytyce, czuł, że nie tylko jest w Pobożynie ustawicznie zakochany, ale że ją kocha, że ona jest jedyną kobietą, nie wyłączając własnej matki, którą może szanować i która wywiera na nim wpływ tak szalony, że sam siebie przy niej nie poznawał. Wojna zaskoczyła Zebrzydowskiego, gdy podróżował po Szwajcarii, zwiedzając dla sportu, autem znajome kantony, wespół z kolegą z Cambridge, Karolem Kmietowiczem. War podążył natychmiast do Wiednia, do matki, zdołali jeszcze wycofać nieco kapitałów z banku tamtejszego i zastanawiali się, czy wracać do kraju, czy czekać spodziewanego wkrótce końca wojny. Wreszcie, gdy granice były już zamknięte, pani Zebrzydowska z synem udała się drogą okólną, przez Niemcy, Szwecję i Rosję do Hłowatyna. Stamtąd po bardzo uciążliwej podróży dotarli wreszcie do Warszawy, gdzie pani Beata ulokowała się na stałe, a Edward wstąpił do wojska. W krótkim czasie War dostał się do niewoli niemieckiej, w której pozostał aż do końca wojny. Gdy powrócił zastał matkę w Pochlebach. W Warszawie pani Zebrzydowska nie miała z czego żyć, gdyż kapitały ulokowane w banku w Warszawie, wywieziono

HELENA MNISZEK

do Rosji w pierwszym roku wojny, a zapas gotówki wyczerpał się. Edward dotarł do Hłowatyna i Derbyszczy, znalazł je silnie zdewastowane. Miał jednak nadzieję, odbudowania z czasem majątków. Ale nastąpiła inwazja bolszewicka. W Warszawie War chwycił za broń wraz ze wszystkimi i po odparciu bolszewików powrócił do matki do Pochlebów ze smutną wieścią, że Derbyszcze i Hłowatyn zostały po tamtej stronie linii demarkacyjnej. Był to cios dla obojga okrutny. Pani Zebrzydowska uciekła znowu z Pochlebów do Warszawy, nie chcąc patrzeć na tę „chudobę“, jak mówiła ze łzami, a War zabrał ze sobą kolegę Karola Kmietowicza, obywatela z Małopolski i wrócił do Pochlebów gospodarować na „haben-dzie“...

— Co ja tu będę robił, psiakrew! — syczał przez zęby nieskończone przekleństwa od rana do nocy.

Nie pomagały perswazje Kmietowicza, ani dobre rady administratora Pochlebów, aby się zabrał do roboty i to złote jabłko pozostałe po byłych skarbach doprowadził do bardziej kwitnącego stanu.

— Dajcie mi spokój wołał — chcecie odemnie rzeczy niemożliwych! To tak samo jakby po rumaku najprzedniejszej krwi kazał kto jechać na wodowozie. Piękna zamiana! Dziękuję!

Gdy jednak War zastanawiał się głęboko, widział konieczność tej pracy. Widział, co gorsze, świat przed sobą zamknięty i tylko te „ciasne ramki“ Pochlebów dla siebie i matki. Był zgnębiony i bezradny wobec podobnej perspektywy życia...

Co zrobić, jakie znaleźć wyjście z takiej sytuacji?

Łamał sobie głowę bezskutecznie. I teraz, idąc pomiędzy polami, na których wrzały roboty jesienne, War zadawał sobie nieskończone pytania:

— Co ja tu będę robił do djabła??

Uczuł zmęczenie i głód. Rozejrzał się. Odszedł bardzo daleko od dworu. Wracać tą samą drogą wydało mu się monotonne i nudne. Nagle zobaczył zdaleka kilka par koni, na których jechali naoklep jacyś ludzie. Konie

POWOJENNI

były w uprzężach. Ludzie uchylili przed Zebrzydowskim czapek.

— Hej wy, skąd jesteście? — spytał War.

Uśmiech przeleciał po twarzach jadących. Spojrzeli po sobie.

— My z Pochlebów, fornale przeciech. Jedziem po maszynę na folwark Podborzyn. Będziema młócili podborzyńską, bo nasza w remoncie.

— Aha! dobrze, dobrze! Ale słuchaj no, który tam z was. Skocz do dworu i powiedz, żeby tu po mnie zaraz przysłali powóz, rozumiesz? Żywo!

Jeden z fornali odczepił konia od pary i pokłusował z powrotem do Pochlebów. Inni minęli Wara, patrząc na niego, jak mu się zdawało, ironicznie.

Gdy odjechali daleko, Zebrzydowski zaśmiał się głośno sam z siebie.

— Oto psiakrew, zbajałem się! No! i oni mi każą gospodarować, kiedy ja ani ludzi, ani koni własnych nie poznaję — myślał z szyderstwem w duszy. — Ktoby tam ich poznał, ten czy ów, jednakowe gęby jak z jednej formy!

Był zły na siebie i na cały świat. Szedł wolno, urągając sobie bez przerwy. Ogarniała go nuda bezmierna, apatja go dławiała. Czuł się więźniem, najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Gdy ujrzał zdaleka powóz trochę się pocieszył: zaświtała nadzieja śniadania. Te pola szare i błękit mglisty jesiennego nieba męczyły go jak zmora. Z powozu wychylił się Kmietowicz. Konie stanęły.

— Co się stało? — zapytał przyjaciel niespokojnie. — Myśleliśmy, że jaki wypadek. Szukałem ciebie, War, w parku. Ujrzałem jadący powóz po ciebie i wskoczyłem. Co się stało?

— Stała się rzecz zwykła i przewidziana, umieram z nudów. Coś mię przyniosło aż tu, ale już sam nie wróciłbym. Mówię ci, Lol, te pola, te wrony, ta cisza, nie, ja tu umrę, albo zwaruję!

Rzucił się z niechęcią na poduszki powozu, kazałjechać wyciągniętym kłusem.

HELENA MNISZEK

— Jadłeś Lol śniadanie?

— Nie, czekałem na ciebie, przegryzłem tylko półgęskę po starce. Mówię ci, te półgęski... delicje...

— Właśnie, to jedno coś warte.

Po chwili War rozwalił się w powozie jak na łóżku i ziewnął szeroko.

— Po kiego diabła tak rano wstałem! Dziś jedziemy do Warszawy...

— Ja, muszę wracać do siebie...

— Kpij z tego!... bądź moim swatem!... Przynajmniej będzie jakaś różnaitość... Zobaczysz mieszkanie Krongoldów. Aa! cymes! wszystko kapie od złota...

— Miałeś przecie jechać do Uchani?...

— Do Uchani? Hm, do Uchani?... Chciałaby dusza do raju, ale wiesz, jak ją zobaczę... kaput! znowu się rozumne postanowienie odwlecze...

— Co daj Boże, Amen — wtrącił Kmietowicz.

— Chcesz mojej zguby?...

— Przeciwnie, chcę twojej restytucji...

— No, więc?...

— Ale nie w objęciach i nie w worku Krongoldów... Z klatki własnej wleziesz w cudzą i... obcą...

— Eh, rozwalę ją i wylecę w świat po staremu.

— Więc już do Uchani nie jedziesz?

— Owszem, pojedę tam po zaręczynach, by odszukiwać resztki dawnych, pięknych złudzeń...

Westchnął głęboko i nagle krzyknął na stangreta:

— Jedźże do stu diabłów, bo te wrońska rozkrakane do reszty nerwy ze mnie wywłóczą...

Konie wpadły już w galop. Wjechali wreszcie do parku. War zwrócił oczy trochę zamyślane na towarzysza i rzekł bezbarwnie:

— Mówisz, że półgęsek po starce... delicje?... hm... dobre i to, zobaczymy!... Patrz, Nastusia! Diva!... Ależ się wystroiła!... jak jasny piorun na wiosnę!... wedle znanego określenia cioci Oktawy. Cóż za wełniaki!... A ząbki szczerzy jak małpka,.. Patrz, jaka fertyczna! Zrobię z niej szykowną pannę służącą dla madame Zebrzy-

POWOJENNI

dowskiej née Krongold... Jak sądzisz, Lol?... Nie odpowiadasz?... Taka nuda, jeszcze i ty milczysz?...

— Bo wiesz, zaczynasz mnie gniewać...

— No, to wybuchnij!... Zatem Nastusia....

— Nastusia woli służyć u monsieur Zebrzydowskiego... Ale oto wysiadamy!...

— Ach tak! Więc półgęski delicje... Gdzież one są?... Jestem głodny.

Na szeroką drogę, wychodzącą z lasu pomiędzy rzyńska wytoczył się wóz zaprzężony w jednego konia o mizernym wyglądzie. Ostro zaskrzypiały koła, głos rubaszny zawołał:

— Ot już granica pól uchańskich, a tu droga do mojej wsi.

— Stójcie, proszę, pójdę dalej piechotą — odezwał się matowym głosem żołnierz, siedzący na wozie.

— Bo to będzie jeszcze ze trzy kilometry do folwarku. Czy aby pan dojdzie?

— Dojdę! Wam już droga w inną stronę zbacza. Dziękuję za podwiezienie.

Żołnierz z trudem zsunął się z wozu na ziemię i sięgnął do kieszeni. Ale odrazu cofnął rękę, bolesny skurcz przemknął po jego chudej twarzy. Przykrość wyraźna odbiła się w oczach. Przyłożył palce do rogatywki.

— Dziękuję wam, gospodarzu. Niech Bóg zapłaci!

Chłop poprawił czapkę i rzekł sentencjonalnie:

— Dziękuję za dobre słowo, ale kiedy pan idzie do dworu uchańskiego, to zdałby się jaki napiwek. Od stacji kolejowej szmacik drogi...

Żołnierz poczerwieniał jak ogień, spojrzął w oczy chłopu wzrokiem strapionym, wymownym i zrobił ruch bezradny, świadczący wyraźnie, że nie ma ani grosza w kieszeni.

— Bóg mi świadkiem, gospodarzu, że tylko imieniem Bożem podziękować wam mogę.

Chłop spojrzął ironicznie, nawet z pogardą, zaklął coś pod wąsem, poczem kiwnął głową, jakby ze współ-

HELENA MNISZEK

czuciem, splunął przez zęby i zaciął konia. Wóz zadudniał ostro po drodze, biegnącej wzdłuż lasu, po chwili znikł na zakręcie w gąszczach. Żołnierz został sam. Wsparł się mocno na kuli, zdjął czapkę, potarł dłonią spoczone czoło, z piersi jego wydobyło się westchnienie ciężkie, aż zarzęziło w płucach. Twarz jego, poryta bruzdami, miała wyraz tępy, jaki znamionuje ludzi, którzy przeszli przez mękę życia i których już nic nie dotknie. W tej twarzy — masce obojętnej, zarzyły się oczy, osadzone głęboko, w cieniu czarnych rzęs, pod łukami gęstych brwi, prawie zrosniętych nad osadą nosa, nieco garbatego. Od nosa przez lewy policzek, w stronę skroni, rysowała się blizna od cięcia szabłą, druga blizna okalała prawe ucho i na czarnych włosach ostrzyżonych biegła w górę czaszki jak biała niteczka. Usta zmęczone z wyrazem bólu zakrzepłego na nich, obrośnięte były gęstym, czarnym zarostem, sypiącym się bujniej na górnej wardze. Żołnierz poddawał twarz suchą i zmizerowaną chłodzającemu oddechowi jesiennych powiewów. Rozglądał się po polach ciekawie, ale ze smutkiem. Znał te rozległe pola, okryte sinawą szreżogą jesienną. Łany leżały ciche, jałowe. Nie krasila ich ruń ozimin, nie były nawet dotychczas przeorane, zgoła obrośnięte krzewiacami się zuchwale chwastami, jakby od lat nie dotknęła ich niczyja dłoń pracowita. Nigdzie źdźbła szlachetnego zboża, cieszącego oczy ludzkie zapowiedzią przyszłych dorodnych plonów. Głucha pustka na łanach. Przygnębiająca cisza! Nie widać nigdzie stert ze zbożem, nie słyhać znamienego hurkotu młocki, jeno melancholja prawdziwie jesienna rozsnuwa tu swoje białosrebrne moty, z senną ociężałością nudy i apatji. Pomimo łagodnych słonecznych blasków czuć już tchnienie głębokiej jesieni, ale nie tej obfitej, darami Cerery obsypanej, jeno zimnej, suchej, obojętnej. Nie było widać nawet opasłych wróbli, które zwykle stadami opadają stogi i orane pola. Snać i ptactwo wyniosło się w dalsze okolice zrażone martwotą pól.

— Przeszedł tedy huragan... ślady wyraźne — szepnął wędrowiec i... nagle zadrżał na całym ciele, zerwał

POWOJENNI

czuciem, splunął przez zęby i zaciął konia. Wóz zadudniał ostro po drodze, biegnącej wzdłuż lasu, po chwili znikł na zakręcie w gąszczach. Żołnierz został sam. Wsparł się mocno na kuli, zdjął czapkę, potarł dłonią spoczone czoło, z piersi jego wydobyło się westchnienie ciężkie, aż zarzęziło w płucach. Twarz jego, pokryta bruzdami, miała wyraz tępy, jaki znamionuje ludzi, którzy przeszli przez mękę życia i których już nic nie dotknie. W tej twarzy — masce obojętnej, żarzyły się oczy, osadzone głęboko, w cieniu czarnych rzęs, pod łukami gęstych brwi, prawie zrosniętych nad osadą nosa, nieco garbatego. Od nosa przez lewy policzek, w stronę skroni, rysowała się blizna od cięcia szabłą, druga blizna okalała prawe ucho i na czarnych włosach ostrzyżonych biegła w górę czaszki jak biała niteczka. Usta zmęczone z wyrazem bólu zakrzepłego na nich, obrośnięte były gęstym, czarnym zarostem, sypiącym się bujniej na górnej wardze. Żołnierz poddawał twarz suchą i zmizerowaną chłodzącemu oddechowi jesiennych powiewów. Rozglądał się po polach ciekawie, ale ze smutkiem. Znał te rozległe pola, okryte sinawą srzeżogą jesienną. Łany leżały ciche, jałowe. Nie krasiała ich ruń ozimin, nie były nawet dotychczas przeorane, zgoła obrośnięte krzewiącemi się zuchwale chwastami, jakby od lat nie dotknęła ich niczyja dłoń pracowita. Nigdzie źdźbła szlachetnego zboża, cieszącego oczy ludzkie zapowiedzią przyszłych dorodnych plonów. Głucha pustka na łanach. Przygnębiona cisza! Nie widać nigdzie stert ze zbożem, nie słyhać znamienego hurkotu młocki, jeno melancholja prawdziwie jesienna rozsnuwa tu swoje białosrebrne moty, z senną ociężałością nudy i apatji. Pomimo łagodnych słonecznych blasków czuć już tchnienie głębokiej jesieni, ale nie tej obfitej, darami Cerery obsypanej, jeno zimnej, suchej, obojętnej. Nie było widać nawet opasłych wróbli, które zwykle stadami opadają stogi i orane pola. Snać i ptactwo wyniosło się w dalsze okolice zrażone martwością pól.

— Przeszedł tedy huragan... ślady wyraźne — szepnął wędrowiec i... nagle zadrżał na całym ciele, zerwał

HELENA MNISZEK

się i prawie z rozpaczą jął zdzierać z siebie porwaną, przepoconą, okropną bluzę żołnierską.

— Jakże ja tam do nich pójdę... taki?...

Pokuszykał do jakiejś kępy tarnin, wyrosłej w gromadzie kamieni i rozebrał się do koszuli. Łachmany swoje trzepał mozolnie, ostrym kamieniem skrobał je zawzięcie z brudu i robactwa. Potem ściągnął koszulę w strzępach, obejrzał ją dokładnie, wyporządkował buty podziurawione i łachmany do owijania stóp. Nagle pociemniało mu w oczach. Przestraszył się, że zemdleje. Zaciął wargi i całym wysiłkiem woli utrzymał świadomość. Gdy osłabienie minęło, wytarzał jeszcze ubranie na ostrem rżysku i ubrał się powoli, odpoczywając często. Dźwignął się z kamionki. Po chwili szedł wolno szarą drogą, opierając się na kuli. Sapał i rzeził ciężkim kaszlem. Włókł się tak długo, długo, nie mogąc wypatrzeć końca drogi. Gdy ujrzał zdaleka kępkę olszyny i rów głęboki, zatrzymał się, uśmiech rozjaśnił jego mroczne oblicze.

— Tu zabiłem lisa, wtedy, w zimie, ja stałem tu pod tą olszyną, a tam dalej, na prawo, stał Romek. Gdzie te czasy!...

Ponury cień przemknął przez głęboki szafir jego źrenic. Żywo posunął się naprzód. Nareszcie ujrzał na horyzoncie budynki gospodarcze. Po kilku chwilach mógł je dobrze rozpoznać. Uchanie! Co to? Stodoła spalona! A tam znowu jakieś ruiny, to były stajnie fornalskie. Za ruinami budynku zazielenił wąziutki skrawek pola.

— Ozimina?! jednak? ale coś bardzo małego.

Szedł dalej. Zbliżał się do folwarku pomału, ostatnimi siłami wlokąc obolałą nogę.

Cisza była wszędzie, głucha, martwa cisza. Żołnierz stanął przy wejściu do ogrodu. Sztachety były wyłamane doszczętnie, gdzieniegdzie tylko sterczały resztki słupów. W ogrodzie jakiś chłopak zdzierał z ulic rosnący gęstemi kępami młody owies, wysoki, skołtuniony, blady, który jak dywan pluszowy okrywał po wierzchu ziemię w całym ogrodzie i parku. Żołnierz spytał bezdźwięcznie:

POWOJENNI

— Co tu u was... żniwa?

— Aha, djabelskie żniwa — odrzekł ogrodniczek. — Ścierwy sypały ziarno prosto pod nogi koniom, a co konie nie zjadły, to sobie wyrosło jak w maju na polu. Cały ogród i drogi takie umajone.

— Państwo w domu?...

Ogrodniczek zmierzył wzrokiem przybysza i odrzekł z flegmą:

— Pani dziedziczka i pan starszy w domu, a młodego dziedzica jeszcze nie masz. Wojuje czy co?...

Żołnierz uczuł silne bicie serca. Chciał jeszcze o coś spytać, lecz ogrodniczek pchając przed sobą grabiami dużą gromadę miękkiego jak pela zielska, odszedł dalej i zagłębił się w szpaler kasztanowy. Żołnierz namyślał się chwilę, czyby nie ruszyć za nim. Nagle przypomniał sobie.

— Przecie to Piotruś, nie poznał mnie widać... tem lepiej.

Odsunął się w głąb drogi i poszedł w stronę magazynu, gdzie leżały wielkie przyzmy zwalonych cegieł. Przez zaśmiecone słomą gąszcza bzów i berberysu, przez płataninę krzewów połamanych, widniał dwór obszerny, morderzewiowy, błyszczący szybami okien. Ściany domostwa oplecione były pnączami jeszcze w liściach, żółtych, powiędłych. Ganek o wysokich filarach, na których wspierał się balkon, tonął w caprifolium. Żółte liście, jakby motyle, chwiały się gdzie niegdzie na obnażonych pędach roślin. Żołnierz uczuł osłabienie, usiadł na kamieniu i oddychając ciężko, patrzył na dwór, na dziedziniec i ogród. Zewsząd wyzierało zniszczenie, przejmujące zgrozą. Trawniki i kwietniki zdeptane i obwalone resztkami nawozu, z którego snadź świeżo Piotruś obdarł niewczesną ruń owsianą. Dużo róż połamanych, sterczą jeszcze ich nagie kikuty, dużo wyciętych krzewów i nawet drzew.

Na dziedzińcu folwarcznym cisza, jeno skrzypi zóraw studzienny. Jakaś kobieta, w podkasaney spódnicy wyciąga wiadro pełne wody. Na progu stajni siedzi chłop z czapką zsuniętą na tył głowy i struga patyk kozikiem, gwiz-

HELENA MNISZEK

dząc zcicha. Nigdzie śladu pracy codziennej, nigdzie śladu zwierząt domowych.

A przecie! Żołnierz spostrzegł kota. Bury, pręgowany siedział na kamiennych schodach magazynu i czujny wzrok skierował w jeden kąt budynku, gdzie leżała wiązka słomy. Żołnierz sennie patrzył na kota, myśląc resztą ociężałej świadomości, że przecie musi pójść dalej i zobaczyć się z właścicielami Uchani, ale zmęczenie obezwładniło go przemożnie, że nie mógł zdobyć się na wysiłek, by wstać i ruszyć do domu, który był już tak blisko. Głód mu dokuczał boleśnie, lecz zmęczenie było ponad wszystko silniejsze. Słońce skłaniało się już ku zachodowi i ogrzewało łagodnie strudzone członki wędrowca. Cisza dokoła kołysała go do snu. Usypiał z tą jeno półświadomą pewnością, że gdzieś jest w bezpiecznym miejscu, że mu tu nic nie grozi i że nie potrzebuje już iść, ani jechać, jeno może odpocząć. W pewnej chwili sennego odrętwienia usłyszał w pobliżu głos dziecięcy:

— Dziaduniu, tu ktoś siedzi.

Podniósł ciężko powieki i ujrzał przed sobą chłopczyka może sześciolatniego, który mu się przyglądał ciekawie. Nieco dalej stał siwy pan, prosty i szczupły o pogodnej twarzy.

— Dziaduniu, to żołnierz i strasznie obdarty — zawołał chłopczyk.

Stary pan podszedł żywo. Wędrowiec powstał z trudem, dźwignawszy się na kuli. Spojrzeli na siebie uważnie. Żołnierz zasalutował nerwowo i uśmiechnął się jakimś rozdzierającym uśmiechem bólu.

— Pan mnie nie poznaje? — rzekł cicho. — Nie dziwię się! Ja sam miewam chwile, w których wątpię we własne istnienie.

— Kto pan jest? Oczy, głos znajome! — zawołał stary pan, chwytając za ręce przybysza. — Na Boga, czyżby pan Jerzy? Jurek Strzelecki?

— Może jego wizja tylko, ale zdaje mi się, że to ja istotnie.

POWOJENNI

Pan Paweł Pobóg roztworzył ramiona i porwał żołnierza w swój uścisk serdeczny. W oczach miał łzy wzruszenia.

— Skąd ty chłopcze i w takiej sytuacji? A Romek? nie wiesz czego o nim? Dotąd nie wrócił!

— Ja wracam z kilkudniowej niewoli bolszewickiej. Uciekłem podczas ich odwrotu. Przechodziłem różne tarapaty lepsze i gorsze. Ostatnio leżałem długo w chałupie chłopskiej, daleko stąd. Przywędrowałem do państwa, bo... gdzież pójdę narazie, rozbitek bez własnego dachu nad głową. Ot! — machnął ręką.

— No, poczekaj, masz nas, to już coś znaczy. Romek cię kocha jak brata, a Terenia, ty wiesz, złoto szczerze. Tedy jesteś u siebie. Dalej! nie mazgajmy się tu, jeno chodźmy do domu. Wykąpiesz się, przebierzesz, pożywisz, boć pewnie kiszki marsza grają.

— Mniejsza o głód! Więc państwo nie mają żadnych wieści od Romka?

— Nic, od odwrotu z pod Kijowa. Oczekujemy go lada dzień. Przypuszczamy rozmaicie, że jest może w Krążu. Pisaliśmy tam, ale dotąd żadnej wieści.

— A cóż w Krążu?

— Także pewno Sodoma i Gomora! A tego zucha nie poznajesz waćpan? — wskazał na chłopczyka. — Pan Marcelli Pobóg we własnej osobie. Wielki zawadjaka i przyszły rycerz. Wyjątkowo zawział się na bolszewików, chce jaknajprędzej dorosnąć, żeby im wytoczyć wojnę dozgonną.

— Widziałem go zaledwo w kołysce, kiedy byłem w Uchaniach w styczniu w 14 roku, miał dwa miesiące.

— Ba, ba! Teraz mamy siedem lat. Celuś, na baczność przed polskim żołnierzem! Salutuj!

Chłopczyk wyprostował się zuchowato i prawidłowo przyłożył palce do czoła. Żołnierz nachylił się, chciał go podnieść i ucałować, ale jęknął i zachwiał się z bólu. Na czole wystąpił mu gęsty pot. Pobóg wziął go za rękę troskliwie.

HELENA MNISZEK

— Co robisz, Jurek, nie forsuj się! Jesteś ranny i widzę pokiereszowany, że... moje uszanowanie! Pójdźmy!

Wsparty mocno na ramieniu pana Pawła i na swej kuli, Jerzy Strzelecki ruszył wolno w stronę dworu. Celuś biegł naprzód w podskokach. Żołnierz słabł coraz bardziej i ciężył tak Pobogowi, że ten go już ledwo dźwigał. Spojrzał na twarz rannego i zląkł się.

— Bój się Boga, ty mi tu zemdlejesz!

Krzyknął na jakąś dziewczynę idącą zdaleka, by przyniosła wody. Dziewka skoczyła do kuchni z przeraźliwym wrzaskiem.

— La Boga, chyba pan dziedzic przyszedł, obdarty kiej dziad i umiera.

Podniósł się lament, wypadła z kuchni jeszcze jedna dziewczyna i stary kucharz. Jednocześnie w murowanej bramie od folwarku ukazała się wysoka, smukła kobieta. Zmierzyła wzrokiem grupę służby przy domu i zbliżających się od strony magazynu mężczyzn. Zerwała się jak ptak do lotu.

— Otóż i Terenia! — zawołał Pobóg. A ona już biegła z okrzykiem radości.

— Romek, Romek!...

Zatrzymała się tuż przed nimi, jak wryta w ziemię. Ramiona jej opadły. Wpiła oczy w twarz przybysza i jęknęła żałośnie:

— Pan Jerzy?!...

Był w jej głosie zawód bolesny i zdumienie wielkie. Ale w jednej chwili opamiętała się, wyciągnęła ręce do Strzeleckiego.

— Pan ranny? Proszę do domu, pan zmordowany, chory...

Ucałował jej ręce gorąco, chciał coś mówić, wzruszenie zatamowało mu głos. Ona podparła go z drugiej strony.

— Niech pan nic nie mówi, będzie na to czas. Teraz chodźmy czempędzej do domu, musi pan wyspać się porządnie — mówiła serdecznie.

POWOJENNI

Ach, jakże był jej wdzięczny za to, że nie kazała mu mówić i tłumaczyć się.

W godzinę potem Jerzy Strzelecki wykąpany, umyty, ubrany w czystą bieliznę, nakarmiony, spał snem kamien-
nym. W świeżej pościeli, czuł się naprawdę jak pod
własnym dachem w Nowosiólkach rodzinnych, tak odle-
głych i już dla niego straconych na zawsze.

Nie miał snów żadnych, bo może byłyby zbyt okrut-
ne. Fizyczne zmęczenie wywołało tylko również fizyczne
zadowolenie, że jest u przyjaciół i że zamiast łachmanów
brudnych i gryzących robactwem, spoczywa w jakimś
królewskim łóżu bezpieczny, ocalony. Spał, a w domu
uchańskim panowała cisza, nakazana przez panią Pobo-
żyńkę, by nic nie przerwało odpoczynku nieszczęsnego ju-
naka. Nikt jednakże w domu nie spał jeszcze. W stoło-
wym, obszernym pokoju, na kominku płonął ogień. Przy
stole spożywano wieczerzę. Dwoje dzieci, Celuś, sam przez
siebie nazywany Ciś i czteroletnia Asia, czyli Joasia, na
wysokich fotelikach obok matki, szczebiotały ciągle i jak
na sprężynach odwracały się często do kominka, przy
którym siedział na stołku bardzo stary człowiek. Ogromny
był, białowłosy, z twarzą pomarszczoną, pełną głębokich
bruzd. Uśmiechał się on do dzieci i ciągle coś do nich
zagadywał, popijając mleko z kubka i zagryzając chle-
bem. Pana Pawła Poboga dzieci nazywały dziadziusem,
staruszka przed kominkiem tytułowały dziadulkiem.

— Dziadulku — wołał Ciś — będziemy jutro strze-
lali do świeczki.

— Będziemy, a jakże!...

— I świecą będzie bolszewik?

— Bolszewik, a jakże, ho! ho!...

— A z lewolwelu? — spytała Joasia.

— Niema rewolweru, zabrali bolszewicy.

— No to z ciego?...

— Z karabinu Cisia z kapiszonem.

— To bolszewikowi nic się nie stanie.

— Zgaśnie, jucha, zobaczysz!

HELENA MNISZEK

— Jucha!... ha, ha, ha — zanosił się Ciś serdecznym śmiechem.

Gdy dzieci odeszły spać, odprowadzone przez matkę, Pobóg wyszedł również i po chwili wrócił.

— Jurek śpi jak zabity, możeby się napił herbaty, ale szkoda go budzić.

Stary Krzepa poprawiał ogień na kominku.

— Nie trzeba, jaśnie panie, sen milszy od jadła. A toż cień wrócił nie człowiek. Jak śpi, to i nie myśli, a jak zacznie myśleć, to co mu z tego przyjdzie?... Pan był z panów, bogacz, obszarnik, jakich mało nawet na naszych kresach, a dziś ot... biedak, obdarty, pokaleczony! Tylko żeby nawet w łachmanach, a pan zawsze panem będzie, tak samo jak i nasz pan Roman, jak i świętej pamięci dziad jego, a ojciec jaśnie pana, pan Marcelli był, kiedy my po węgrowskiej bitwie przed moskalami się kryli. Nie ten jest prawdziwy pan, co udaje pana, jeno ten, co nim naprawdę jest.

Weszła pani Teresa z robotą w rękę.

— O czym mówicie? — spytała, siadając przy lampie.

— O Jurku — odrzekł pan Paweł — toż straszny los!

— Nie opuścimy go. Romek coś dla niego obmyśli.

— Jaśnie państwo dla wszystkich coś obmyślają, tylko że dla nich nikt i nic.

— Niech dziadulek nie mantyczy, jeszcze mamy dzięki Bogu więcej niż inni.

— Bo i pewno! Cztery krowy, co z łaski te Hunny zostawili, ani jednego konia.

— Jakto, nie mamy koni?

— O, to ci rumaki! parszywe szkapy, co już przy armatach zdychały, a po które się jasna pani sama fatygowała na licytację.

— Czemuż Krzepa nie pojechał, trzeba mnie było wyręczyć — uśmiechnęła się mile.

— A potem gdziebym oczy schował, jakbym takie draństwo przyprowadził? Ja już i tak jak głupi chodzę. Co jaśnie pan Roman powie, jak zobaczy teraz Uchanie, to i myśleć się nie chce.

POWOJENNI

Pani Teresa westchnęła.

— Niech tylko przyjedzie zdrów, to będzie kontent z tego, co jest, a przede wszystkim jak zastanie nas zdrowymi i dach kochany nad głową. To najważniejsze.

— Tak to ono i jest — przytwierdził Krzepa.

Stary Pobóg patrzył na ręce synowej, w których igła migiała żwawo, błyskając jak srebrny włos.

— Ścibolisz i ścibolisz, kochanie, i poco to?...

Zaśmiała się, pokazując ubranko na wykończeniu.

— Lepiejby tatuś pochwalił moje dzieło. Ciś będzie miał nowy garniturek. Czy brzydki? Jak żyję, nie szylam, ale... la nécessité est la mère de l'industrie...

— Z czegoż to zrobione?...

— Z mojej starej sukni. Przykroiłam na miarę starego ubranka i jest. Zobaczysz tatuś, jak się Ciś wystroi, Drze malec bez miłosierdzia.

— A co ma sobie żałować! — mruknął Krzepa — wie kim jest, krew czuje, z jakiego gatunku pochodzi.

— Nigdy nic nie wiadomo, dziadulku, co kogo w życiu spotka.

— Pewno! Jaśnie panią też nie spodziewałem się widzieć z igłą, ani na polu, wymierzającą chłopu żyto, które sieje z fartucha.

— Dziękujmy Bogu, że Karwacki siał i orał, nie ja sama, wtedy byłoby gorzej, ale także musiałyby być, skoro siewniki popsute i brak koni...

Krzepa zaklął pod nosem i z gniewem rzucił szczapę drzewa na ogień.

— Popsuł się cały świat! Antychryst już widać na wozie ognistym jeździ... Boże, Boże, daj zmiłowanie...

— Niech no dziadulek nie mantyczy, a lepiej powie nam coś ciekawego o naszych kresach. Ot może o lesie i rzece krążskiej.

Krzepa ożywił się.

— A może o tem, jak to raz młody i piękny pan, dziedzic prawy na Krążu, siedział ze swoją cudną królewną, przy ognisku, pod jodłami nad rzeką, w noc Kupały...

HELENA MNISZEK

Ciemne oczy pani Teresy błysnęły złotym promieniem.

— Dobrze, dobrze! o tem mówcie, kochany dziadulku. I o tem, jakto borowy puszczy krażskiej naszedł ich przy tym ogniu i nie chciał poprawić łódki dla królowny, żeby wcześniej nie odjechała i jeszcze różne wróżby prawił, jakby naprzód wiedział, co się święci.

— A bo i wiedział panoczku ty mój! Dobrze wyczytał w oczach pana na Krażu, że mu królowna tak w duszę i serce zapadła, że już na wieki ani wyrwać.

— A pan królownie? — spytała figlarnie, przyglądając się pilnie robocie.

— O jej! Pan królownie już wtedy zabił cały świat złotym ćwiekiem miłowania.

Terenia zerwała się i ucałowała starego.

— To święta prawda! Śliczna wasza bajka, dziadulku!

Zwróciła się nagle do ojca.

— Co tatuś taki zamyślony?

Pan Paweł pogładził siwą czuprynę.

— Myślę, dziewczeczko, (stary Pobóg często tak nazywał synową), że to wasze spotkanie na rzece i ta bajka, to był jeden z tych momentów, które się nawet Panu Bogu... bardzo rzadko udają.

— To znaczy? — uśmiechnęła się wdzięcznie.

— To znaczy, że gdyś ty się rodziła, moje dziecko, słońce musiało być bardzo bliskie ziemi i wszystkie jego promienie wchłonęłaś w siebie.

Pani Teresa zarzuciła ramiona na szyję teścia, gdy wtem cofnęła się. Weszła służąca.

— Proszę pani dziedziczki, przyszli fornale, czekają w kredensie i chcą się z panią dziedziczką rozmówić.

— Ot, masz tobie! sądny dzień! — zawołał zcicha Krzepa.

Stary Pobóg wstał.

— Zaczekaj, Tereniu, sam pójdę.

Wyszedł, a ona ścisnęła dłońmi skronie.

— Wiem, czego oni chcą, ordynarji, a tu ani ziarna w śpichrze... ani grosza na kupienie go.

Jesienny, wczesny poranek w Uchaniach zastał panią Teresę w kuchni, naradzającą się z kucharzem, w kwestji obiadu. Kwestja była poważna, bo śpizarnia pusta, więc obiad musiał być obmyślony, tembardziej dziś, kiedy trzeba było dać coś lepszego dla gościa, który zjawił się niespodzianie, a był tak bardzo godny współczucia i serdecznego przyjęcia.

Jerzy Strzelecki spał jeszcze, ale spał gorączkowo. Pani Teresa obawiała się dla niego choroby dłuższej i chciała go przynajmniej odżywić, po wygłodzeniu straszliwym, które spowodowało ogromny zanik sił fizycznych. Ale co mu dać na obiad, skoro ani jednej sztuki drobiu niema w kurniku ani wędlin, ani nic delikatniejszego w śpizarni, prócz mąki i kaszy, ocalonych sprytnym przemyśłem kucharza od grabieży, podczas inwazji bolszewickiej. Kucharz, stary i gderliwy Joachim, zwany przez dzieci, więc i przez wszystkich, Chimkiem, stał zgębiony i patrzył na panią Teresę prawie ze wstydem, zatraciwszy zupełnie inwencję i pomysłowość, z której słynął w swoim fachu. W białym kaftanie i fartuchu oparł ręce na kaflach płyty i z tragiczną miną przemówił:

— Dawniej... człowiek zarznąłby kapłona, albo perliczkę, zrobił pieczone, czy z pulardy tłustej, czy indorowi ucięłoby się łeb, a teraz??... — Westchnął ciężko.

— Niechno Chimek przejdzie się jeszcze po izbach na ósmioraku, może u której kobiety jaką kurę wynajdzie, damy wzamian kaszy, albo mąki — rzekła pani Teresa.

Ale kucharz nie zmienił swojej pozycji i z tą samą miną przemówił jeszcze boleśniejszym głosem.

— Dawniej... wyjęłoby się z kosza na stawie ładnego szczupaka, albo lina, przyprawiłoby się po nelsonsku,

HELENA MNISZEK

albo na białem winie, a potem kalafiorek, lub karczochy... galaretka z wina... i gotowe! A teraz.....

— Czy Chimek słyszał co ja mówię?...

— Słyszę, pani dziedziczko, ale kury nie znajdzie się już u fornalek za żadne pieniądze — i u nas i u nich wybrane, a co zostało, to baby zniosły do miasta, dobrze im płacili. Teraz niema jednego skrzydła. Ot bieda! — podniósł głowę i rzekł weselej:

— Niech pani dziedziczka nie kłopotuje się, poszł Jewkę do miasteczka z kwitem do Borucha, jakiegoś mięsa przyniesie, a reszta moja głowa. Czasem to i z wiatru trzeba coś przyrzadzić, jak niema z czego. Dałby Bóg, żeby pan dziedzic przyjechał, to może skończy się nasza bieda. My czekamy na przyjazd i fornale czekają.

— Dobrze, że chcą czekać.

— A dokąd pójdą? Wszędzie tu w okolicy to samo. Gdzie im było lepiej, niż w Uchaniach, ale jak niedoła to niedoła.

— Wydał im Chimek kapusty z warzywnika i kartofli?...

— A jakże, wedle rozkazu, dziś o świcie wszyscy dostali, podzieliliśmy się z nimi naszą resztą, jak brat z bratem, ale to nie na długo.

— A kartofli ino, ino — wtrąciła Jewka, tęga dziewczyna, wchodząca właśnie do kuchni ze szkopkiem mleka. Pocałowała w rękę panią Teresę i pokazała jej skromny udój.

— Tyło całej parady. Tych parę krów i to bez jądła jak należy, na słomie, to i co mogą dać?

— Dla dzieci wystarczy i dla starszego pana na kawę — rzekł kucharz.

— I dla pana Strzeleckiego i dla dziadulka Krzepy — dodała Teresa. — Niechno Chimek przyrzadzi dobrą kawę i podplomyczek zrobi świeży dla starszego pana.

— Dobrze, dobrze, a juści!... A samą to herbatę z razowcem, bo tą krzynką mleka trzeba koniecznie wszystkich obdzielić, a dla siebie nic! — mrucał Joachim, gdy pani Teresa wyszła z kuchni.

POWOJENNI

W godzinę potem pan Paweł Pobóg pił kawę z ulubionym podpłomykiem i rozmawiał z Krzepą. Staruszek siedział swoim zwyczajem przy kominku, popijał śniadanie ze swego kubka. Dzieci jeszcze spały. Pani Teresa krzątała się po domu, robiąc ranne porządki i czuwając nad wszystkim sama. Po dewastacji, jakiej ulegli, w sierpniu, dom był pozbawiony dawnej służby. Lokaj zabrany do wojska. Zresztą pani Teresa zaprowadziła oszczędności, konieczne w obecnym swoim budżecie. Kucharz i Jewka musieli wystarczyć do obsłużenia całego domu, prócz niańki oddanej wyłącznie dzieciom, a raczej niesłuchanie żywej Joasi. Celuś buntował się na opiekę kobiecą, przekładając towarzystwo dziadzia Pawła, lub dziadulka Krzepy. Pani Teresa była przeto duchem opiekuńczym dużego dworu i całego majątku, pozostawionego na jej głowie. Rządca poszedł na front i dotąd nie wrócił. Karbowy Karwacki pod zarządem pana Pawła i dozorem pani Teresy opiekował się bardzo zdewastowanym folwarkiem, który bezpośrednio po inwazji był ruiną gospodarskiej placówki. Za resztę ukrytych przed wandalizmem najeźdźców pieniędzy, pani Teresa kupiła na licytacji dwie pary koni, braków wojskowych, które zaorawszy minimalną przestrzeń pola, nie nadawały się już do żadnej roboty. Nie było zresztą ziarna do siewu. Wielkie łany pól stały odłogiem. Narzędzia rolnicze popsute. Ludzie zdemoralizowani przebytym huraganem wojny i ostatniej inwazji, która była najsilniejszym udarem klęski w sześćdziesięciu lat wojennej. Gospodarstwo właściwie nie istniało, a jednak trzeba było o niem myśleć i medytować, jak wybrnąć z oplakanych warunków, jak doczekać wiosny i jak na wiosnę gospodarować. Zadanie było ciężkie i trudne i pani Teresa niemało się nakłopotowała, tembardziej, że trapił ją niepokój o męża. I teraz, krzątając się po domu, myślą była przy nim. Dlaczego nie wraca, co się z nim dzieje?...

Powrót Jerzego pogłębił niepokój duszy i serca młodej kobiety. Stan, w jakim powrócił Strzelecki przeraził Teresę i nasuwał jej wyobraźni potworne wizje takiej sa-

HELENA MNISZEK

mej nędzy jej męża może jęczącego gdzieś w niewoli wroga. Panowała nad sobą całą siłą woli, by nie zdradzić tej zgryzoty i nie zgnębić ojca, który znowu przed nią ukrywał starannie własne obawy. Natomiast i pani Teresa i pan Paweł Pobóg zwierzali się poufnie ze zgryzot swoich przed Krzepą, ale i on ich nie pocieszał. Stary borowy nie podobny był do dawnego służbisty z Krąża, który przed ośmiu laty, na brzegu rzeki, w lesie, w noc czerwcową, podszedł do ogniska, przy którym młody Roman Pobóg i Terenia Orliczówna, bezwiednie jeszcze oddawali sobie serca na całe życie wspólne. Ten dawny i czerstwy, jak dąb dziad ogromny, ten bard leśny, wróżący młodej parze szczęsną przyszłość, przeistoczył się teraz prawie w niedoleźnego staruszka. Z jego dawnej siły i energii została tylko bałwochwalcza miłość dla Romana Poboga, jego żony i dzieci. Krzepę podkopały zupełnie i zrujnowały przejścia wojenne. Przeżył dewastację Krąża; dwukrotne opanowanie zamku przez Rosjan, bitwy, huraganowy ogień, trwający przez trzy doby nad Krążem, pożary, sceny grabieży, mordy, rozstrzelanie rządcy Korejwy i ogrodnika Ślaza, posądzanych o dawanie sygnałów wojskom niemieckim. Potem najście Niemców na zamek, rozpasanie się zwycięzców, w końcu śmierć pani Kunegundy Zatorzeckiej. Straszna była agonja staruszki, pośród pijackich wrzasków, orgji i rozpusty na zamku. Krzepa sam jeden czuwał u wezglowia konającej. Chmielnicka, ochmistrzyni, uciekła przed wojskiem niemieckim do Rosji; Ganiewicz, administrator, był na froncie. Gabriel Zatorzecki, wnuk „babki Gundzi“ niepoczytalny wogóle, przestraszony tem co się działo, siedział zamknięty w swoim pokoju i bębnił na fortepianie bezładne kachofonje.

W tym chaosie piekielnym wojny, rozpusty i oblędu, Krzepa musiał wysłuchać potwornych majaczeń umierającej staruszki, od których krew mu stygła w żyłach. On zamknął oczy zmarłej i gdy wreszcie po smutnym pogrzebie, za którym szedł tylko on jeden, po różnych jeszcze tarapatach i ciężkich przeżyciach, długich jak wieki, gdy

POWOJENNI

zjawił się w Krażu Roman Pobóg, jako oficer wojsk polskich, Krzepa był już zgrzybiałym starcem. Zabraną przez Poboga do Uchani, odżył tam pod słodką opieką pani Teresy i trzymał się dzielnie, ale do dawnych sił fizycznych i duchowych nie wrócił. Teraz tę nową klęskę materialną Pobogów Krzepa odczuł boleśnie. Pod wpływem pogody pani Teresy starzec rozchmurzał czoło, poryte bruzdami nowej troski, lecz trawił go lęk rozpaczliwy o losy Romana Poboga, który tak długo nie powracał z frontu, po tej ostatniej zawierusze. Czyżby nowe jakie nieszczęście miało spaść na umiłowaną przez niego rodzinę? ... I stary przechodził męczarnie okropnej trwogi, ukrywał przed panią Teresą i panem Pawłem niepokój swój starannie, ale ich nie pocieszał. Ratowała go bezwzględna wiara, że — Pobóg nie zginie. Ale i tej wiary swojej Krzepa zaczynał się już obawiać. Był święcie przekonany, że zło grasuje na świecie bezkarnie i że teraz wszystkiego, co najgorsze można się spodziewać. Krzepa tak samo jak pan Paweł i pani Teresa oczekiwał niecierpliwie przebudzenia się Jerzego, by od niego dowiedzieć się czegoś o Romanie. Szczególnie przyjscie Strzeleckiego właśnie do Uchani, wydało się Krzepie podejrzanem. Stary wyobraził sobie, że Jerzy wie o Romanie coś strasznego, że dlatego przyszedł tu, pomimo, że ranny i obdarty, bo może przysłał go Roman, lub może zagnała go tu wieść okrutna. Gdy więc zegar wybił godzinę dziewiątą, Krzepa wreszcie nie wytrzymał. Wstał ociężale ze swego skórzanego stołka przy kominku i opierając się na kiju podążył do gościnnego pokoju. Pani Teresa zatrzymała starego, domyślając się, dokąd idzie.

— Nie budźcie go, dziadulku, sen to zdrowie. Chciałabym, aby się napił kawy, ale skoro śpi...

— Tylko zobaczę, czy śpi, a może się obudził?

Krzepa wszedł cicho do pokoju przyćmionego storą. Przysunął się do łóżka i nagle stanął zdrętwiały. Ostry głos: „kto tam?“ zatrzymał go na miejscu. Strzelecki wpił w niego oczy szeroko otwarte i spytał powtórnie:

— Kto to?!

HELENA MNISZEK

W głosie jego był lęk i jakby groźba zarazem. Usiadł gwałtownie na łóżku, zrobił taki ruch, jakby szukał broni przy sobie. Lecz Krzepa go uspokoił łagodnie i przypomniał mu gdzie się znajduje. Jerzy odzyskał świadomość zupełną, ale był tak osłabiony, że opadł jak kłoda na pościel. Krzepa pochylił się nad nim i zapytał gorączkowo, półszepem:

— Czy jaśnie pan nie wie czasem, co się dzieje z naszym dziedzicem, z panem Pobogiem?

Strzelecki pokręcił głową przecząco.

— Nie widział go czasem jaśnie pan, na froncie, albo Boże broń, w niewoli?

— Kogo w niewoli?... — spytał Strzelecki z nagłym wstrząsem zgrozy.

— Naszego jaśnie pana Romana Poboga.

W tej chwili weszła pani Teresa, niosąc śniadanie na tacce. Strzelecki uśmiechnął się do niej.

— Pani Terenia — wyszeptał.

Powitała go wesoło, serdecznie. Krzepa usunął się niechętnie, podejrzenia jego wzmożyły się, sam nawet nie zdawał sobie sprawy z jakiego powodu. Tymczasem pani Teresa karmiła Jerzego, poiła go kawą, mówiąc o wszystkim i o niczym, ale z wesołą pogodą, która działała kojąco na chorego. W pewnej chwili Jerzy przestał jeść. Bładość pokryła jego wychudłą twarz.

— Co panu, panie Jurku? — spytała Terenia.

Strzelecki leżał długą chwilę jak martwy, nagle łzy jęły mu przesiąkać poprzez rzęsy i spłynęły dwiema dużymi kroplami na policzki.

— Panie Jurku! co panu? czy pana co boli?... proszę się uspokoić, proszę mi powiedzieć szczerze, jak siostrze, no, proszę, drogi panie.

Głaskała go po głowie i pochyłona nad nim przemawiała głosem pieściwym.

Krzepa zadrżał w sobie.

— Może on co jej wyzna złego? — pomyślał i już chciał przerwać nieme rozrzewnienie Jerzego, gdy ten szepnął cichutko:

POWOJENNI

— Jestem nędzarz, zupełny nędzarz!...

Powieki jego drżące i nabrzmiałe przysłoniły oczy. Pani Teresa dała znak Krzepie, aby wyszedł z pokoju. Starzec ociągał się długo, wreszcie ujrzawszy, że Jerzy otworzył oczy, jął mu dawać znaki rozpaczliwe, na które Jerzy patrzył ze zdumieniem, pani Teresa również. W tem ona, przeniósłszy błyskawicznie wzrok z jednego na drugiego, zbladła bardzo i zduszonym głosem spytała niepewnie:

— Co to? co się dzieje?

Krzepa cofał się do drzwi z załamanemi rękoma. Pani Teresa wówczas porwała gwałtownie Strzeleckiego za ramiona, w oczach miała przerażenie, twarz skurczoną bólem straszliwego podejrzenia.

— Pan wie coś o Romku?! Na Boga, mów pan, błagam!

Strzelecki patrzył na nią również przerażony, nie mógł zrozumieć, o co go właściwie pytają.

— Ależ pani Tereniu...

— Proszę na wszystko, nie ukrywać przedemną, ja widzę znaki porozumiewawcze! Pan wie o Romku coś złego?

W głosie jej było tyle rozpacz i męki, taka trwo-ga bezgraniczna, że Strzelecki zrozumiał już wszystko. Zerwał się z poduszek i złożył ręce jak do modlitwy.

— Przysięgam pani najdroższej, że nic nie wiem o Romku, i że go od bardzo dawna nie widziałem. Przysięgam!

— Więc dlaczego dziadulek dawał panu te znaki dziwne?

Zwróciła się do Krzepy, ale „dziadulka“ już w pokoju nie było.

— Widziałem, że mi ten starzec dawał jakieś znaki niezrozumiałe, lecz znaczenia ich nie pojmuję i daję pani na to słowo honoru. Nawet nie wiem, kim jest ten stary człowiek, ujrzałem go. ocknąwszy się ze snu...

HELENA MNISZEK

Pani Teresa przeciągnęła dłońmi po mokrem od potu czole. Usta jej drżały z wrażenia, na twarz wolno wracały kolory.

— Jesteśmy tak strapieni brakiem wieści od Romka, takie nas złe przeczucia gnębią, że zdawało mi się, iż pan coś wyznał Krzepie o Romku i że on wzbrania panu mówić mi o tem. — Uśmiechnęła się i podała Jerzemu rękę.

— Przepraszam pana całym sercem za swój wybuch. Pocałował jej dłoń miękko i rzekł smutno:

— Gdybym coś wiedział, broń Boże, złego, nie przychodziłbym tu, pani droga, jako taki zwiastun i nawet moja nędza obecna nie skłoniłaby mnie do tego.

Teresa usiadła obok łóżka. Ujęła jego chude ręce w swoje dłonie.

— I znowu pan coś mówi o nędzy? Czy panu nie wstyd, drogi panie Jurku?... Czyż będziemy się teraz nad sobą rozżalali, teraz, gdy pół kraju oddycha zaledwo po wojnie, a drugie pół przybite nowym jej obuchem? Ale nie pora na morały — dodała łagodnie. — Ja pana rozumiem, tylko, że nie pan jeden jest obecnie w takim samem położeniu... Lepiej policzmy; mój stryj Piotr Orlicz jest w Warszawie, na bardzo skromnej, biurowej posadzie, mieszka w małym pokoiku, szczęśliwy, że uniósł głowę z pogromu. Porzeczże wszakże tak samo jak Nowosiółki poza linią demarkacyjną. Przepadły!

— A matka pani? — spytał cicho Jerzy.

W oczach Teresy zaszklily się łzy.

— Mama zmarła jeszcze w czasie okupacji i pochowana obok swego ojca, przy kaplicy grobowej Pobogów w Krążu. Krąż jest po naszej stronie. Liczmy dalej, panie Jurku, naszych współrodaków kresowych. Kołomyjski z Żubrówki jest niedaleko od nas, u córki, która tu wyszła zamąż, przed samą wojną. Zrujnowany doszczętnie. Ale on wiecznie buduje zamki na lodzie, znalazł tu sobie kompana w naszym sąsiedzie Czymielskim i albo się kłóca, albo razem reformują Polskę i świat cały. Ach czyż podobna wyliczyć tych wszystkich, komu wojna usunęła

POWOJENNI

ziemię z pod nóg? A jednak każdy z nich żyć musi i każdy dzielnie bierze się do budowania przyszłości. I to ludzie starzy, sterani, a pan młody, silny.

— Ja, pani?... ruina fizyczna i moralna.

— No, to jeszcze o tem pomówimy — rzekła z uśmiechem.

— Jeszcze jednej grubej, najgrubszej ryby pani nie wymieniła z tych, których fala wojny wyrzuciła na brzeg.

— Któż to taki?

— Edward Zebrzydowski.

— Ach on? Prawda. Więc widzi pan! Wszak to był magnat! Hłowatyn, Derbyszcze, książęca fortuna i nagle... pozostały mu wprawdzie Pochleby, na lewym brzegu Wisły, więc nietknięte oczywiście. Placówka dobra i mocna, doskonała!

— Gdybym miał ćwierć tego, uważałbym się za wybrańca losu — westchnął Strzelecki. — Ale ja nie mam nic, czy pani to zgłębia? Nic absolutnie, prócz tych oto dwojga rąk sforsowanych i głowy...

— Której nie trzeba omraczać ciężkimi myślami.

— Ach pani najdroższa, kto jest taki sam, jak ja...

— Jako sam? a przyjaciół pan uważa za nic, za zero? Powtarzam raz jeszcze, niech pan odsuwa od siebie czarne i smutne myśli. To są nasi najzaciętsi wrogowie, to zaraza życia, której się trzeba strzec, bo zabija, jak dżuma. Teraz jest pan chory, trzeba odpocząć, a wtedy zobaczy pan, jak mu się życie uśmiechnie. O zupełnie inne życie, niż dawne, przyznaję, ale może będzie jeszcze droższe, milsze.

— Co też pani mówi? — jęknął Strzelecki z odcieniem żalu.

— A tak, panie Jurku, może będzie milsze i droższe — powtórzyła z mocą — bo stworzone już tylko przez samego siebie, przez własną energję i pragnienie życia. To, co pan miał dotychczas, to nie było zasługą pana własną, to był dar losu, spuścizna po dziadach i ojcach. To nie był pana samoistny czyn i twórczy pomysł życiowy.

HELENA MNISZEK

Budowanie przyszłości własnej dopiero się przed panem otwiera...

— Albo przepaść dużo łatwiejsza do zdobycia.

— My nie pozwolimy panu w nią runąć — rzekła Teresa poważnie — i jestem pewna, że pan sam będzie potem potępiał swój dzisiejszy pesymizm, gdy pan wyzdrowieje.

Wszedł pan Paweł Pobóg i, powitawszy Strzeleckiego, rzekł z uśmiechem do synowej.

— Dzieweczko, dzieci się tam upominają o mamusię i Piotruś ma jakiś pilny interes. A jakże nasz kochany wojak?

— Zaraz wracam — rzekła Teresa. — Tatuś pomoże mi zmienić bandażę panu Jurkowi, tymczasem proszę zmierzyć gorączkę.

Wyszła. W kredensie Piotruś zameldował.

— Proszę pani dziedziczki, pastuch pyta, czy może krowy popaść w parku i w sadzie, bo trawa tu galantna.

— Niech pasie, tylko uważajcie, żeby krzewów i róż nie podeptały do reszty.

— No, juści, że obserwacja będzie. Co tam bydlakom po różach? Mało to materiału do żarcia?

— Jakiego materiału? — spytała pani, zapominając w zamyśleniu o specjalnych wyrażeniach Piotrusia.

— A trawy! Bydło głodne, to chwyci jak marcepan. I dzieciaki przyszły do sadu po chróst, czy pani dziedziczka pozwoli zebrać?

— Na co, na opał?

— No, juści, tak, gadają, że niema czem palić po chałupach.

— Dobrze, tylko przypilnuj, żeby nie łamali drzew i zdrowych gałęzi.

— Zrobi się! — odrzekł sentencjonalnie, a pani Teresa poszła do pokoju dziecinnego zamyślona.

Trzeba było posłać do lasu po drzewo na opał dla służby, konie były do niczego, ani jednego całego wozu przytem, ani jednej całej uprzęży. Nie było paszy dla

POWOJENNI

koni, krów, słomą się kończyła. Mnóstwo braków trzeba było łątać, zapobiegać, sztukować, a nie było za co.

Ciężka zaduma znikła odrazu z twarzy pani Teresy, gdy ujrzała dzieci. Ubrane już podbiegły do niej z okrzykiem:

— Mamuś, paciolek... zapomniałaś? — wołała złoto-włosa Joasia, którą matka chwyciła na rękę.

— Mamuś, czy pan oficer jeszcze śpi, czy pan oficer już nie ranny? a jak jego bolszewicy poranili? a czy on nie miał szabli przy sobie, żeby zabić bolszewika? — zarzucił Celuś matkę pytaniami.

Po chwili wszyscy troje klęczeli przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i Celuś mówił poprawnie „Ojcze nasz“, powtarzany skwapliwie przez Joasię, poczem nastąpiła modlitwa do Anioła Stróża i „Pod twoją obronę“, odmawiane przez panią Teresę. Dzieci utkwily oczęta w obrazie Najświętszej Panny, a gdy matka modlitwę skończyła, Celuś odezwał się uroczyście:

— I daj nam Boże spokój i szczęście i od wojny ocal naszą Polskę i żeby tatuś prędko wrócił do nas...

— Żeby tatuś był zdjowy i pędko psijechał.

— Nie przeszkadzaj, Asiu, — oburzył się Celuś.

— Ja tyś sie modlę za tatusia...

— ...i nas wszystkich w zdrowiu zastał — dokończył Celuś z powagą.

— ...i chjeba nasiego powsiedniego i bujki z masiem daj Boziu dla tatusia. Amen. — śpiesznie wyrecytowała Joasia, bojąc się, że jej przerwą.

— To już było w „Ojcze nasz“ — zawołał Celuś.

Pani Teresa przytuliła główki dzieci do piersi, pieściła je i ucałowała, poczem z Joasią na rękę poszła za Celusiem, który biegł powiedzieć rannemu oficerowi dzień dobry.

Po opatrunku i po obiedzie Jerzy spał znowu, a we dworze dzień jesienny zwykłym swoim codziennym trybem skłaniał się ku wczesnemu zachodowi. Pani Teresa z Karwackim odbyła naradę gospodarczą, sama zajrzała do

HELENA MNISZEK

obory i chlewów, gdzie było po parę sztuk trzody, pozostałej po masowem ograbieniu. Była w stolarni i kuźni, gdzie reperowano połamane narzędzia gospodarcze. Wydała dyspozycję wożenia drzewa z lasu, co mogło się skutecznić wolno i z mozołem. Zajrzała do jednej izby w ośmioraku, gdzie leżał chory chłopak osiemnastoletni. Miał silnie zbite kolano i pani Teresa leczyła go domowymi środkami ze swojej apteczki. Matka pokaleczonego chłopca żaliła się płaczliwym głosem:

— Abo to mu potrza było, wielmożna dziedziczko, leźć do piwnicy dworskiej, po te kilka jabłuszek, co dziedziczka kupiła w Żurawcu dla dzieci? Abo to mu mało było jeszcze jabłek, a gruszek, a śliwek zielonych, co za „bolszewników“ wyzarli się wszyscy w dworskim sadzie?... A toć mówiłam, choć i wtedy, nie żryjta bez miary cały sad na raz, przynieś hyclu do domu, to na zime schowam. Gdzietam! jak się dorwali, że to niby wolność była powszechna, tak i jednego jabłuszka nie ostawili. A tera sie zlisił i do piwnicy go znowuj korciło! Ot i ma! Jak spadł z okienka na mur, tak se dogodził, że go Jewka z kucharzem za kudły omdłonego wynieśli z tela. Żeby nie pani dziedziczka, toby mu jeszcze dołożyli z pare kijów, ale i tak od kucharza po mordzie dostał. Wszystko bez nieposłucha matki, co dobrze doredzała.

Pani Teresa nic nie odrzekła na tę pobożną skargę pokrzywdzonej rodzicielki. Kobieta pod jej dozorem zmieniła kompresy z arniki na zbitych kolanach młodocianego Adama, który nietylko drzew, ale nawet piwnic zakazanych nie uznawał. Pani Teresa opuściła izbę i poszła drogą w pole. Chciała obejrzeć oziminę zasianą kosztem ogromnego trudu i nakładu sił w warunkach tak ciężkich.

Żyto zieleniło się ładnie, ale było go śmiesznie mało, w porównaniu z rozległemi łanami, leżącemi odłogiem.

— Co Romek powie, gdy to zobaczy? — myślała Terenia ze ściśniętem sercem. — Wystarczy dla siebie

POWOJENNI

i może na ordynarję. A siewy na drugi rok? I na sprzedaż nic, ani ziarnka.

Z drogi zboczyła na miedzę pomiędzy wąski pas zielonego żyta i stare rżyska. Smutnemi oczyma patrzyła na te pola, tak dawniej pełne kultury, takie bogate w plony. Jeszcze tegorocznej wiosny zieleń się tu łąny oziminy, obecnie ziarna z niej nie zostało. Wszystko zabrane, lub stratowane kopytami koni, podczas inwazji. Nasienne koniczyny spalone doszczętnie, owsy, jęczmiona, wszystko poszło, kartofle sprzedane za bezcen na podatki, buraki spotkał ten sam los. W tym roku śpichrze puste, na drugi rok będzie to samo, a co dalej? Ach, niech będzie nawet nędza, byle Romek wrócił zdrowy i byle temu jedynemu nic się nie stało! I karciała siebie za myśli pesymistyczne. Przecie są oboje młodzi, pełni sił, mogą pracować. A przecie jest jeszcze Krąż, tak samo zniszczony jak Uchanie, może nawet więcej, tam było tyle walk i te ostatnie dwukrotne przejście wojsk uciekających i nacierających. Krąż leży wszakże tak blisko granicy bolszewickiej.

Teresa wstrząsnęła się ze zgrozy.

Niech i Krąż zginie, byle Romek wrócił.

Oczy rozplamione utkwiła w bladych zorzach gasnącego dnia. Myślą była przy mężu, nie mogąc go jednak odnaleźć wyobraźnią, której zakresy rysowane duszą całą i niezmierną tęsknotą były jednak nieuchwytnie i mgliste. Z każdym dniem złe przeczucia dręczyły Terenię coraz bardziej, co dzień więcej hartu musiała dobywać z siebie, by nie popaść w rozpaczliwe zwątpienie, by sobie i ojcu Romana nie odbierać reszty nadziei i otuchy, bo to mogłoby podkopać w niej energję do pracy.

Kilkakrotnie już pisała do Krąża, listów jej nie zwracano, lecz odpowiedzi nie było. Cóż tedy mogła przypuszczać? Zamierzała jechać do Krąża sama, lecz droga była daleka, niepewna i pani Teresa obawiała się zostawić dom i dzieci tylko na opiece pana Pawła. Przejścia wojenne i niepokój o syna sterały go również. On sam wymagał

HELENA MNISZEK

opieki. A teraz przybył Strzelecki. Los jego wzruszył panią Teresę, współczuła mu serdecznie i już myślała o tem, jak mu dopomóc, aby nie czuł tak dotkliwie złego losu, który go wraz z innymi brutalnie wyrzucił z gniazda rodzinnego. I nagle przyszedł jej na myśl Edward Zebrzydowski, młody milioner kresowy. Poznała go już jako Pobożyna. Więc i on pozbawiony swego Hłowatyna i Derbyszcz, ozdoby tamtych stron kresowych?... Teresa nie wyobrażała sobie tego młodzieńca świetnego, zepsutego zbytkiem życia, bez jego złotej oprawy. Ten piękny chłopak, wybraniec fortuny, fantasta, dla którego cały świat stał otworem, jakże on będzie się czuł w obecnych warunkach życia. Ha! musi się zastosować do nowego bytu, albo zginie, albo się weźmie za bary z samym sobą, bo los go jeszcze stosunkowo od innych, choćby od Strzeleckiego, oszczędził bardzo. Gdyby tylko chciał taki War Zebrzydowski, mógłby jeszcze pomagać innym swoim rodakom, wyzbytym rodzinnego kąta.

Pani Teresa uśmiechnęła się na wspomnienie Wara.

— Jak też on teraz wygląda, może się już ożenił?...

Wspomnienia biegły w przeszłość, w owe lata przedwojenne, w pierwsze lata jej małżeńskiego pożycia z Romanem. Promienne czasy ich szczęścia, samem wspomnieniem rzuciły blask na twarz Tereni i rozjaśniły ją. Czy takie szczęście jest wogóle możliwe na świecie, jakie było wówczas udziałem ich obojga?... Możliwe, bo istniało, kwitło całą pełnią uroku jak kwiat majowy, kraszony słońcem. Te same oto Uchanie były dla nich jakby bajką czarowną. A przebywanie ich w Krążu... gdzie zamek ponury odżył i także jakby zakwitł pod wpływem ich młodości i szczęścia. Nawet mroczna zawsze babka Gundzia rozjaśniała oblicze swe na ich widok... A ich podróże wspólne po kraju i zagranicą?... zwiedzanie cudów świata, morskie wycieczki... Szeroko, swobodnie, świetnie, a wszystko to ozłoczone miłością Roma, odurzającą czarem piękna i słodczy życia... A nawet i ten War, jego miłość dla niej, jego uwielbienie, któremu

POWOJENNI

nawet Romek nie mógł nic zarzucić, a które jednak dawało także dużą dozę przyjemności i zadowolenia. Asysta tego panicza była w tak wysokim stylu zachowana, tyle miała w sobie królewskich gościów, przy uczuciach aż nadto widocznych, że mogła wzbudzić zapal nawet i z jej strony... I pobudzając próżność kobiecą mogła i ją zapalić bodaj do flirtu z tym wytwornym i rozkochanym magnatem. Ale Terenia kochała Romana nade wszystko, on był nie tylko jej umiłowanym mężem, ale i jej istotnym typem męskim, co się w małżeństwach nawet niekiedy szczęśliwych, nader rzadko zdarza...

Ona w Romanie zawarła wszystkie swoje ideały i upodobania. Miłość taka jak Tereni wykluczała wszelkie flirty. Żaden inny mężczyzna nie robił na niej silniejszego wrażenia, duszę zaś miała zbyt subtelną, uczucia zbyt głębokie i myśl poważną, by szukać tylko zabawy i dla zadowolenia miłości własnej, podniecać miłość kochającego ją mężczyzny.

— Miły łobuz ten War — myślała sobie teraz pani Teresa, przypominając owe czasy wesole i wszystkie perypetje z Zebrzydowskim.

Przesunęły się przez jej myśl obrazy, kiedy potem przyszła wojna, zawierucha, huragan wstrząsający wszystko i wszystkich... Roman poszedł na front. Walki zacięte, rzadkie przyjazdy męża do domu, zmiany polityczne. Tryumf i szczęście, entuzjazm z powodu odzyskania ojczyzny, piękne horoskopy malowane zapałem i wiarą w przyszłość. I mroczne momenty, przyjmowane przez wierzących w gwiazdę Polski za chwilowe zaćmienie, poprzedzające wielki blask wschodu słońca. A oto już zdawało się, że blask ten rozplomienia się w aureolę szczęścia i chwały, że już burze przeminęły i cisza błoga i wytęskniona era po cudzie wskrzeszenia nadchodzi... Gdy nagle orkan straszliwy zawiał od północno-wschodniej strony i gromem niespodziewanym, jak trąba powietrzna runął na polskie niwy, by dokonać na jednej połaci kraju dzieła zniszczenia.

HELENA MNISZEK

Wprawdzie duch polski niezwalczony nigdy, przez żadną przemoc, zerwał się do boju i zwyciężył. Ale ileż ofiar znowu, ile ruiny, ile krwi!... i czy Romek, czy Romek?...

Nie śmiała pomyśleć nawet słowa: czy Romek wróci.

— Wróci, wróci! Boże miłosierny! za bardzo jest kochany. Takie uczucia, takie tęsknoty, muszą zwyciężać! Nie mogą ginąć na marnie!...

Okrzyk ten wypadł jakby falą płomieni z ust pani Teresy... W oczach jej zgasły zorze zachodu, ale błyszczała zorza wewnętrznego zapału i wiary.

Młoda kobieta podbiegła do krzyża stojącego na rozdrożu i upadłszy na kolana, przytuliła głowę do tego symbolu męki pańskiej. Objęła go ramionami, z ust jej płynęły rzewne słowa modlitwy żony i matki...

Wieczór zapadł zupełny. Ciemno już było, gdy pani Teresa, wchodząc na dziedziniec dworski, ujrzała przed sobą kucharza z latarnią.

— A co tam Chimku nowego?...

— A czy to pani dziedziczka nie może w domu siedzieć przy dzieciach, na taką ciemnicę jesienną? A to co za niewola, tułać się tak samej, kiedy tam dzieci lament podnoszą, że mamusi niemal... Toć beczą jak jagnięta, że starszy pan i dziadulek uspokoić nie potrafią. Dopiero, jak obiecałem, że pójde poszukać, to tam trochę przycichły niebożęta. Siedzą teraz wszyscy przy kominku i słuchają, co pan Jerzy mówi.

— Jakto, pan Jerzy wstał, co znowu?...

— A ot, przyszedł gracko do stołowego, i tak jakby nigdy nic! tylko nogą okrutnie zamiata, a w oczach to mu się tak pali... pali...

— Ależ nie można! Rana odnowiona i gorączka była! — zawołała pani Teresa...

— Co mu tam będzie! Już kiedy wojnę przebył, niewolę zmógł i do nas przyszedł, to mu Uchanie nie zaszkodzi.

Pani Teresa wbiegła do domu.

W stołowym było ciemno, tylko ogień na kominku rzucał czerwone blaski na duży pokój i purpurowo-złotą orbitą otaczał siedzące przed kominkiem osoby: trzech mężczyzn i dwoje dzieci.

Jerzy Strzelecki siedział pół leżąc w głębokim fotelu, ranna noga spoczywała poziomo na krześle, przykryta pledem. Obok siedział Paweł Pobóg z Joasią na kolanach, a niżej na swym stołku, Krzepa, trzymając na kolanach, jak na koniu Celusia. Wszyscy byli wpatrzeni w Strzeleckiego, który trochę schrypniętym głosem, opowiadał im coś, snadź ciekawego, bo dzieci miały oczy otwarte szeroko, a Joasia trzymała paluszek w rozchylonej buzi, co u niej oznaczało wielkie napięcie myśli.

Teresa uśmiechnęła się na widok tej grupy i niepostrzeżenie usiadła cicho na otomanie, blisko drzwi, słuchając opowiadania.

Jerzy mówił:

— Noc była tak ciemna, że nie widziałem drabiny wozu, na którym mnie wieźli. Deszcz padał, zacinał wiatr. Leżałem na tyle wozu prawie na gołych deskach. Mój towarzysz, moskal, ranny w obie nogi, klął siarczyście i jęczał, a gdy ja jęknąłem, naigrywał się ze mnie ohydnie. On był bliżej woźnicy, ciągle z sobą rozmawiali po rosyjsku. Nad nami huczał wiatr. W pewnej chwili, huk ten spotężniał tak silnie, że wsłuchawszy się dobrze, zrozumiałem, iż po obu stronach drogi jest las sosnowy. Na wozie umilkli, słychać było tylko skrzypienie osi i brzęk łańcuchów uprzęży. Czasem, gdy wiatr łagodniał, dochodziły z dala odgłosy i nawoływania idącego przed nami wojska bolszewickiego, o ile tę zbieraninę obdartą można było tak nazwać. Poza wozem, na którym jecha-

HELENA MNISZEK

łem, szło jeszcze parę podwód i wlekli się maruderzy nędzni, rozbici i głodni.

Północ była zapewne, gdy wóz jadący tuż za nami, zatrzymał się. Spadło koło z osi. Żołnierze zsiadli i jęli naprawiać, klnąc głośno. Cisza na wozie naszym trwała niezmacona. Las huczał potężnym basem i wicher wył, gwizdząc naprzemian wśród igieł sosnowych, potępieńczeni głosami.

Oddaliśmy się znacznie od zepsutego wozu. Wóz nasz toczył się powoli, bo ciemnica była tak wielka, że konie szły poomacku, kierując się widocznie instynktem. Mój towarzysz niedoli chrapał, jęcząc przez sen. Miał gorączkę, majaczył coś niewyraźnego. Woźnica nie odpowiadał mu wcale. Po ruchach koni i nierównym toczeniu się wozu, zmiarkowałem, że i woźnica śpi. I wtedy, nie zastanawiając się już dłużej, zacząłem wolno i jak najciszej podpełzać do wylotu wozu, gryząc wargi do krwi, by nie wydać jęku. Piekielne było to pełznięcie, w tem przeświadczeniu, że każdy mój ruch zdradzający zamiar, odgadnięty przez woźnicę, lub mego towarzysza, będzie dla mnie zgubą. Wiedziałem wszakże, że jadę po śmierć, że dziś, jutro, będę rozstrzelany. Ten wylot wozu, to była jedyna droga do ocalenia, do życia. W takich razach, człowiek nie czuje na sobie ciała, nie wie, że każde poruszenie jest torturą, widzi tylko tę jedną drogę i tę jedyną możliwość ratunku. I... umie wtedy przystoczyć się nawet w płaza, który bez szelestu dąży ku ocaleniu.

Gdy głową dosięgłem wylotu wozu, uczułem płomień na całym ciele.

Jakże tu zsunąć się z wozu? Gdybyż nie ta noga, spuchnięta jak bałwan, szarpana aż do kości najstraszniejszym bólem, jak obcęgami...

Ale z takim czymś obcem a bolącym uciekać, to było salto mortale nie rokujące zwycięstwa. Rozstrzęsionymi wargami zacząłem szeptać modlitwę. Zastanawiałem się co robić. Trzeba się zsunąć najpierw głową, wtedy

POWOJENNI

na rękach mogę oprzeć się, by utrzymać resztę ciała i spuścić nogi. Nogami do wylotu obracać się już bym nie zdołał, bo wóz był wąski, a noga i jej piekielny ból, nie pozwoliłyby mi na to... Jąłem tedy posuwać się dalej i dalej naprzód, aż zawisłem głową i ramionami nad próżnią. Długa deska wozu podtrzymywała już tylko korpus, poniżej klatki piersiowej... Gimnastycznie chygotałem się, zawisły w powietrzu, chcąc rękoma dotrzeć do ziemi, by się na niej wesprzeć. Przedstawiało to dużą trudność, gdyż na bolącej nodze nie mogłem zawisnąć na desce, a wóz był za wysoki. Musiałem działać niesłychanie ostrożnie, bo każde silniejsze wstrząśnienie, mogło wywołać ruch deski, któryby mnie zdradził. Utrzymując mozolnie równowagę, wysunąłem się nareszcie tak daleko nad wozem, że palce moje dotknęły ziemi, raczej ugrzęzły w błocie. Teraz... pozostawało śmiertelne pytanie, żyć czy zginąć?.. I oto w tej chwili ostatniej, w tej bolesnej, ach, jak bolesnej chwili, kiedy całe ciało opierało się już tylko na biodrach, kiedy gdzieś we wnętrzościach i krtani, był jeden skowyczący jęk bólu wściekłego, w tej decydującej, ostatniej chwili zastanowienia, jak spuścić nogi najciszej i najostrożniej, wtedy wóz szarpnął naprzód. Biodra i kolana moje przesunęły się gwałtownie przez deskę, jak po nożach i zawisłem, już tylko stopami zaczepiony o wóz... na sekundę... Wryty dłońmi w błoto i oparty mocno na nich, pociągnęłem nogi ku sobie z całej siły. Straszliwy ból, głuchy jęk, ... i... nogi całym ciężarem spadły w błoto. Zamarłem na moment z bólu i trwogi, czy deska nie podskoczyła i nie obudziła tamtych.

Cisza!... wóz milczący oddalał się powoli... Więc nie słyszeli łomotu spadającego ciała, który mógł być słabym odgłosem, lecz mnie wydał się, razem z moim jękiem, tak piekielnym hałasem, że zdrętwiały nie śmiałem się ruszyć. Ale zaraz usłyszałem szarpanie kopyt końskich, po błocie i echo nadjeżdżającego ku mnie drugiego wozu. Włosy mi stanęły na głowie, zimny

HELENA MNISZEK

dreszcz lodowaty przeniknął ciało. Byłem wszakże w środku koleiny, konie potkną się o mnie, lub staną... a wtedy?... Zebrawszy siły wszystkie, jakie cudownie odzyskałem, pod wpływem przerażenia, zacząłem pełznąć w bok, na prawo, ze względu na prawą nogę zdrową. Lewą wlokłem za sobą, jak ciężką żelazną walizę, w której paliło się ogniem moje ciało... Nareszcie dosięgłem brzegu tej mojej Golgoty. Wóz już był tuż, tuż. Rękoma zmacałem twardą oślizgłą ścieżynę i usłyszałem kroki ludzi, idących tą ścieżką. Rozmawiali głośno.

Szarpnąłem się w bok całą siłą mięśni i stoczyłem się w płytki rowek z wodą.

Plusnęło! Zamarłem ze zgrozy. Kroki zbliżyły się. Nagle błysnęła zapalka. Zatrzymałem oddech. Przyłgnąłem do wody, czy do błota, jak płaz. Byłem pewny, że zdradziło mnie plusnięcie i że za chwilę wyciągną mnie z rowu. Światło zapalki przesunęło się przez moje skamieniałe ciało. Bolszewik stał i zapalał papierosa. Zapalka zgasła, zapalił drugą, trzecią, przeklinając osłonił głowę kapotą i zapalił czwartą zapalkę. Patrzyłem na to i bałem się, by mój wzrok nie ściągnął spojrzenia tego żołnierza. Gdy wreszcie papieros zatlił się, bolszewik cisnął nowe przekleństwo, splunął przez zęby z głośnym cyknięciem i ruszył za mijającym go w tej chwili wozem. Przez dobry kwadrans, ani drgnąłem. Wozy przejechały, przeszli maruderzy, z głośną rozmową, zaległa cisza, tylko wiatr gwizdał przeciągle i huczał bór. Deszcz moczył moje plecy, całym ciałem zanurzony byłem w wodzie. Trzęsły mnie dreszcze. Ale za to noga, nie wiem czy z odrętwienia, czy z naturalnego kompresu zimnej wody, nie bolała mnie tak potwornie, nawet czułem znaczną ulgę. I oto, gdy cisza zaległa dokoła mnie, gdy już rozwiały się wszelkie odgłosy ludzkie i skrzypienie wozów, niebo otworzyło się przedemną. Byłem ocalony! Jednakże, w obawie, by nie spostrzegli mego braku na wozie, by mię jeszcze nie szukano, zebrałem się znowu w sobie i na czworakach wydobyłem się z rowu na prze-

POWOJENNI

ciwległy brzeg. Był niski. Mokra trawa obfita i miękka, jak wata, nie sprawiała szelestu, gdym się po niej posuwał. Tak po godzinie tego raczkowania, wlokąc nogę jak beczkę, dopełzłem do gąszczy paprociowych, wysokich i sztywnych jak parasole. Tam rozciągnąłem się całą długością swoją; sen mię zmorzył. Sen, który raczej letargiem mógłby być nazwany. Gdy się obudziłem, było już znacznie po południu. Deszcz nie padał, wiatr ustał, dzień był pochmurny. Poczułem zimno dotkliwą i okrutny głód. Noga dolegała mi boleśnie, czułem się rozbity, złamany. Co robić?... Las, pustka!

Ocalony, ocalony! — wołały mi w duszy głosy anielskie i wobec tej pewności, wszystko inne wydało mi się rzeczą błahą, nie wartą zastanowienia.

Podniecony znowu tą radosną świadomością, próbowałem wstać, lecz zawyłem tylko z bólu. Wówczas zacząłem znowu raczkować. Ponieważ pamiętałem, że od mego zbawczego rowu pełzłem wprost przed siebie w las, przeto teraz, zorientowawszy się w położeniu, raczkowałem w stronę przeciwną, od tej, ku której odjechali bolszewicy. Wytrwale posuwałem się tak do wieczora, nie spotkawszy nic i nikogo. Raz tylko zając się na mnie natknął, prawie otarł się o moją głowę i podrzucony ze strachu jak sprężyna, rzucił się do ucieczki. Czasem zakrakały nademną wrony, trzepocące się przed wieczorem na drzewach, czasem głośniejszy rozhovor przeszedł po czubach sosen, świergotały ptaki, parę razy wrzasnęła sójka, lub zakwiliła sowa w zbitych czarnych konarach.

— Siowa?... odezwała się Joasia, ocknięta z drzemki na kolanach pana Pawła.

Dziewczynka rozejrzała się żywo dokoła.

— Gdzie mamuś? — pisnęła płaczkliwym głosikiem.

— Cicho Asiu! nie przeszkadzaj — zgromił ją pan Paweł.

Ale dziecko rozkaprysiło się.

— Ja cię mamuś, gdzie mamuś?... wołała ze łzami. Celuś nagle zerwał się z miejsca.

HELENA MNISZEK

— Gdzie mamuś? — krzyknął z przestraczem. — Chimek poszedł po mamuś i nie znalazł?...

Wszyscy poruszyli się niespokojnie, ale pani Teresa była już przy dzieciach.

— Słuchałam opowiadania na otomanie. Niech pan mówi dalej, panie Jurku — poprosiła, biorąc Joasię na rękę i siadając na podanem jej przez pana Pawła krześle.

— Ale może pan zmęczony... głodny?...

— Nie pani... zdaje mi się, że mi jest nawet za dobrze.

I... widząc wszystkie oczy utkwione w siebie, jął mówić znowu.

— „Drugą noc przespałem w lesie, tym razem na grubym pokładzie mchu i drugi dzień raczkowałem aż do nocy, przez leśną głuszę, z coraz słabnącemi siłami.

— A co jadł pan Jurek? — spytał Celuś.

— Nic, moje dziecko, paliła mnie gorączka, więc gdzie tylko napotkałem kałużę wody, pozostałą po deszczu, piłem ją chciwie, wysysałem mech wilgotny i liście. Natrafiłem raz na pokład rydzów, wspaniałe były, ale cóż, surowe, a zapalek nie miałem. Jednak i te surowe rydze żułem żarłocznie. Trafiłem na małe bagienko leśne, w którym przy brzegu rosło trochę tataraku. Wyrwałem łodygi i wysysając z nich wilgoć, zżułem je także dośzczętnie. Posuwałem się naprzód bardzo wolno, gdyż noga stała się w końcu ciężarem, trudnym do dźwigania, a ból łamał mi poprostu mózg i świdrował w sercu, jak rozpalony do czerwoności pręt żelazny. W głowie huczały mi gromy, czułem, że mam silną gorączkę i że zbliża się śmierć.

W tym stanie nadeszła trzecia noc, czy spałem gorączkowo, czy byłem w malignie, tego nie wiem, ale dziwne prześladowały mnie widziadła. Zapamiętałem jedno wybornie.

Oto śniłem, czy mi się zdawało, że jestem małym chłopcem, takim jak Celuś i że z matką moją, w Nowosiólkach w lesie szukałem grzybów. Pełno było suchych

POWOJENNI

igieł sosnowych i suchych wrzosów, ale grzybów nie mogłem znaleźć i męczyłem się tem okropnie. Chciałem koniecznie ofiarować mamie grzyb, czy kwiat jaki, a tu wszędzie tylko suche igły i kruszące się pod palcami suche wiechetki wrzосу. Nagle matka znikła mi z oczów, nie widziałem jej i byłem zrozpaczony. Zacząłem wołać ją głośno na cały las, prawdopodobnie w malignie wołałem istotnie...

A jednak, wołając zdawałem sobie doskonale sprawę, że matka nie żyje, że to tylko duch jej błąka się ze mną po lesie. Chciałem ujrzeć ją jeszcze, choćby jej ducha... Wołałem coraz głośniej i coraz boleśniej. Wtem ujrzałem matkę. Wyszła biała cała, dziwnie słodka. W rękach niosła naręcze polnych kwiatów, wśród których przeważały różowe smółki, tak obfite w naszych lasach i na łąkach nowosióleckich. Usłyszałem głos mamy wyraźnie:

— Jerzy, chodź za mną!...

Skierowałem się w zupełnie inną stronę niż ta, w której szukałem grzybów, a która była kierunkiem mego marszu dziennego. Patrząc na matkę, ciągle szedłem za nią w śnie, w rzeczywistości zacząłem widocznie pełznąć w tę stronę... Widziałem doskonale postać matki w sukni, którą wyjątkowo lubiłem, koloru bladego irysu, z dużym kołnierzem koronkowym. Zadziwiająca była plastyka tej postaci nawet ten szczegół ulubionej przezemnie sukni matczynej. Wszak miałem piętnaście lat, gdy matka moja umarła, dziś mam trzydzieści cztery i widziałem wtedy tę wizję, jak na jawie. Matka szła ciągle w głąb lasu, w prostej linii. Różowe smółki zwisały z jej rąk i jeły opadać na trawę. Podnosiłem je, składając w pęk i tak szliśmy długo... Mama obracała ku mnie głowę, obciążoną warkoczami, zwiniętymi na karku. Uśmiechała się do mnie słodko. Znowu zabrzmiał jej głos:

— Jurku, nie lękaj się, nie zbłądzimy...

— Czy idziemy do Nowosiółek? — spytałem, czując szalone, bolesne zmęczenie.

HELENA MNISZEK

— Nie!... tam, już nigdy...

I na tem słowie nigdy umilkł głos matki i rozwiała się jej postać.

Zostałem w lesie sam, z pękiem różowych smółek w rękach. Wołałem matki głośno, rozpaczliwie, lecz już nie ujrzałem jej więcej. Widocznie ten mój krzyk przez sen, krzyk w malignie, ocknął mnie do przytomności. Dźwignąłem się z ziemi, usiadłem. Księżyc świecił blado, przesiewając po przez gałęzie drzew srebrne pyły blasków. Długą chwilę zastanawiałem się gdzie jestem. Byłem przekonany, że to las nowosiółecki. Chciałem się podnieść, nie mogłem! Leżałem tak długo, długo... Zmaccałem grunt dokoła siebie, byłem na suchym podścielisku mchów siwych i twardych. Wyglądały jak srebro oksydowane w blaskach księżyca. Długi czas walczyłem z przytomnością powracającą i resztą wizji przebytej w śnie. Gdy nadszedł świt, czułem się już zupełnie świadomy swojej sytuacji. Rozejrzawszy się dokoła, zauważyłem przedewszystkiem, że znajduję się w innem miejscu, niż zasypiałem wieczorem. Zdumiony tem odkryciem bezmiernie, wiedziony ciekawością, raczkowałem swoim śladem wyraźnym na mchach, do miejsca, gdzie ułożyłem się wczoraj na spoczynek. Ze zdumieniem przekonałem się, że przez sen pełzłem tak dobre pięćdziesiąt kroków, w przeciwną stronę lasu, od tej, w którą dążyłem wogóle. To mnie na razie zmieszało. Musiałem mieć gorączkę szaloną, skoro nie budząc się, w malignie lazałem, jak robak nędzny, w nocy, przez las, za wizją postaci matki. Odkrycie to wstrząsnęło mną i zdecydowało odrazu o dalszej drodze. Odpocząwszy, zacząłem na nowo ślimaczą wędrówkę w stronę, gdzie pełzłem w śnie i gdzie się ocknąłem. Stamtąd wlokłem ciało obolałe ciągle jakby za wizją matki, która została mi w oczach jak na kliszy... Głód mi dokuczał piekielnie, byłbym nawet muchomory jadł na surowo, lecz nie spotykałem nic możliwego do zaspokojenia głodu.

POWOJENNI

Mimo jednak głodu i gorączki, bo miałem ją ciągle, pełzłem wytrwale do wieczora, czyli trzeci dzień od mojej ucieczki z wozu bolszewickiego.

Dobywałem reszty sił i doprawdy, że dawno bym omdlał lub zaniechał poczwarnego marszu na czworakach, gdyby nie wiecznie żywa wizja postaci matki, trzymająca mnie w napięciu. Ona mi dawała siły niezmożone... Tylko ta wizja!... Mrok już zapadł, gdy nagle z daleka błysnęło światełko. Uczułem ukłucie w sercu, iskra gorąca przebiegła wskroś mojej całej istoty. To światełko zabłysło mi kolorem smółek. Okrzyk radosny wybiegł z moich ust. Zacząłem prędko, prędko biedz na czworakach, jak żaden najzwawszy rak nie potrafi. Ciągnąłem za sobą ciężkie żelazo mej nogi, ale mi to brzemie teraz nie przeszkadzało... Siły miałem potężne, lwie, tylko pamięć mąciła się zupełnie. Smółki zdawały się uciekać i przygasł ich blask, a ja je gonił, gonił, gonił... Resztą świadomości pamiętam tylko, że las się nagle skończył, że smółki zajaśniały mi znowu ogieńkiem, jakby gwiazdką i pamiętam, że mi się wydało, iż matka kładzie mi rękę na głowie, z uśmiechem. Wtedy krzyknąłem głośno! Zmąciło mi się wszystko... Jakiś ogień w całym jestestwie, jakiś odgłos niezwykły, tępy... uderzenie siekiery, czy szczekanie psa i wszystko wraz ze mną zapadło się w otchłań...

Zemdlałem...

Odtąd nie pamiętam nic, aż do chwili, ale ta chwila trwała, jak się okazało, całe z górą dwa tygodnie, gdy, otworzywszy oczy z ciężkiego snu, ujrzałem się na łóżku, przykryty kołdrą w jasnej izbie. Na bielonych ścianach wisiały suche zioła i wypchane ptaki. Rozglądałem się ciekawie po schludnym pokoju, nie rozumiejąc, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Mętne wspomnienia jęły tłoczyć się do mojej głowy, jak wątle pasemka blasków, które wkrótce wytworzyły brzask w mózgu, na tyle wyraźny, iż coraz wypuklej malowały się w jego świetle

HELENA MNISZEK

przeżyte obrazy... Więc bitwa z bolszewikami,... atak nasz, wreszcie ten wybuch szrapnela i kontuzja.

Mgła jakaś, niepamięć, ból straszliwy i ocknięcie się na wozie bolszewickim, niepojęty dla mnie samego sposobem. Odwrót bolszewików, groźba śmierci zapowiedzianej niedwuznacznie... Wreszcie ta noc deszczowa, wietrzna... i moja ucieczka... Pełznięcie przez las... męka włóczenia nogi za sobą, potem sen, wizja matki... smółki... Gdy myśl ocknęła się całkowicie, wtedy już występowały szczegóły najdrobniejsze. Odzyskałem świadomość, czułem się zdrowym, lecz gdy się poruszyłem energicznie, by powstać z pościeli, krzyknąłem z bólu. Poczulem, że nogę mam grubo obandażowaną...

W tem do izby wszedł mężczyzna, wysoki, niezwykle chudy, z dużymi czarnymi wąsami i czarnymi oczami. Zrobił na mnie wrażenie bolszewika. Zadrzałem i musiałem okazać to wyrazem twarzy, bo podsunął się prędko i rzekł łagodnie.

— Obudził się pan, to i chwała Bogu!... Przez dwie niedziele kłoda była, a ot i ożył!...

— Gdzie jestem? — spytałem uspokojony polską mową i tonem słów.

— A na gajówce! Ja gajowy tych lasów. Znaleźli my pana, zamroczonego na skraju lasu. Nie daj Boże jak pan wyglądał. Noga jak ceber, głowa i całe ciało w ogniu. I nie wiem skąd tak rakiem przylazł, ślad od nogi na mchu został, jakby kto kowadło włókł... Jeszcze na drugi dzień za tym śladem poszedłem; ale na suchych igłach ślad przepadł. Myślałem, że może więcej żołnierzy zostało w lesie, obszedłem cały bór, aż do gościńca, ale nigdzie już nikogo. Pan był sam?

— Sam! — odrzekłem.

— Czy to pan w bitwie ranny?

— Rannego w bitwie wieźli mnie bolszewicy do niewoli, więc uciekłem.

Gajowy ręce rozłożył ze zdumieniem.

POWOJENNI

— Uciekł? ot chwat! A mego syna może zabiły te ścierwa, żeby ich...

Zaklął dosadnie, w oczach jego był żal okropny i zaciekłość straszna.

— Był mój syn pod Kijowem i słuch o nim zaginął. Czy ja wiem co z nim? Sam tu zostałem z synową, która była sanitariuszką na wojnie i leczyć umie. Ona to pana ratowała najpierw sama, potem pojechała po doktora do miasta i jak brata leczyła. Niema co, zdatna kobieta. Żeby nie ona, jużby pan nie żył dawno.

Zamyśliłem się. Przypomniałem sobie wizję matki... To ona skierowała mnie do tej gajówki. To ona mię uratowała. Pełzłem wszakże przedtem w zupełnie innym kierunku i byłbym położył głowę, gdzieś na mchach, w głuchym lesie...

Zamknąłem oczy wzruszony.

— Co panu? — zaniepokoił się.

Podąłem mu rękę, dziękując jaknajserdeczniej, jak umiałem, za opiekę i troskliwość. Zaczęła się gawęda. Opowiedział mi, że jest na gajówce tej, zwanej Sarny, od trzydziestu z górą lat. Że miał dwóch synów. Jednego jeszcze małym chłopięciem rozdarł dzik, drugi uczył się w szkołach, skończył gimnazjum i zaraz poszedł na wojnę, jak tylko wybuchnęła. Był odważny, dzielny i mądry, ten Wacek, ale cóż, zmarnował się. Miał iść na doktora po wojnie i wrócił z frontu z żoną. Z sanitariuszką się ożenił. Młode to, urodziwe, nie z prostego stanu pochodzi, edukowana jest i dużego rodu, szlachcianka. Gdzieś jej tam daleko, rodziców zabili. Ona wtedy wstąpiła na kursy sanitarne, a potem poszła na front do lazaretu. Tam się z Wackiem poznali... On ocalił ją od śmierci, bo była ranna. Ożenił się. Przywiózł ją tu sierotę, często płakała po kątach, a on się gryzł strasznie. Co przyjechał z wojska, to jak zobaczył, że ona blednie i mizernieje, to aż się za łeb chwycił ze zgryzoty. Często mówił: niedolę ja jej stworzył i dla mnie niedola, bo ja świata za nią nie widzę,

HELENA MNISZEK

a ona za to, że ja ją śmierci z pazurów wyrwał, przez wdzięczność za mnie wyszła, a teraz nieszczęśliwa. I drze się za włosy chłopczysko, a na nią, jak na święty obrazek patrzy. Ona, biedactwo, zaszyła się czasem w kącie w lesie i beczy, a często obrazek jakiś całuje, a jak wejść to go chowa. Myślałem ja sobie — mówił — pewno jakiś kawaler, za Wacka wyszła, a za drugim tęskni. Złość mnie brała, żal za syna. Aż raz, podejrział ja ją i obrazek z ręki wyrwał. Patrzę, państwo jakoweś, pan starszy i pani, takie, co to poznać odrazu kto zacz. Nie ma co! dziedzice jakieś, jaśnie państwo, tak z miny i z ubrania. Pytam ja — kto to? — tatuś i mamusia — odpowiedziała ze łzami. Takie te łzy niewinne były, takie święte jakieś, że zdjąłem czapkę, daj buch ją w rękę...

— Cichoj dziecko, to ich zabili? — pytam.

— Chłopi zamordowali, w nocy, napadli na dwór, spalili...

— I płacze, zanosi się od łez. Pokazała na serce, na głowę. Tu, powiada, mam ten obraz, do końca życia nie zapomnę! Byłaby i ona zginęła. Jedna chłopka, co była jej mamką, przebrała ją po chłopsku i do ucieczki pomogła. Takie to losy, panie. Nieszczęścia teraz mnożą się jak pluskwy, gdzie spojrzysz, to jakaś bieda... Toż i mój Wacek nieszczęsny. Dwa lata temu, jak się pobrali z Magdzą i on na wiosnę w tym oto roku przepadł. Ani słyhu!

— Chciała i ona znowu z nim jechać, ale Wacek się sprzeciwiał, że to wąż była bardzo i kaszlała, więc zostaliśmy oboje na Sarnach. Pod Warszawę to się tak wyrywała jechać, że trudno było wstrzymać, alem ją zaklął na wszystko, na pamięć jej ojców, żeby została ze mną samotnym. Pewno ją litość wzięła, że ja tu taki sam, jak borsuk w norze, to i została. Przez ręce to leci, a wyręcza mnie w obchodach lasu, ile może. I tak ot, czekamy na Wacka, ale Bóg raczy wiedzieć czy żyje?...

POWOJENNI

Gdy to powiedział, nagle wstał. Usłyszeliśmy stuknięcie drzwi wewnątrz.

— Magdzia wróciła z lasu, — zawołał. — Będzie mnie łajać, że pana nie napoiłem mlekiem.

Wyszedł z izby. Chwilę leżałem sam. Z drugiego pokoju dochodziły mnie głosy rozmowy, poczem weszła do izby kobieta dwudziestoparoletnia, ładna, choć mizerna, dziwnie... miła. Za nią szedł gajowy. Ona niosła w ręku kubek mleka.

— Ot i moja synowa — rzekł gajowy z dumą w głosie.

Młoda kobieta z uśmiechem podała mi rękę.

— Dzień dobry panu! No i chwała Bogu, dzień naprawdę dobry... Już pan patrzy tak ładnie, już niema mgły w oczach... Zdrowie idzie... idzie... jak wiosna po zimie.

Zaczęła mnie poić, dała jakieś proszki, rozmawiała ze mną tak słodko a wesoło, ot... jak to pani Terenia potrafi...

Strzelecki pochylił się i pocałował rękę pani Teresy. Poczem spojrział po wszystkich i rzekł trochę zakłopotany, z rumieńcem na twarzy.

— Może ja państwa nudzę tą długą opowieścią?

— Niech pan mówi dalej — szepnęła Teresa.

— Zaraz się moja opowieść skończy. Wtedy to, co spojrziałem na twarz pani Magdaleny a szczególnie w jej dziwne oczy, zawsze mi w myśli przefruwało skrzydełko jakiegoś wspomnienia. Gajowy jął mnie pytać o szczegóły bitwy, w której byłem raniony. Gdy je opowiedziałem, gajowy i pani Magdalena zawołali oboje.

— To pan jest oficerem?

— Tak, — odrzekłem — przypomniawszy sobie, że bolszewicy zdarli ze mnie dystynkcje oficerskie. Gdy wymieniłem im pułk, do którego należę, gajowy i pani Magdalena spojrzeli na siebie i ona rzekła.

— Waclaw w tym samym pułku służy, jest plutonowym.

HELENA MNISZEK

Zainteresowałem się żywo. Zapytałem o nazwisko. Pani Magdalena spojrzała zdziwiona na teścia.

— Jakto, ojciec nie powiedział swego nazwiska?

— Ot, nie złożyło się jakoś — odrzekł. — Nazywam się Tur.

— To moja wina — zawołałem — powinienem był pierwszy się przedstawić.

Powiedziałem nazwisko swoje.

Oboje wykrzyknęli zdumieni.

— Pan porucznik Jerzy Strzelecki?...

— Państwo mnie znacie?

— Wacek o panu opowiadał zawsze, toż całą wojnę pod komendą pana przesłużył — rzekł Tur. A pani silnie zbladła patrząc na mnie bez słowa, szeroko otwartymi oczami. I oto pod tym jej wzrokiem nagła świadomość błysnęła i rozjaśniła mi pamięć, jednocześnie omraczając ją cieniem.

— Czyżby Wacław Tur? — spytałem, nie mogąc spojrzeć im w oczy.

— On sam! — zawołał gajowy. Pani Magdalena jakas szczególnie podniecona, zaczęła pytać prawie bez tchu.

— Pan wie o nim? gdzie on jest?... co się z nim dzieje?...

Gajowy chwycił mnie za rękę, pytając nagląco:

Ogarnęło mnie przerażenie, że trzeba będzie podnieść powieki i spojrzeć im prosto w oczy.

— Co z nim, panie poruczniku. Gdzie on jest teraz?

Milczałem.

Wacław Tur, plutonowy, zastrzelony został przez kozaków Budiennego, w potyczce na Wołyniu. Cóż im, tedy powiem, tym biedakom, którzy go oczekują, czyż mogę być zwiastunem takiej wieści? I przypomniałem sobie dokładnie Wacława Tura, jak brał urlop jadąc na swój ślub, i.. pamiętam fotografię jego narzeczonej, którą pokazywał nam oficerom, a któryś z moich kolegów orzekł, że dla niego za delikatna. Pamiętam, pamię-

POWOJENNI

tam!... Jeden z oficerów przyjrząwszy się podobieżnie zawołał. „To jakaś lilijka, gdzieś ją wytrzasnął? Chyba porwałś ją z jakiego pałacu? Ale nie będziesz miał z niej pociechy“... Wtedy Tur zabrał fotografię oficerom w milczeniu, lękając się zapewne żartów dwuznacznych.

I śmierć jego pamiętam przed kilku miesiącami... Więc to był jej mąż i syn gajowego, którzy życie mi ocalili?...

Jakże ja im to powiem?

I nie powiedziałem, nie miałem odwagi. Gdy mnie pytali, uspokoiwszy wzburzenie, odrzekłem, że straciłem go z oczów, że rozdzielono nas. Nałgałem ile wlaźło, bo nie mogłem wyznać prawdy. I nie tyle chodziło mi o panią Magdalene, ile o tego ojca, którego Wacław był już jedynym synem, o tego ojca, który mi życie ocalił, a ja miałbym mu za to odwdzięczyć się taką wieścią? Tembardziej lękałem się wyjawić prawdę, że gajowy nie spostrzegł mego zachowania się i wyraz mojej twarzy go nie zastanowił. A przecie będąc jeszcze chorym, nie zdołałem napewno panować nad sobą tak, aby nie zdradził mię żaden cień, ani skurcz na twarzy. Gajowy nic nie odgadł, ale pani Magdalena, gdy zmieniała mi bandażę wieczorem, zapytała mię wręcz, co wiem o Wacławku, bo odgadła, że coś ukrywam, przeczuwa, iż on już nie żyje. Bronilem się dzielnie, wreszcie zmęczony jej naleganiem, nie mogłem jej bowiem zbyć byle czem, powiedziałem całą prawdę. Zrobiło to na niej ogromne wrażenie. Jednakże odczułem wyraźnie, że było to dla niej nieszczęście, ale nie cios. Nie kochała go tak, jak on ją. Ceniła jego serce, lecz miłości w duszy jej nie było. Wyszła za niego, pociągnięta wiernością jego uczucia, spragniona serca, zmęczona rozpaczą po stracie rodziców i domu. Wywnioskowałem to z jej słów, ze wszystkiego, nawet z wyznań Tura, który tak samo zdaje się rozumował. Wychodząc za Wacława, przeliczyła się z siłami, choć zapewne z najlepszą wiarą szła w to życie z człowiekiem niekochanym...

HELENA MNISZEK

Obcując z nią, poznałem w niej duszę subtelną i mogłem stwierdzić różnicę, jaka zachodziła pomiędzy nią, a Waławem. Był on dzielnym żołnierzem, pełnym zapалу i prawości, ale wyrósł z innego świata niż ona. Ona istny sokół, on prawdziwy tur, dość gruboskórny i szorstki, pomimo swej zacnej duszy i pewnej ogłady.

Pani Magdalena postanowiła nie mówić gajowemu tej smutnej prawdy do czasu, aż przedłużającą się niepewność życia Waława, brak wieści o nim, naprowadzi go na właściwy domysł i tem samem przygotuje go do ciosu. Ale od tej naszej rozmowy z panią Magdaleną, pobyt mój na gajówce stał się trudny do zniesienia. Ciągłe ta fałszywa sytuacja wobec gajowego, który mi wciąż opowiadał o Wacku i oczekiwał jego powrotu lada dzień, była dla mnie szalenie męcząca. Wyrywałem się do opuszczenia gajówki, z żalem i z wyrzutem, że pod ich dach zasiałem ten piołun, który prędzej czy później zaplonuje gorzkim owocem. Było mi tak ciężko chwilami, jakbym w osobie Waława Tura stracił brata własnego. Podleczoney tedy, lecz jeszcze nie wyleczony, po sześciu tygodniach bytności na Sarnach, gdy już łąziłem na kulach, jako tako, wyjechałem wreszcie, zacinając zęby, by się nie zdradzić słabością i by mnie nie zatrzymano... Pożegnałem ich jak kogoś bliskiego, jak rodzinę, której nie mam. Oni mi pożyczili pieniędzy na drogę, byłem bowiem przez bolszewików obdarty doszczętnie. Jechałem z myślą o Was, drodzy państwo — rzekł Strzelecki, zwracając się do pani Teresy. — Ale cel mój nie został tak łatwo osiągnięty. Więc, gdy zmęczony drogą, długą i dla mnie bardzo jeszcze uciążliwą, zasnąłem w wagonie, okradziono mnie z pieniędzy i z biletu kolejowego. Wsiadłem tedy na pewnej stacji małej i czując, że ze zgryzoty i zmęczenia znowu zaczynam słabnąć, byłem bowiem jeszcze chory, a nie widząc przed sobą drogi innej, zabłądziłem do pewnego chłopca, we wsi, dokąd przykuszykałem resztkami sił. Tam przyjęto mnie bardzo niechętnie, lecz ostatecznie przyjęto. Rozchoro-

POWOJENNI

wałem się na nowo, ale byłem już bez opieki zupełnie, rzucony na barłogu, w sionce pod schodami. Gorączkowałem. Noga mi na nowo rozpuchła, sam robiłem sobie opatrunki, wciąż zagrożony wypędzeniem z chałupy.

— Czemuż pan nie pisał, lub nie telegrafował do nas? — rzekła Teresa z wyrzutem.

— Listu proszę pani nie mogłem pisać, bo najpierw nie było na czym, i nie było za co, tembardziej depeszę... Tak przebyłem w tej nędzy ducha i ciała, całe trzy tygodnie.

Rozpacz targała mojemu nerwami, jak pies wściekły, nie mogłem leżeć w brudzie i robactwie, nie mogłem jeść tych obrzydliwości, które mi dawano. Rozpacz mnie uniosła i pomimo szalonego osłabienia postanowiłem iść, gdzie mnie oczy poniosą, byle nie być dłużej w tej cuchnącej zarobaczywiałej chacie. Ubranie moje, wyprane i połatane przez panią Turową, stało się łachmanem w tej okropnej chałupie. Powiedziałem chłopu, że chcę iść w świat i żeby kupił odemnie starą burkę, którą ofiarował mi gajowy Tur, a którą wziąłem w postaci pożyczki, zarówno jak pieniądze. Ale chłop oburzył się wielce: „ja będę jeszcze dopłacał za to, że ciebie trzymam w chacie miesiąc, musisz ty mnie zapłacić za wikt i dach nad głową“. Zabrał mi burkę bez ceremonji.

Rankiem o świcie opuściłem chałupę i z mozołem dotarłem do stacji kolejowej. Tam już bez żadnych względów wsunąłem się dyskretnie do wagonu czwartej klasy, w pociągu, zdążającym w te strony. Nigdzie więcej, tylko u bardzo dobrych i serdecznych przyjaciół mogłem się takim pokazać, jakim byłem... Jechałem z tałatajstwem, którego napewno połowa była także bez biletu. Ani konduktor, ani kontroler nie zjawił się przez cały czas podróży, szczęśliwie dla mnie. Miałem bowiem głębokie przekonanie, że w razie rewizji, ja pierwszy padnę ofiarą i zostanę wyrzucony z wagonu. Karta mego szczęścia od ucieczki z wozu bolszewickiego, rozjaśniona duchem mojej matki, zaciemniła się znowu. Przekonany by-

HELENA MNISZEK

łem, że fatum zawisło nademną. Ale podróż przeszła pomyślnie. Jakaś zacna kobiecina, podzieliła się ze mną kawałkiem chleba, a jakiś robotnik uraczył mnie kubkiem wrzątku z falsyfikatem herbaty. W najlepszej komitywie z moimi towarzyszami podróży, dojechałem do tu-tejszej stacji, skąd jadący w te strony chłop, zabrał mnie na swój wóz i na skraju lasu uchańskiego wysiadłem.

— I tu już skończyła się bieda twoja, panie Jurku. rzekła serdecznie pani Teresa podając mu rękę.

Przycisnął ją do ust z gorącym uczuciem.

— Niech pan dom nasz uważa za swój, jest pan od dziś naszym drogim bratem...

— A moim drugim synem — dodał pan Paweł Pobóg, — biorąc Strzeleckiego w ramiona. — Postaramy się z Romkiem, aby karta twego szczęścia, drogi chłopcze, rozjaśniona duchem twojej matki, wtedy, w lesie, zabłysła ci na nowo i chociaż w innych warunkach życia, aby one... smółki matczyne, były ci pomyślną wróżbą przyszłości...

A pani Teresa, której oczy ciemne lśniły promienną pogodą, rzekła z uśmiechem do Strzeleckiego.

— Właśnie te smółki są śliczną wróżbą szczęścia... Będzie pan zbierał na drodze swej przyszłości różowe smółki, które matka pańska rzucała dla pana...

Nagle umilkła i dokończyła w zamyśleniu.

— A może tylko jedna jaka smółka różowa, jest panu sądzona.

.

Zasiedli już do kolacji, gdy pani Teresa spytała Jerzego:

— Czy nie wie pan, jakie ma nazwisko z domu pani Magdalena Turowa?

— Dobrucka.

— Dobrucka?... No, to przecie ród znany, pochodzący z Ukrainy. Mój stryj, Orlicz, kolegował i przyjaźnił się z Tomaszem Dobruckim z Dawidówki.

POWOJENNI

— To ojciec pani Magdaleny.

Pani Teresa klasnęła w ręce.

— Ach, więc mała Dada, jak ją ogólnie nazywano...
Stryj się zawsze zachwycał tą małą Dada... Ale był
tam jeszcze jej starszy brat, Zych.

— Zginął w pierwszym roku wojny.

Edward Zebrzydowski bawił w Warszawie, zatrzymawszy się w hotelu Bristol. Zabrał z sobą Kmietowicza, którego towarzystwem chciał zapełnić pustkę, odczuwaną dokoła siebie. Opuszczając wieś, obiecywał sobie wskrzeszenie czasów przedwojennych, ale już pierwszego dnia, zaraz po przyjeździe do Warszawy, po rozejrzeniu się w sytuacji, popadł w taką apatię, że wyrwać go z niej nie zdołały żadne perswazje Kmietowicza. Na wszystko Zebrzydowski odpowiadał tępym głosem:

— A daj mi spokój! Życie moje nic nie warte, bo żyć nie mam za co. Słowo „goły“ nadaje się doskonale do świętego tureckiego, ale nigdy do Zebrzydowskiego.

Pokazywał z ironją pakę pieniędzy i dodawał zgryźliwie.

— Zdawałoby się, że dużo tego śmiecia, ale co to znaczy, co to warte?... I co się jeszcze nad tem nastękał ten idjota Daszkowski, że ogołacam kasę Pochlebów! Voilá!... to dopiero imponujące słowo! Psiakrew, do nieskończoności psiakrew! Pierwszy raz jak żyję, jechałem drugą klasą.

-- No i jesteś Zebrzydowskim po staremu, korona ci nie spadła z głowy — przerwał Kmietowicz spokojnie.

— Lolek, nie drażnij mnie, bom wściekły naprawdę. Co ja tu za te papierki zbuduję... to mi starczy na trzy dni.

— Mówiłem, radziłem, abys się zatrzymał u matki, poco ci ten hotel?

— A dajże mi spokój! W Wiedniu mama zajmowała apartament wspaniały i pomimo to zatrzymywałem się zawsze w hotelu. A tu, w tej dziurze? Merci!... Jak nie masz lepszej rady, to lepiej siedź cicho.

POWOJENNI

— Mam radę jedyną, ale jej nie słuchasz.

— Niech djabli porwą wszystko! — klął Edward, chodząc po numerze krokiem nerwowym, zgnębiony i zły.

Kmietowicz siedział na kanapce rozwalony, z rękoma pod głową, patrzył pobłaźliwie na kolegę i jął znowu mówić głosem serdecznym:

— Muszę wracać do siebie, przyjechałem tu tylko na twoje prośby, War, ale widzę, że najlepiej będzie, jak ciebie zabiorę do Małopolski. Tam u mnie w Sęcicach uspokoisz nerwy. Przyjrzyj się naszej pracy i... może zasmakujesz w niej. Głównie chodzi mi o to, że porównasz twoje Pochleby z moją habendą i może cię to do nich lepiej natchnie. Zobaczysz, jak żyją ludzie, którzy nigdy nie mieli Hłowatynów, ani Derbyszcz, ba! dla których Pochleby to magnacka fortuna i jednak żyją, są weseli, pogodni i wcale na dzikich ludzi nie wyglądają. Może cię to przekona, że nędzarzem nie jesteś. Warszawa cię drażni wyraźnie. Zacznieś tu po staremu sypać pieniędzmi na lewo i na prawo, a to teraz niebezpieczne i trzeba mieć odwagę, by to sobie powiedzieć jasno i wyraźnie. Jesteś rozbitek, przyznaję, ale każdy rozbitek chwyta się deski ratunku, dla ciebie nie deską, lecz łodzią dostatnią i pewną są Pochleby.

Kmietowicz mówił z serca, bo był do Wara gorąco przywiązany, ale sam czuł, że jego słowa brzmią jakoś inaczej wobec Wara, niżby pragnął i że wywołują całkiem przeciwny skutek. Przez parę tygodni bytności swojej w Pochlebach, Kmietowicz nie portafił zmienić na lepsze usposobienia kolegi, czuł przeto, że teraz tembardziej wszelkie usiłowania nie doprowadzą do niczego. War był w stanie takiego rozdrażnienia, na jakie narazie niema lekarstwa. Kmietowicz postanowił skierować myśl Wara na inne tory.

— Wiesz, chodźmy do jakiej budy na kawę, popatrzymy na ludzi, na kobiety, to ci zrobi dobrze, a wieczorem pójdziemy na operę. Może się spotka kogoś znajomego, może jaką znajomą, coś usłyszymy o polityce...

HELENA MNISZEK

— Albo o tem, jak nasza marka leci na łeb na szyję w dół. Dziękuję. Chcesz mnie dobić. —

Ale Kmietowicz zerwał się z kanapki i jął się zbierać.

— Chodźmy War. Masz tu jęczeć nad swoim losem, jęcz w cukierni. Lourse nie daleko.

— Gdzie Pawcio?! — zawołał Zebrzydowski.

— Niema Pawcia, ubierz się sam — rzekł Kmietowicz.

War sarknął i zaczął się ubierać wolno. Był zły. Nareszcie wyszli. W westibulu był ścisk i gwar. Tłoczyli się bankierzy, pośrednicy giełdowi, dużo cudzoziemskich typów, obcych mundurów. Fotele były pozajmowane gęsto, wszędzie stały grupy rozmawiających. Dym z cygar i papierosów unosił się sino-popielatą mgłą, tworząc jakby orbitę, w której chwiały się gestykulując czarne sylwetki, męskie przeważnie. Zebrzydowski mijał ich z gniewem.

— Tylko o dolarach mówią bestje!... Ach, są jeszcze na świecie ludzie szczęśliwi!

Wypadł prędko z hotelu i skierował się do Loursa. Kmietowicz ledwo mógł mu dotrzymać kroku. W cukierni zajęli mały stolik, ukryty za filarami. Siedząc nad filiżanką kawy, Edward zapadł w ponure zamyślenie. Milczeli obaj długo. W pewnej chwili Kmietowicz dotknął ręki Wara.

— Patrz, jaka piękna. Tam... przygląda się tobie.

Zebrzydowski spojrzał i drgnął. Powstał szybko w ukłonie bardzo uprzejmym. Odrazu z apatyka przeistoczył się w pewnego siebie salonowca. Oczy mu błysnęły. Wyglądał jak ogar, zaskoczony znienacka widokiem świetnej zdobyczy. Usiadł, łyknął kawy i znowu rzucił długie spojrzenie na odległy stolik.

— Krongoldówna? — spytał cicho Karol.

— Tak. Poznałeś?

— No, po papie łatwo.

— Djabli nadali tyle tam osób, podszełbym.

POWOJENNI

— Pocóż tak gorąco? Ona tam znakomicie się bawi, aż jej oczy grają.

— To dla mnie — pomyślał War.

A Kmietowicz jakby go odgadł:

— Pod twoim adresem to rozpromienienie.

— Uhym!...

— Trzeba przyznać, że piękna bestyjka.

— Ba!...

— Słuchaj, przecie ona cię poprostu wyzywa oczami, bardzo pewna siebie.

— Mój drogi, mając tak ciężki trzos, można być pewnym siebie i swego uroku. Patrz, a to kto znowu?...

Kmietowicz obejrzał się... W tem wrzaskliwy głos kobiety zawołał, jakby kto mosiądz rzucił na kamienie.

— Pan Zebrzydowski!

— Justa Zachłańska — mruknął Edward.

Powstali na powitanie. Pani Zachłańska podała im rękę impetycznie i przedstawiła swego towarzysza.

— Pan Konopski. Siadamy tu, przy was, bo wszystkie stoliki zajęte. Musicie panowie przygarnąć nas, niema rady!

Zasiedli ciasno dokoła marmurowego blatu. Pani Justa zwróciła się do Zebrzydowskiego z jaskrawym śmiechem.

— Cóż pan taki dziś milczący?... Nie widzieliśmy się milion lat! I z panem również, panie Karolu. —

Kmietowicz podniósł trochę brwi w górę. „Skądże... Karolu?” pomyślał cierpko.

— Nawet mi panowie nie winszujecie małżeństwa.

— Czy to jeszcze aktualne?...

— Ha, ha, ha. Naturalnie, mój ślub był przed samą wojną.

— Teraz jest po wojnie, nawet po paru wojnach. Może przeto winszować pociach?

— Ha, ha, ha! naturalnie! A panowie nie żonaci? Nie widzę obrączek.

HELENA MNISZEK

— Kto tam teraz nosi obrączki w miejscach publicznych — skrzywił się Edward. — Dla pań, obrączka jest wygodną, dla nas przeciwnie.

— Ach, jaki cynik!...

— A gdzie pani mąż? — spytał Karol, nieufnie patrząc na Konopskiego.

— Gospodaruje! Pan nie ma pojęcia, jak mnie wojna skrzywdziła. To coś okropnego!

— Doprawdy? Przecie państwo uciekali, ratując dobytek...

— Ach, co o tem mówić!

— A pan z Królestwa? — pytał Edward, patrząc pilnie na Konopskiego.

— Ale gdzież tam — podchwyciła Justa. — Pan Konopski jest kresowiakiem. Stracił tam duży majątek, który zagarnęli bolszewicy.

— A... tak?...

Edward zmrużył oczy i jał pilnie patrzeć na młodego człowieka, który miał wygląd ekonoma.

— Ja pana gdzieś widziałem... i nazwisko pana... Hm...

Na twarz młodzieńca wytrysnęły rumieńce ogniste. Zmieszanie wielkie odbiło się wyraźnie na jego grubych rysach. Powieki opadły.

— Bardzo możliwe — trzepała Justa, rzucając się ciągle na krzesła. — Na kresach mogli się panowie spotykać w towarzystwach.

— W towarzystwach?... Wątpię, ale gdzieś pana widziałem...

Pani Zachłańska robiła oczy do Edwarda i do Kmietowicza, wykrzykując przytem na różne tony. Ciskała oczyma na salę, wyszukując mężczyzn, a zachowanie się jej było tak hałaśliwe, że zwracało ogólną uwagę. Zembrzydowski patrzył na nią przez zmrużone powieki.

— Trzepoce się jak podloteczek — myślał. — Hm... mąż zdaje się ma wyręczyciela... Ale tego fatyganta ja gdzieś widziałem, tylko nie dziedzicem! Coś na tle be-

POWOJENNI

czek... gdzieś... Hm!... Jemu także bolszewicy zabrali majątek?... Hm!... Gdyby teraz te majątki na kresach, które jakoby zabrali bolszewicy, były wszystkie realne, utworzyłoby się z nich ze cztery nowe powiaty. Majątek tego jegomościa, napewno wisi imponująco na sznurkach jego bujnej wyobraźni.

— O czym pan tak myśli, panie Edwardzie?... Dlaczego pan tak na mnie patrzy? Nie zmieniłam się chyba?

— Ani trochę...

— Wszyscy mi to mówią.

— A widzi pani.

Nagle umilkła. Była sprytna, coś ją uderzyło w tonie głosu Edwarda. Rzuciła na niego spojrzenie podejrzliwe. Ale zauważyła kierunek jego wzroku, poszła za nim i... trafiła na Krongoldównę.

— Kto to jest, ta żydówka, czego ona patrzy na pana?

— A czego pani na nią patrzy? Jesteśmy w cukierni...

— Panu dziś coś jest?... Panie Karolu, co jest pańskiemu koledze?...

— Zaczadził...

— Od czego?... Ha, ha, ha!...

— Od jakiegoś uroku.

Pani Zachłańska zaczęła robić wielkie miny. Chrząkała lekko, podnosiła głowę do góry. W pięknie zgiętych palcach ręki trzymała z przesadnym wdziękiem łyżeczkę, rzucała oczami na wszystkie strony. Całym zachowaniem się dawała do zrozumienia, że odgaduje jaki czar zaczadził Edwarda i że jest z tem oswojona. Kmiotowicz patrząc na to, bawił się wybornie. Edward zaś, poważnym, tępym wzrokiem patrzył na Konopskiego. Nie widział, że on się rumieni i miesza straszliwie pod tą niemą obserwacją. Edward nie myślał już o nim, lecz zadawał sobie pytanie, jak się stąd wreszcie wydobyć...

Te same pragnienia żywił i Konopski. W chwili, gdy Edward odwrócił od niego swój wzrok, pochylił się do ucha pani Justy.

HELENA MNISZEK

— Chodźmy stąd już...

Spojrzała zdziwiona.

— Dlaczego?...

Ale jego twarz czerwona i spocona, jakiś tyk na tych nawet pospolitych rysach widoczny, zastanowił ją.

— Co panu jest?...

Ujrzała nagle błysk niechętny w jego oczach, rzucony w stronę Zebrzydowskiego.

— Zazdrosny! — stwierdziła z głębokim zadowoleniem.

Nagle Zebrzydowski podniósł się i gorączkowo pożegnał Zachłańską.

— Przepraszam... mam wyznaczoną godzinę. Pani wybaczy? Karolu, zobaczymy się w hotelu.

Lecz na sekundę przed powstaniem Edwarda spostrzegła pani Justa ruch przy stoliku Krongoldów i w lot domyśliła się, że on spieszy za tą piękną. Dotknięta, zadzwoniła hałaśliwie na kelnera. Po chwili wyszła, kokietując Kmietowicza i patrząc bacznie na Zebrzydowskiego, który witał piękną pannę. Zachłańska obrażona pociągnęła obu swych towarzyszków w inną stronę, parsknąwszy krótkim śmieszkiem. Kmietowicz chciał ją również pożegnać, lecz zakrzyczała go, więc poszedł, porwany przemocą, myśląc o Edwardzie i pannie Róży.

— Cóż to, pan Edward interesuje się tą żydówką?

— Zdaje się, jest bardzo piękna. Pani tego nie zauważyła?

— Owszem... ale... przecie...

— No, interesować się można zawsze.

— Z taką jak ta panna, to się nawet można i ożenić — odezwał się Konopski rezolutnie.

— Także pan wykombinował! — syknęła Justa.

— Wie pani, niech pani weźmie Edwarda w opiekę i wyratuje go od panny Krongold — rzekł Kmietowicz.

— Jakto, czyż on na serjo myśli się z nią żenić?...
Ha, ha, ha!...

— Hm. Bardzo możliwe...

POWOJENNI

- Z Krongoldówną?...
- Miljonerką, proszę dodać.
- Taaak?...
- Właśnie, właśnie, ogromny posag i jedynaczka, no i taka piękna — drażnił Kmiotowicz Justę.
- Chyba Zebrzydowski posagu nie potrzebuje — zagadnął Konopski.
- Pan zapomniał, że Zebrzydowski naprawdę stracił swoją kresową fortunę — zaakcentował Kmiotowicz.
- Przecie Hłowatyn i Derbyszcze były gdzieś w stronach pana majątku — rzekła Justa porywczo, zwrócona do swego towarzysza.
- Ale gdzież tam!
- No, przecież wiem to z opowiadań pańskich.
- Zupełnie gdzieindziej — odrzekł Konopski szorstko, na nowo zmieszany i spuścił oczy pod przelotnym spojrzeniem Kmiotowicza.
- Coś ty kręcisz — pomyślał Karol.
- Pani Justa roztrzepotała się. Podobał się jej pomysł, żeby ona ratowała Edwarda od Krongoldówny.
- Wie pan, to znakomita myśl! Niech panowie przyjadą do mnie do Pławic. Ręczę, że wyperswaduję panu Edwardowi tę pannę...
- Oj, to będzie trudno, zdaje się — zawołał Konopski.
- Jestem pewna!... Już ja mam takie sposoby.
- Jakież to, wolno wiedzieć? — pytał Kmiotowicz, śmiejąc się.
- Ha, ha, ha! dowie się pan i przyzna mi rację wtedy, jak pan Edward będzie uratowany. Czy panowie długo zabawią w Warszawie?...
- Ja wracam do siebie, a War wybiera się do Uchań do państwa Pobogów.
- Do Uchań, pan mówi?... A pocóż tam jedzie?...
- Hm, pani słyszała zapewne o jego uczuciach dla pani Pobożyny.

HELENA MNISZEK

— Ot tobie masz!... — zawołał Konopski i zaśmiał się niezwykle wesoło.

Justa ostygła odrazu.

— Więc to jeszcze trwa?... ta... miłość?...

— Mam wrażenie, że tak

— No... i chce się żenić z Krongoldówną?...

— Przecie pani Pobożyny nie rozwiedzie.

Zachłańska nerwowała się, Kmietowicz widział, że ją drażni, opowiadał przeto szeroko swoje spostrzeżenia co do uczuć Edwarda, dla niezdobytej pani Teresy. Gdy się wreszcie rozstali, Kmietowicz ubawiony wracał do hotelu.

— Oj kobiety! Już jej zazdrość, że War nie ją adoruje, lecz tamtą. Puściłaby w trąbę tego jołopa dla Edwarda. Ba!... Bażant przy kaczorze.

W Bristolu Kmietowicz nie zastał kolegi. Na stoliku leżała kartka.

— Jestem w operze z pp. K. loża 1-go piętra, przyjdź jeśli chcesz.

Kmietowicz podniósł brwi do góry.

— Zaczyna się. —

Natychmiast pojechał do teatru.

Ukryty głęboko na balkonie, Kmietowicz obserwował pilnie lożę Krongolda. Był tylko on z córką i Edwardem. Panna Róża ubrana gustownie, piękna i stylowa, bawiła się kokieteryjnie srebrnym lisem okrywającym jej głęboko odkryte ramiona. Na szyi połyskiwał sznur cennych pereł. Przed nią leżało ogromne pudło cukrów, z którego zgrabne palce jej, lśniące brylantami, wydobywały czekoladki. Gdy wkładała je do pełnych ust koralowej barwy, Edward patrzył na te usta dość zaborczo. Wielkie zaś brązowe oczy panny pieściły go słodkiem, aksamitnem wejrzeniem.

— Bierze go — pomyślał Kmietowicz.

Krongold tęgi, różowy na twarzy i łysinie, jakby powleczonej różowym lakierem, w binoklach na nosie, typowym i ostro załamany u nasady, miał nadzwyczaj

POWOJENNI

uprzejmy uśmiech na szerokich, zmysłowych wargach. W twarzy i postaci milionowego przemysłowca uwidocznił się epikureizm, który obrał sobie w nim siedlisko z wyłącznym despotyzmem. Wielki spryt w oczach raził przy tej dobrodusznej twarzy. Znać było, że córka jest jego całym światem. Zebrzydowski był niezwykle mile widzianym przez papę, co się ujawniało aż zanadto. Kmietowicz widział, że on niebywale podniecony pochyła się do panny i coś jej mówi, zapewne półszepcem, gdyż na nią biły ognie, a Krongold tymczasem obserwował pilnie przez lornetkę najwyższą galerję, stojąc po za krzesłami młodych. Kmietowicz niepokoił się poważnie. Znał Wara; jego zapalczywość mogła się stać w tym wypadku decydującą. A wtedy? Kmietowicz wiedział, że wtedy, gdy War się zdecyduje ożenić z Różą, będzie to zarazem wyrok na jego zapał i całe jego rozumowanie. W miłość Wara dla Krongoldówny Karol nie wierzył, ani trochę, wątpił nawet w zbyt długo trwające wrażenie, jakie wywierała na nim ta panna. Wątpił i w zimną logikę Wara, żeniącego się dla pieniędzy. — On sam siebie nie zgłębił. Jest w oszołomieniu, byle tylko do ostatecznych kroków nie dopuścić — myślał Kmietowicz.

Zdenerwowany i zły wyszedł z teatru podczas trzeciego aktu. W Bristolu poszedł odrazu do łóżka. Długo czekał zanim się zjawił Zebrzydowski. Kmietowicz zauważył bladość Wara i gorejące jego oczy. W ustach miał zaciętość niebywałą u niego. Niechętnie stwierdził, że Karol nie śpi. Nic nie mówiąc do kolegi zaczął się wolno rozbierać. Po paru zdawkowych pytaniach i odpowiedziach umilkli. Coś stało między nimi, krępując ich. Było to dla nich obce i wrogie uczucie. Wtem Zebrzydowski rozciągnąwszy się na łóżku i zapalając papierosa zapytał głosem powolnym.

— Czemu nie przyszedłeś do teatru?

— Byłem tam.

— Byłeś?... to ciekawe!... Czemuż przeto?...

— Obserwowałem cię zdaleka.

HELENA MNISZEK

— Jak detektyw?

— Może być! Z tej obserwacji mojej wyłania się pytanie...

— Jakie?...

— Dokąd zmierzasz?...

— Kto, ja?...

— No, tak!...

Milczenie długie, długie. Wtem śmiech ostry szyderczy.

— Och Lolek, zabawny jesteś! Pytasz takim tonem, jakbym szedł na spotkanie jakiejś wielkiej idei, czy czegoś, czegoś, no... potężnego... a ja tymczasem...

— A ty?

— A ja zmierzam tylko do osiągnięcia piękna w życiu...

— Piękna?...

— Które zawarte jest w... pannie Róży.

Kmietowicz podniósł się na poduszkach.

— To za ogólnikowo. Powiedz wyraźniej; w jej oczach, czy w jej ustach?...

— W jej milionach.

— War!...

— Wiedziałaś przecie o tem dobrze. Nie jest to dla ciebie niespodzianką.

— Więc tylko to?...

— Mój drogi, to bardzo dużo! Zresztą mówię ci, że to świetna panna... Co jej możesz zarzucić?... Ale mów bez uprzedzeń, Lol, bez sferowych, czy rasowych nawiasów. Czy to nie jest kobieta, która porywa?

— Daruj, ale dla mnie te nawiasy są treścią główną...

— A jeśli tak?... Ja pytam o nią samą...

— Jednakże nie dla niej samej... lecz dla jej oprawy stoisz nad otchłanią.

— Lol, bez patosu, mój miły!... Otchłań, otchłań! cudowne słowo!... tylko, że mnie wzruszyć nie potrafi. Jeżeli gdzie jest otchłań, to przedemną od czasu

POWOJENNI

utrąty kresów... Róża odciąga mnie od niej. Ona, mój jedyny ratunek, bym właśnie w tej otchłani głowy nie rozbił.

— Chcesz za to rozbić sobie życie, to jest równoznaczne...

— Uważałeś Lol, jak ona cudownie otwiera usta, gdy zaczyna mówić, albo, albo jak je czekoladki. Coś jest w tem takiego, że dreszcze chodzą po krzyżu.

— Czy rozmawiamy poważnie?...

— Oczywiście! Kwestja uroku kobiety, która, która będzie żoną, która się nam podoba, jest chyba poważnym tematem, przynajmniej dla mnie.

— Widzisz, War, jeszcze pomiędzy podoba się a — będzie żoną — jest cała przepaść. Przrzecz mi jedno, oto, że nie przedsięweźmiesz żadnych kroków stanowczych, bez głębokiego namysłu, bardzo głębokiej analizy samego siebie i następstw przypuszczalnych... takiego związku. Daj mi na to słowo...

— No, nie zamykam przecież oczu na wszystko... Jeszcze nie daję nurka w głębinę i... nie widzę żadnego dramatu. Piękna panna, wybornie wychowana... trochę swobodna... Ach nasze panie obecne bywają gorsze... choćby ta Justa Zachłańska.

— Niema tu porównań, mój drogi. Justa jest brzydka, ale jest z naszej sfery i katoliczka.

— Krongold więc zapewne i Róża przejdą wkrótce na ewangelicyzm.

— Aha! Potrzebne im to będzie do interesów.

Milczeli długo. Wkradł się pomiędzy nich jakiś zgrzyt niemiły, który im zamykał usta do zwierzeń poufnych. Czuli obaj, że nie mają sobie nic do powiedzenia, a jednak odczuwali, że ta obcość staje się dla nich ciężką nad wyraz. Edward był uparty, nie chciał zdradzić się przed przyjacielem, że dowodzenia jego są słuszne... Nie chciał się przyznać również, że zagalopował się już nieco wobec Krongoldówny. Ale gorycz z tego powodu odbierała mu zwykłą swobodę myśli. Wiedział, że błą-

HELENA MNISZEK

dzi, lecz było mu to wszystko jedno, byle nie analizować sprawy. Że zaś Karol dążył właśnie do tego, Edward bał się, że on rozbudzi w nim wątpliwości i że zacznie się walka, której nie chciał. Po długiej chwili spytał biernie.

— Cóż pani Justa?

Milczenie.

— No, Lolek, odpowiedz mi, mój drogi. Tak potrzebuję oderwania... zmiany myśli...

Karol odczuł go. Zrobiło mu się nieco lżej.

— Cóż można powiedzieć o pani Juście? Znasz ją przecie. Ciekawa osoba z tą swoją bezdenną zmysłowością. Mąż widocznie spowszedniał.

— Ph! Ożenił się dla majątku, siedzi na fartuszkach żony.

Zgrzytnęło coś... coś się jakby zaśmiało ironicznie. Obaj śmiech ten usłyszeli i obaj nie odważyli się na siebie spojrzeć. Karol pośpieszył zagłuszyć ów śmiech szydery.

— Zachłaniał do Pławic, więcej niż do panny i wdepnął w te Pławice, które mu żona często wypowiada, szukając przytem nowych dreszczów. Taki Konopski...

— Przypuszczasz?...

— Przecie to łatwo poznać. Ona sprytna, umie maskować się. Ale na widok mężczyzny dostaje niesamowitych drgawek.

— Wybornie! taka kobieta, to cenny nabytek dla mężczyzny...

— Ale dla męża... á la longue?...

— O ile są Konopski...

— Ale ale, czy ty, War, wierzysz w ten majątek na kresach?...

— Konopskiego?... — Dajże spokój!... — Ja go sobie przypominę. Nie wiem, lecz widzę go ciągle jakby w gorzelnii... to jakiś oficjalista napewno. Teraz bolszewicy natworzyli moc nieistniejących nigdy obszar-

POWOJENNI

ników. Skąd go Zachłańska wytrzasnęła?... czy to jej znajomy z Warszawy?

— Gdzież tam, mieszka u nich w Pławicach.

— Cóż on tam robi?

— Hm... No, zapewne jakąś posadę jednak zajmuje... A może l'home de compagnie pani domu. — Jedź War do Pławic, pani Justa wesoła, łatwa, zabawisz się, rozerwiesz...

— Wyborny sobie jesteś! Może kreujesz mnie na dublowanie roli Konopskiego?

— Ja jadę pojutrze — rzekł tonem stanowczym Karol — a Ty War?

— Zostaję w Warszawie.

— Poco my właściwie marnujemy czas na czcze rozmowy o Zachłańskiej — zachnął się Kmietowicz. — Co nas obchodzi ona, Pławice.

— Et tutti quanti — dorzucił War sennie...

— No właśnie! Skąd teraz... taka rozmowa między nami... czy innych tematów nie mamy?...

— Na inne... zapóźno, dochodzi druga.

— A na jeden... aktualny?...

— Za... wcześniej — rzekł Edward przeciągle.

— Czy tylko ze mną?

— Może być...

Karol zmieszał się.

— W takim razie dobranoc ci...

— Nie gniewaj się, Lolek, ale widzisz, ona mi przypomina jedną dziewczynkę, cudowną i takie same ma cudowne oczy... tylko tamta miała słodsze, bardziej marzące. Gdy je wspomnę, nie dają mi spokoju. Gdybym je kiedy spotkał... I usta jej były takie, których smaku nie zagłuszą już żadne inne. Usta zaś panny Róży...

— Przesiąknięte zapachem...

— Karolu!!... — wykrzyknął War, zrywając się z pościeli —

HELENA MNISZEK

— Czekoladek... czego krzyczysz?... Czyż w zaślepieniu nie widziałeś, ile ich pochłonęła — mówił Kmietowicz, tłumiąc śmiech z przedwczesnego oburzenia Wara.

Zebrzydowski popatrzył mocno i nieufnie na kolegę. Upadł na poduszki.

— Zmęczony jestem!...

— I już... przeczulony...

— Co znaczy już?

— No, wiesz, czas spać.

Kmietowicz przekreślił kontakt. Światło zgasło...

Błada poświata rysowana deseniem firanek i sztory wpełzła do pokoju z okna, wychodzącego na ulicę.

Krakowskie cichło powoli, tylko tupot konia doróżkarskiego zatętniał na drewnianym bruku, albo ryk samochodowej trąbki rozdarł ciszę krótkim, chrypliwym, lub ostrym dźwiękiem. Był to jakby pojedynczy ton fałszywej nuty, rzucony w tę symfonię nocy, będącej tłem dla pastelowych marzeń, jaskrawych pragnień... palących pożądań... i pamiętnych upojeń... i szarów... i zbrodni... i trwożnych myślań... i myśli śmiałych... i zawodów... i nadziei. I w piersiach dwóch kolegów, usypiających o kilka kroków od siebie inne były westchnienia. Kmietowicz odczuwał jakiś lżejszy nastrój... jakby chmura ciężka zsunęła się z piersi, pozostawiając po sobie tylko gęstą mgłę. W piersi Zebrzydowskiego trwała burza i podsycala się napływami wrogich sobie chmur...

Świt zimowy zajrzał do okna świetlicy, w gajówce na Sarnach.

Magdalena Turowa otworzyła oczy. Przeciągnęła się rozkosznie z westchnieniem, spędzając z oczu resztki snu błogiego, z którego wolałaby się nie budzić. Całą noc w tym cudownym śnie przebyła jako Dada Dobrucka w Dawidówce, z rodzicami i z bratem Zychem. Widziała ich jak na jawie, słyszała głosy ukochane. I widziała swoje kwiaty w cieplarniach; przepyszne Marechal Niel, rozpięte na półokrągłych szklanych ścianach i suficie oranżerji. Widziała park malowniczy, pełen starodrzewia i pełen kwiecica. I trawniki zielone i klomby kwieciste i grzędy lewkonji, goździków pachnących... i białe zagony konwalji... i smukłe białe lilje, drżące złotymi sercami wewnątrz niepokalanego kielicha... Widziała karminowe grona róż Czimson Rambler strojące ściany domu. Festony tych kwiatów, zasypywały okno jej panińskiego pokoiku, gdy otwierała je rano, przy wschodzie słońca, wyskoczywszy z pościeli w bieliźnie. Szczególnie upamiętnił się jej poranek złocisty po kilkodniowej wycieczce do borów odległych, z Zychem i starym Semenem, borowym. Po owej wycieczce odbytej w stroju cyganki, po owem życiu koczowniczym urządzone dla własnej fantazji, w którym spotkała tyle uroku i pierwszą miłość dla nieznanego myśliwca. Ileż było czaru w tej sielance! Odgrywała rolę cyganki przed tym wykwintnym młodzieńcem, który porwał ku sobie całą jej wyobraźnię, zrealizował marzenie. Od natarczywości jego zapałów musiała się bronić ucieczką z lasów do domu, nocą, by nie znalazł ich szałas i nie dowiedział się, kim jest. A gdy po powrocie do domu błysnął pierw-

HELENA MNISZEK

szy poranek, zerwała się o wschodzie słońca, otworzyła okno i wychylona całą pierśią nazewnątrz, z rozpuszczonymi włosami na batystowej różowej koszulce, mówiła z oddalenia „dzień dobry“ nieznajomemu myśliwcowi. Pozostał on tam gdzieś, w przepastnych borach, i może także myślał o niej?... Dada wówczas rozpostarła ramiona, przeciągnęła się rozkosznie, wspomnienie jego pocałunków przeniknęło ją dreszczem zachwyty pierwszej dziewiczej namiętności... Zrodził się ostry wyrzut, dlaczego, dlaczego, uciekła?... Ale on mię odszuka, on mię znajdzie! A oto kroki na uliczce... szybkie jakieś... nerwowe. Kto to? Czyżby? Szalone chwilowe przypuszczenie sparaliżowało ją... Lecz nie! Na uliczce, obok jej okna stanął Zych.

— Dada, wyjeżdżamy zagranicę — zawołał.

— Jakto, dlaczego, co się stało? — spytała z nagłym uczuciem zimna i pustki dokoła.

Zych zbliżył się i oparty o futrynę, owiany gronami różyczek, patrzył jej w oczy uważnie, trochę zmieszany.

— Co się stało? — spytała blednąc.

— Powiedziałem rodzicom wszystko. Uważałem to za swój obowiązek. Zdradziłem twoje zaufanie siostrzyczko, ale to było konieczne. Rodzice postanowili chwilowo usunąć ciebie z Dawidówki, w przypuszczeniu, że on cię tu łatwo znajdzie. Rodzice tego nie chcą. —

— Dlaczego?

— No widzisz, dziecko, sielanka trochę romantyczna, twoje stanowisko społeczne i towarzyskie, i taki flircik w lesie z paniczem...

— Czy wiecie kto on jest?...

— Daję ci słowo honoru, że nie wiemy. Zresztą, nie widziałem go. Rodzice są tem bardzo wzburzeni... Ale nie lękaj się, Dada, wszelkie konsekwencje ich gniewu, wziąłem na siebie.

— Ależ ja nie chcę! Ja i tylko ja jestem tu winna. Mam dziewiętnaście lat i sama za siebie odpowiadam. A jego kocham i tej miłości nie wyrzeknę się za nic, za

POWOJENNI

nic! Wierzę, że i on mnie kocha, że on mnie odszuka, ja zresztą muszę się dowiedzieć, kto on jest i gdzie mieszka. —

Zych ujął rączkę siostry.

— O to chodzi właśnie, że rodzice nie chcą waszego odszukania się i wyjeżdżamy dziś do Ostendy. Jadę razem z wami. Taka jest wola rodziców i musisz się do niej zastosować...

Nie pomogły błagania, zaklęcia i prośby Dady. Wyjechali. A w sześć tygodni po tem, wybuchnęła wojna. Dobruccy zdążyli ostatnim pociągiem przejechać granicę przed jej zamknięciem. Gdy Dada znowu pierwszego ranka po powrocie do Dawidówki stanęła w swem oknie, coś jęczało w jej sercu. Straszne uczucie grozy nieznaney, mroziło ją. Odtąd znikł zupełnie słodki spokój, panujący zawsze w drogich ścianach dworu w Dawidówce.

W następnym roku zginął Zych, ... a potem? ... Ach krwawe, straszne wspomnienia...

Młoda kobieta zatrzęsała się w sobie. Dziś znowu sen dobroczynny przyniósł tamte odległe, słodkie i piękne wizje... rodziców, Dawidówki, wycieczki leśnej do odległej puszczy, ... koczowniczego życia, ... spotkania z nim i tego poranka w oknie i rozmowy z Zychem... Tylko dlaczego Zych, stojący wtedy przed jej oknem, nie był dziś naprawdę Zychem, lecz miał twarz inną, miał oczy ciemno-granatowe pod czarnemi brwiami, zrośniętymi nad nosem, lekko garbatym o nozdrzach wydatnych i ruchomych... Dlaczego tam za oknem w Dawidówce stał nie Zych, lecz Jerzy Strzelecki?...

Twarz porucznika prześladowała Dadę od chwili, gdy odjechał z Sarn, od chwili, gdy go pożegnała stojącego na stopniu wagonu, z czapką uniesioną nad głową, z tym cieniem szczególnym w oczach, z pionową zmarszczką w załomie zrośniętych brwi. Jego uścisk ręki czuła dotąd, męski, taki drogi. Odjechał, a ona została z obrazem jego w duszy wyrytym zbyt głęboko. Czyż mogła o nim zapomnieć? ... Zjawił się tu na ga-

HELENA MNISZEK

jówce niespodziewanie, nieprzytomny, chory, zbolący. Rato-
wała go jak brata, taki dziwny poryw uczuła do niego
odrazu. Gdy znalazła go nieprzytomnego na mchu, na
skraju lasu i polany gajówki, wzbudził w niej najpierw
gorące współczucie swoją dolą, nieznaną jej jeszcze...
Wiedziała tylko, że to żołnierz, poznała to po łachma-
nach munduru tak poszarpanego, że nie okrywał go na-
wet dostatecznie. Przy współczuciu ucieszyła się, że bę-
dzie miała tego pacjenta pod swoją opieką, że jej przy-
bywa na gajówce wyraźny cel jakiś. Poprzysięgła sobie,
że go wyratuje, że on musi wyzdrowieć. I oto, gdy
on po raz pierwszy spojrzął na nią temi granatowemi
oczami, jeszcze z poza mgły, bez świadomości, już do-
znała wstrząsu niepojętego dla niej. Wtedy po raz pierw-
szy zrozumiała, że to nie jest człowiek prosty, że to
ktoś, kogo tylko zły los rzucił w taką nędzę bytu.
Odczuła w nim brata, odgadła jakiś dramat w jego życiu,
podobny do jej dramatu i tembardziej serce jej zabiło
do tego towarzysza niedoli. A potem, po tej ich pierwszej
rozmowie, gdy wyznał kim jest, serce jej zabiło żywiej.
Przecie ona o nim myślała, nie znając go jeszcze wcale,
tylko z opowiadań męża. Ten porucznik Jerzy Strze-
łecki, apoteozowany przez Wacka, był dla niej uosobie-
niem jakiejś potęgi męskiej, a zarazem wymarzonem
typem męskim. Była pewna, że on jest tamtym z lasu,
jej złotym snem i pierwszym marzeniem młodości. Zjed-
noczyła ich odrazu i nie miała wątpliwości, że Jerzy
Strzełecki, to tamten nieznany, a ukochany. Wacek ko-
chał go jako zwierzchnika, ona go kochała jako marze-
nie. Na jakiejś fotografii w grupie oficerów pokazał
go jej Wacek. Przyglądała się zawsze uparcie, chciwie.
Twarz była niewyraźna, w cieniu, ale ta postać smukła
i rycerska była dla niej uosobieniem piękną i wizją tam-
tego. Ten był w mundurze, tamten w eleganckim myśliw-
skim stroju... ale to był on... Wyegzaltowała go sobie,
w mówiła w siebie, że to on... I potem, gdy ów ranny
nędzarz, znaleziony na mchu na skraju polanki, zemdlony,

POWOJENNI

prawie konający, gdy on, którego wyrwała śmierci wyznał jej, że jest Jerzym Strzeleckim, nie doznała już rozczarowania, że on nie jest tamtym, bo on sam był jej drogim... Tamten nieznany z lasu, zbladł wobec tego nowego uczucia, poprzedzonego przelotną tęsknotą do... Strzeleckiego z opowiadań Wacka. Do Strzeleckiego, którego w wyobraźni łączyła z tamtym, a który, okazawszy się innym, nie stracił nic na swym swoistym uroku...

A potem, on przyniósł jej wiadomość o śmierci Wacława. Odrazu odgadła tę wieść z jego oczów, z jego wyrazu twarzy, od pierwszej chwili, gdy on spytał nie patrząc na nią:

— Czyżby Wacław Tur?...

Z jego ust dowiedziała się, że jest wyzwoloną. Wszak tak bardzo była nieszczęśliwa w małżeństwie z Wacławem... Pomimo, że odczuwała jego wielką miłość dla siebie, lecz sama, prócz przyjaźni nie miała dla niego nic więcej w sercu... Gorzej, bo czuła do niego wstręt fizyczny. Niewypowiedzianą męką było dla niej pożycie z tym człowiekiem, którego nienawidziła jako męża, a tolerowała przyjaźnie jako przyjaciela, brata, kolegę. Wyszła za niego, powodowana wdzięcznością, że ocalił jej życie, gdy ona była ranna i z upływu krwi zamierała pomiędzy zabitymi. Padła na stanowisku, ratując rannych. On ją odszukał i oddał ją życiu, które tak kochała, pomimo ciosów, jakie ją spotkały w zaraniu młodości. Ileż razy potem przeklinała tę chwilę powrotu do życia. Wacław zjednał ją sobie dobrocią i tem oddaniem się wiernego jej na śmierć i życie człowieka. Nie miała nikogo na świecie, była sama, sierota. Łudziła się, że w tym prostym człowieku, tak różnym od jej rodziny i otoczenia dawnego, ale dość inteligentnym, znajdzie spokój i ukojenie. Żywiła dla niego uczucie braterskie. Wychowana w klasztorze bardzo starannie, w ogromnej troskliwości rodziców, pomimo pamiętnej przygody na wycieczce leśnej, zachowała niewinność duszy. Nie znała

HELENA MNISZEK

zupełnie życia i jego praw. Gdy została sama, los oszczędził jej także nauk i doświadczeń na tem polu.

Zostawszy sanitariuszką, zjednywała sobie wszystkich swoim czarem i słodyczą, onieśmielała do siebie oficerów. Żołnierze ją ubóstwiali, siostry-sanitarjuszki nazywały ją wprawdzie aniołkiem, lilijką, często z ironją i niechęcią z powodu jej niewinności, lecz ujęte jej swoistym czarem, oszczędzały ją również. Całą brutalność treści życia, poznała dopiero jako żona Wacława. Nieznajomy myśliwiec z wycieczki leśnej, dał jej poznać pierwszą poezję życia, pierwsze upojenie pocałunku, niewinne, a tajemnicze źródło miłości. Z Wacławem poznała nagą prozę życia, od tej chwili zamknęły się dla niej wszelkie jego ponęty. Dla męża zrodził się wstręt, była w niej jakaś obraza i okrutne upokorzenie. On zdruzgotał w niej ideał życia. Gdyby nie była wierząca, może rozpacz popchnęłaby ją do samobójstwa. lecz zbyt często śniła matkę swoją, którą ubóstwiała, i która ją od tego strzegła. Sugestją pozagrobową wywierała na córkę wpływ mistyczny i silny. Im więcej się Dada męczyła w pożyciu z Wacławem, tem ta sugestja z zaświatów płynąca, stawała się mocarniejszą i bardziej odczuwaną. Dada miewała halucynacje, widziała w wyobraźni matkę, która jej nakazywała wytrwać w męce i w tym nakazie była dla Dady nadzieja tak wyraźna, że... nie śmiała o niej myśleć. Mając dobre serce, nie chciała dla Wacława jego zguby, podobna myśl ani na chwilę nie powstała w jej mózgu. Jednakże podświadomie cała jej istota żyła oczekiwaniem czegoś, co przyjsć musi, a co będzie jej wyzwoleniem. Myślała o tem, że wyzna wszystko Wacławowi i że on sam ją od siebie uwolni. Myślała o wstąpieniu do klasztoru, myślała nawet bez przykrości o własnej śmierci, tylko nigdy o śmierci Wacława. A jednak przeczuła ją i zdołała się oswoić z tą marą nawiedzającą ją od czerwca już coraz częściej i coraz uporczywiej. Gdy Strzelecki oznajmił jej, po długich badaniach, że Wacław zginął w czerwcu,

POWOJENNI

była już do tej wieści przygotowaną, I oto jest wolna! Oszłomienie minęło dopiero po wyjeździe Strzeleckiego... Wtedy jasno i wyraźnie zdała sobie sprawę z sytuacji. Pomimo bólu nad losem Wacława, który był z nią, wedle jej mniemania, także nieszczęśliwy, pomimo goryczy, że ona mu ostatnich lat życia nie umiliła, było w niej jednak szczególne, żywiołowe uczucie swobody, niemal powrót dawnej radości życia, z czasów, gdy przebywała w Dawidówce. Uczuła jakby szeroki podmuch ze stepów ukraińskich płynący, nowy prąd wichru młodości i szczęścia. Karciała się sama za te niewczesne uczucia, lecz zagłuszyć ich w sobie nie zdołała. Był w niej pęd ku nieznanemu życiu, bezmierne pragnienie nowych wrażeń. Przychodziły porywy gwałtowne, chciała uciekać z gajówki na Sarnach w świat, do ludzi, do innej kultury, do swoich ram. Wszystko to, w czym od dzieciństwa wzrosła, co ją otaczało, do tej strasznej nocy pożogi dworu w Dawidówce i zgonu rodziców;... ojciec był zastrzelony, matka skonała na jego trupie, tknięta paraliżem serca, — wszystko to było już od niej tak daleko, że jakby w poprzednim istnieniu. Czuła się ptakiem wyrosłym z pisklęcia, które kataklizm wyrzucił z gniazda na zaturę. Żyje, ale pamięta o gnieździe swoim i czuje się okropnie w cudzej norze podziemnej. Bo Gajówka na Sarnach była dla niej norą borsuczą w porównaniu z pięknym gniazdem sokolim w Dawidówce. A jednak... zżyła się z tą chatą, zżyła się ze starym Turem, człowiekiem prostym, lecz dobrym i prawym, ale zżyła się dla tego tylko, że podświadomie, ciągle i stale czekała czegoś... innego.

Przyszło ono do niej z wieścią o jej wdowieństwie i wzburzyło w niej cały, z mazołem niesłychanym zdobyty pozorny spokój. Przyszło jeszcze, by musnąć ją kuszącym powiewem ze świata, by rzucić na nią czar i... odejść... Jakże tu teraz trwać? Jak tu wybrnąć z męczącej nad wszelki wyraz sytuacji wobec starego Tura?... On ciągle oczekuje wieści od syna... ciągle

HELENA MNISZEK

z nią o nim rozmawia i krwawi jej serce. Jest chory, niedołęźnieje, — to oczekiwanie trawi go, lecz ona wie, że prawda by go zabiła i... milczy. Ileż już razy postanowiła sobie, że powie mu wszystko, lecz gdy tylko zaczęła mówić z wątpliwością o milczeniu Wacka, gdy starała się przygotować nieco Tura do ciosu, wnet ogarniało ją przerażenie. Jakże mu to wyjawi wobec jego optymizmu i niezachwianej wiary, że Wacek żyje i wróci?... I znowu milkła bezradnie. Żałowała teraz, że od razu wtedy nie powiedziała wszystkiego, gdy był Strzelecki. Wtedy byłaby śmielsza i nie taka sama jak obecnie. Dokądże to będzie trwało??...

Zamyślona o swoich troskach, zasłuchana w szum tej nowej fali, nadlatującej ku niej ze świata na szerokiemiennych skrzydłach, nie spostrzegła, jak świt przemienił się w jasny dzień i słońce zajrzało do okna. Dada zerwała się z łóżka. Okrzyk zdumienia wybiegł z jej ust. Za oknem było biało niepokalanie, przepysznie. W nocy spadł śnieg. Dada podbiegła i przysunęła twarz do małej szybki, chłonał wesołemi oczami las, pokryty białą, świeżą okiścią. Klasnęła wesoło w ręce i jęła się prędko ubierać.

— Pójdę na obchód! —

Skrzypnęły drzwi. Weszła do świetlicy stara kobieta, niosąc garnuszek z gorącym mlekiem i chleb czarny na talerzu.

— Coś zaspiałaś, gołąbko... Już słonko wysoko, a las kiej panna młoda.

— Zaspałam, babulko i trochę sobie myślałam.

— A pieski już uleżeć spokojnie pod progiem nie mogą, tak jazgoczą i jazgoczą. Tęskno im do lasu z tobą, gołąbko. Napij się, koteczku, mleka i podjedz, zanim wrócisz z lasu, wygłodniejesz.

— Czy ojciec już wstał?

— Kiedy! Ledwo świtało, taj poszedł z fuzją do boru.

POWOJENNI

— Boże mój! trzeba było, babulko, obudzić mnie. Wczoraj tak kaszlał, nie puściłabym. Sama bym poszła.

— A toż codzień chodzisz sama, to i staremu nie zaszkodzi. Coprawda, markotny dziś był wielce, ale ciebie nie pozwolił budzić. Tak jeno wyglądał, jakby mu ze dwadzieścia roków przyłożyli na plecy.

— W którą stronę poszedł ojciec?

— A na wielki las. Mówił tylko, że jak zechcesz iść, gołąbko, to możeby zajrzeć na Polany na Smolarnię Starą i na Mchową Górę.

— Zaraz idę!... — rzekła Dada, zdejmując z kołka strzelbę i patrontasz. Ubrana już była zupełnie i uczesana. W długich butach w kozuszkach, zawiesiła na plecy fuzję, zapięła pas z nabojami i na głowę włożyła głęboko czapkę barankową. Z pod czapki czarnej, wymykały się jej kasztanowate ciemne włosy, na twarzy bladej zakwitły jasne rumieńce... Lubiła swoje wycieczki do lasu, były one dla niej wytchnieniem duchowym, były zawsze upragnione. Żując czarny chleb, dopiła resztę mleka, pożegnała starą i wyszła ze świetlicy. Gwizdnęła na psy. Opadły ją Zagraj i Dzwonek, Szast i Prast, Skoczna i Żmijka. Wiekowy Merdas i staruszka Słucha, poszły z Turem na Wielki Las...

Dada wskoczyła w śnieg przed domem z radosnymi okrzykami, psy obskakiwały ją, naszczekując wesoło, i one również cieszyły się swobodą, świeżym śniegiem, ponową w borze i słońcem. Wkrótce Dada wsiąkła w biel, rozsnutą dokoła przez czarodziejską prządkę... zimę.

Młoda kobieta biegła ochoczo, przeskakując dla uciechy przez pnie w białych czapach śniegu schowane. Strząsała swawolnie śnieg z gałęzi sosen na rozigrane psy, które z wywieszonymi językami, już zziajane, rozpylały sobą sypkie małe zaspę, skomlały i szczekając z wielkiej radości. A las był cały jakby zaczarowany. Ogromne połacie śniegu okryły zwisłe ciężko gałęzie sosen i starych jodeł. Pnie tonęły w puchu chłodnym, a pu-

HELENA MNISZEK

szystym i białym jak piana mleka. Wszędzie biało i biało, wszędzie pełno tej bieli. Każda gałązka obłożona białym puchem waży się ciężko, dostojna tą nową szatą królewskich gronostaji. Bór jakoś zacieśnił się, zagłuszył. Wszędzie białe puszyste korytarze, tunele, wąwozy. Tam jodła zawalona kożuchem białych futer ma wygląd staroego, pochylonego dziada. Oto biała długa broda, oto włosy puszczone powiewną okiścią, oto sakwa z białych baranów, kołnierz ogromny. Dziad utknął w śniegach, zasypany śniegiem stoi bezradny, śmieszny, oparty na koszturze z grubego konara sosny. A tam dalej olbrzymka jodła... W pochodzie swym monarszym przez bór została uwięziona przez białą przemoc, nie udźwignie tego nawału, który zatracą jej kontury. Za dużo spadło na nią tej białej potęgi. Więc stoi zdumiona, ramiona rozpostarła, dumny kołpak na głowie unosi ku słońcu, jakby stamtąd szukała ratunku, wyzwolenia z białych oków. Las jest tak piękny, że Dada zachwyca się głośno przemawiając do psów.

— Patrz, Żmijka, jaki ten świerszczek jest komiczny, zupełnie mały gnom. Nie wygrzebie się ze śniegu... Żmijka! tu, do nogi, nie wpadaj jak szalona, bo otrzepiesz gnomka z szaty i stanie się brzydki. Prast! nie warjuj. Patrz jak rozdzierasz gładki aksamit śniegu. Dzwonek, dosyć hałas! Zwierzyna usłyszy cię na milę i kłusownik także. Wszystko przed nami ucieknie... Patrz, patrz, Zagraj, wrona leci, wygląda jak węgiel, na tle tej cudnej sosny... Ach, żeby ją okurzył śnieg... Widzisz jak wali skrzydłami i kracze i ona się cieszy z zimy...

Psy jakby rozumiały, podnoszą pyski do góry i węższą radośnie i wdychają powietrze mroźne, a rzeźwe jak woda źródłana, pachnąca lasem i lodem... Skoczna i Zagraj chwytają w pyski śnieg i oblizują oszroniałe chrapy, prychając robią skoki dziwaczne, rade z tej rozpylonej fontanny, która kaskadą białego pyłu otacza ich ciała polotne, żadne skoków i wesela

POWOJENNI

W pewnej chwili Dada spochmurniała. Przypomniała sobie taką samą śnieżną biel na „Perekrestce“ w lesie dawidowieckim, gdzie zawsze z ojcem stawała na stanowisku podczas polowania, bo tam „wsiakij zwier be-żyt szczob sie perekrestyt'sia pered smertiu“ mówi stary Semen, „pobereźnik“ gajowy. Dlatego to uliczka zanurzona wśród gęstych zagajów sosen nazywa się w miejscowej gwarze — Perekrestka.

Dada wznosi oczy żałośnie w górę, gdzie nad białym borem rozpięty błękit nieba świeci przejrzystą barwą wolny od obłoków, pogodny. Niebo się uśmiecha do lasu, a las cieszy się z tych ciepłych uśmiechów, bo choć mu pięknie w tej bieli, lecz za ciężko. Szczodry uśmiech nieba, może jodłom uwięzionym sprawić ulgę. Spadnie trochę pyłu białego, spłynie trochę łez i będzie lżej zielonym ramionom. Dada nie uśmiecha się do nieba, choć ono odbija się w jej ciemnych oczach i nasycza je błękitem swego piękna. Dawna Dada Dobrucka czuje pod powieką coś palącego i rzęsy czarne zatrzepotały jakoś dziwnie prędko. Ale Dada Turowa wstrzymała dygot rzes... zacisnęła mocno powieki, by wilgoć łez pod niemi zebraną nie puścić na policzki.

— Nie, nie!... O Boże!... A za chwilę ze sztuczną brawurą w głosie altowym o dwa tony niższym i jakimś nabrzmiałym:

— Zagraj... do nogi! Szast... tu!... Nie widzicie, że to już Polany... Gdzie pędzisz?... Och, patrz... patrz... jak tu cudownie!...

Leżała przed nią rozległa polana, gładka i biała niepokalanie, błyszcząca w słońcu srebrną lamą, roziskrzona... Otaczał ją zwarty mur lasu w białe kożuchy odziany, uroczysty i dostojny. Cisza trwała tu, jakby jeszcze bardziej głucha, niż w głębi boru. Nie słychać nawet krakania wron. Psy stanęły na skraju Polany, podniosły pyski do góry i węsząc przeczystość powietrza rozległej przestrzeni, wpatrywały się poważnie w biel rażącą oczy, a tak powabną, tak pociągającą, by sko-

HELENA MNISZEK

czyć w nią i zanurzyć się w jej sypkiej chłodnej kąpieli. Szast parsknął rezolutnie, zawachlował rozkosznie czarnymi waflami nozdrzy i już, już zebrał się w sobie do skoku, lecz Dada powstrzymała zakusy faworyta, za którym poszłaby cała sforka. Zbyt piękna była ta glazurowa przestrzeń, by kalać ją śladami, by ją rozszarpać bez żalu. Więc przemówiła do psów łagodnie, ale stanowczo i, trzymając je przy sobie, chłonęła zachwyconym wzrokiem piękny widok... Każda większa równina przypominała jej zawsze i nieodmiennie szmat stepu z Dawidówki. Lubiła te polany w borze, gdzie rzucił ją los, bo lubiła wogóle pobujać okiem swobodnie i szerzej, jakby się przed nią otwierał większy horyzont na świat daleki, zamknięty ze wszech stron puszcza. Gajówka na Sarnach, tonęła w lesie i dlatego polany te były dla Dady niby oknem na świat. Tęskniła do nich, bo tęskniła do świata i ludzi. W zapatrzonych jej oczach coś drgnęło w oddali, jakby poruszył się jakiś odległy punkt, tuż pod ścianą boru, z lewej strony. Turowa wpatrzyła się uważniej. Tak, tam coś się przesuwa obok zaśnieżonych sosen, gdzie wiedzie zwykle droga... Ale kto to?... Wtem psy, węsząc już gorączkowo, zdenerwowane, zerwały się z hałasem i pomimo nawoływań Dady rzuciły się ku nadjeżdżającym saneczkom. Dały nurka w śnieg i jak żmije czarne i rude śmigły po przez białe połacie śnieżnej polany, oglądając się niespokojnie na swoją panią. Nie atakowały konia, lecz oszcze kiwały saneczki zajadle. Z daleka Dada poznała w nadjeżdżającym młodego leśnika Ziębę, z odległej leśniczówki, który zwykle przywoził na Sarny listy.

Przyśpieszyła kroku, brnąc w nawałnym śniegu i wkrótce zrównała się z saneczkami. Leśnik zdarł konia silnie, wstrzymując go na miejscu. Zerwał czapkę z głowy i wyskoczył z saneczek. Skłonił się głęboko przed Turową. W twarzy młodej, dorodnej, miał wyraz zachwytu i pokory. Turowa podała mu rękę, ucałował ją z namaszczeniem. Patrzała na niego pytająco.

POWOJENNI

— Przywiozłem list do pani i do pana Tura, a na poczcie jest do odebrania przesyłka.

— Przesyłka? — spytała zdziwiona.

— Tak, jakiś duży pakiet, zawartość: książki.

— Książki? skąd?

— Nie wiem, jest pewno na kwicie, a oto list do pani. —

Dada spojrzała i krew uderzyła jej do głowy. Poznała charakter Strzeleckiego.

— Jakiś widać miły liścik — rzekł oddawca z nieśmiałym umizgiem.

Turowa ściągnęła brwi.

— Czy może mi pan pokazać list do ojca i kwit na przesyłkę?

— Proszę pani.

Nowy rumieniec wytrysnął na twarz Dady. List i przesyłka były także od Strzeleckiego. Opanowała się.

— Ojca pan nie znajdzie w domu, poszedł na obchód na Wielki Las.

— A to ja tam podjadę, może pani się przysiadzie, podwiozę.

— Dziękuję, jeszcze nie skończyłam obchodu.

— I pani się tak codzień męczy? Pan Tur pozwala?

— To dla mnie tylko przyjemność. Lubię las.

Podawała mu znowu rękę.

— Dziękuję panu i do widzenia. Muszę podążyć w swoją stronę.

Chłopak stał niezdecydowany. Dada zawahała się. Tak bardzo pragnęła pozostać sama, by przeczytać list od niego. Czekwała.

— Niech pan jedzie do ojca na Wielki Las, tam go pan zwabi trąbką i wracajcie na gajówkę. Ja będę z powrotem za pół godziny.

Leśnik ociągał się długo, patrzył na nią podejrzliwie, chrząknął, chciał coś mówić, lecz nie miał odwagi. Wreszcie gdy już zbierał lejce do odjazdu, spytał nieśmiało.

HELENA MNISZEK

— A może to list od męża pani?

Spojrzała na niego tak niechętnie, że pośpiesznie skłonił się jej, machnął czapką i skoczywszy do sanek odjechał. Turowa prędko zasunęła się za ciasną zwałę jodeł. Rozerwała list. Serce jej biło silnie, radość, nadzieja i trwoga szczególna walczyły w niej, wywołując drżenie rąk i brak tchu... Cichy szept rozsądku, że przecież Strzelecki nie mógł do niej napisać nic takiego, co by ją mogło wzruszyć i usprawiedliwić ten dreszcz wewnętrzny, nie uspokoił jej ani na trochę. Zaczęła czytać.

„Szanowna i droga pani. Może powinienem panią nazwać drogą siostrzyczką, która powróciła mi życie, lecz... nazwa ta względem pani, przezemnie, nie może być zastosowaną. Wspomnienie pani, poszło za mną nietylko jako mojej wybawicielki i dobrego ducha... Zaprowadziła mnie na Sarny wizja mojej matki, gdym już konał w lesie, pani mnie odnalazła i ocaliła. Była pani dla mnie tak bardzo dobrą. Pamięć jej słodczy jest mi i teraz talizmanem mego życia“...

Dada oderwała oczy od listu i wciągnęła głęboko w piersi ogromny haust orzeźwiającego powietrza. Czuła ogień na twarzy, w sercu dziwną błogość. Uśmiech jej ust rzucony polanom ośnieżonym był istotnie promienny. Psy zdziwione jej milczeniem, zaskomlały teraz radośnie i przypadły do jej nóg. Przemówiła do nich wesoło i znowu jąla czytać. Strzelecki opisywał krótko dalsze swoje losy po wyjeździe z gajówki. Ostatnie słowa listu brzmiały:

„Piszę jednocześnie do pana Tura. Czy nie wie dotąd jeszcze o stracie syna?... Ale pani, jakże droga pani żyje tam w tej samotni, tak bardzo sama. Proszę odczuć myśli moje przy sobie, proszę napisać. Gdy tylko będę mógł przyjadę, by na dłoni pani złożyć raz jeszcze pocałunek dziękczynny, za to, że ją poznałem... że pani istnieje. Jerzy.“

POWOJENNI

Dada w jakimś spaźmie radości najwyższej wyciągnęła ramiona w górę do błękitu nieba, z ust jej wypadły słowa, nabrzmiałe szczęściem.

— Ty mój... mój!...

‘ ‘



Dada błędziła długo po lesie, oddana swoim myślom zanim przyszło otrzeźwienie i świadomość, że musi powracać na gajówkę. Gdy wreszcie wróciła, młody Zięba już odjeżdżał. Był chmurny i patrzył na młodą kobietę zaostrożonym wzrokiem. W oczach tego chłopca widziała oddawna iskry niepokojące ją i to ją gniewało. Udawała stale, że nie dostrzega zachowania się Zięby, lecz dziś zirytował ją wyjątkowo. Na pożegnanie przetrzymał jej rękę w swojej i spojrzął w jej oczy takim żarem, że się cofnęła, blada z gniewu. A on nie puszczając jej ręki, którą chciała wyszarpnąć z jego uścisku, rzekł przyciszonym głosem z serdeczną wymówką.

— Dlaczego pani taka niedobłą, tyle czasu nie przychodziła, wiedząc, że ja muszę już na południe wracać...

Wzruszyła ramionami i zmierzwiwszy go chłodnym wzrokiem rzuciła ostro.

— Mógł pan nie czekać, nie zachęcałam pana do tego. —

Odeszła, a Zięba czerwony jak rak, machnął czapką w ukłonie staremu Turowi, wskoczył na saneczki i pomknął jak wicher.

Stary Tur wszedł do świetlicy. Na twarzy miał uśmiech wesoły.

— Wiesz, Madziu, że ten Zięba to poczciwy chłopak. Tak się martwi, że ty sama obchodzisz rewiry i grzęzniesz w śniegu. Wymógł na mnie, że on będzie pilnował Mchowej Góry i Starej Smolarni, jako od niego najbliższych i prosił, żeby ciebie nie puszcząć na obchody, że ty za delikatna. Po prawdzie, to on ma rację.

Dada zachnęła się.

— I ojciec na to pozwolił?

POWOJENNI

— No, cóż miałem robić?... Dla mnie jednego za ciężko, a ty, córeczko, nie możesz tyle brać na swoje siły.

— Mogę i nigdy nie narzekam. Jestem zdrowa! Nie trzeba było ojcu zezwalać na taki układ. Ja nie chcę.

— No niechby choć przez zimę zastąpił ciebie, duszko. Może potem Bóg da, Wacek wróci...

Dada zadrżała i przybladła. Poczem nagle fala krwi buchnęła jej do twarzy zalewając policzki jaskrawą krasą. Zrobiło jej się żal i wstyd za siebie, przed samą sobą, że gdy Tur wymienił imię Wacka, w tej samej chwili ogarnęło ją przerażenie... i nagle, w ślad za niemiem szalone uczucie swobody i niemal radości, że... nie wróci. Wstyd i żal zdusił w niej wszystko inne. Płomień przeleciał przez jej twarz smagłą. Zacięła usta, ale wnet podniosła głowę i rzekła dumnie.

— Ja sama dam radę z obchodem lasu. Nie chcę pomocy Zięby! Ojciec niech sobie odpocznie choć przez czas trwania tych śniegów nawalnych. Mnie one nie szkodzą, a las to moja największa przyjemność. —

Chciała powiedzieć — pociecha w smutku i tęsknocie, lecz żal jej się zrobiło starego. Był dla niej dobry, delikatny, umiała to ocenić.

Na drugi dzień Zięba przyjechał znowu. Przywiózł z poczty paczkę z książkami. Dada rozpakowując znalazła książki ciekawe i odczuła łatwo, że Strzelecki przysłał je wyłącznie dla niej. Nie były odpowiednie dla Tura. Ale gajowy znalazł i dla siebie właściwe dzieła i trochę pism illustrowanych, które go najwięcej ucieszyły. W przesyłce były także pieniądze, pożyczone przez Tura na drogę Strzeleckiemu.

Dada prosiła leśnika, aby jej w obowiązkach nie wyręczał, bowiem ona sama odpowiada za porządek w lesie i niczyjej pomocy nie życzy sobie wcale.

Leśnik zły i zmartwiony zapytał ironicznie:

— I dokądże to pani będzie tak harować na Sarnach, całe życie?

HELENA MNISZEK

— Jak wróci Wacław, to on obejmie obowiązek — zawołał Tur.

— Toż miał iść na doktora, nie na leśnika. A jeszcze czy wróci?... Ja tak myślę, że już nadziei mieć nie można. On pewno nie wróci, pewno zginął, bo dałby znać przecie o sobie. —

Tur zbladł i oczy mu błysnęły gniewem.

— Będzie tak, jak Bóg da, nie jak prorokuje pierwszy z brzegu. —

Zięba zaperzył się.

— No, tylko nie pierwszy z brzegu, bo i pan nie magnat!... Patrzcie się! Że pan z hrabianką syna ożenił, to myśli, że sam hrabią się stał.

Tur machnął ręką z gniewem i zniechęceniem.

— Niech pan nikomu śmierci nie przepowiada, o to najpierw pana proszę, a po drugie, ja nie byłam hrabianką żadną i proszę moją osobą ojcu nie dogryzać — zawołała Dada z oburzeniem.

Zięba spojrział na nią z jakąś dziwną błyskawicą w oczach, syknął przez zaciśnięte zęby.

— I pani będzie tu czekała na męża, który... pewno już dawno ziemię gryzie...

— A panu nic do tego. Milcz pan! Chcesz być puszczykiem, to idź wróżyć źle gdzieindziej! — huknął stary Tur i straszny z wyrazem tępej rozpaczki w oczach, posunął się w stronę Zięby.

Dada podbiegła i chwyciła go za rękę.

— Niech się ojciec uspokoi, proszę. POCO sobie zdrowie psuć?

Mówiąc to, wskazała oczami Ziębie, aby wyszedł. Leśnik znikł za drzwiami. Wtedy Dada posadziła Tura na krześle i stojąc przy nim głaskała go po siwych włosach, przemawiając do niego serdecznie.

— On już poszedł sobie, niech się ojciec uspokoi, nie trzeba się tak unosić... nie trzeba...

POWOJENNI

— To puszczyk, bezczelny, łajdak, zły człowiek, bez serca! — mamrotał stary. — Dlaczego on przepowiada śmierć Wackowi?...

Nagle zatrzęsł się okropnym dreszczem zgrozy. Oczy pełne niesłychanego przerażenia skierował na synową.

— A może on co wie, może Wacek naprawdę nie żyje?...

W pierwszym mgnieniu myśli, Dada postanowiła powiedzieć całą prawdę... Już, już miały paść słowa zło-wrogie, lecz wzburzenie ogromne Tura i jego wzrok utkwiony w nią, odebrał jej odwagę. Zająknęła się tylko i rzekła bezdźwięcznie.

— Skąd Zięba może o tem wiedzieć?... A jeśliby wiedział, to by i powiedział napewno.

— Masz rację, gołąbko. Ty zawsze masz rację, bo i to dobrze, że odmówiłaś Ziębie, aby ciebie wyręczał... Masz rację, obejdziemy się bez jego pomocy. Żeby Wacek nie żył, to pan Strzelecki wiedziałby też o tem najlepiej, jako jego porucznik. On taki pan mądry i dobry, taki delikatny... Jakże to on ślicznie odwdzieczył się za gościnę, za tę burkę starą, pożyczoną — książkami... Taką zrobił przyjemność. Może będziesz się mniej nudziła, Madzeczko, tu na Sarnach, ze starym grzybem takim jak ja.

W tem do izby zajrzał Zięba i rzekł prawie pokornie.

— Proszę pani, mam pilny interes do pani, na chwileczkę, pani będzie łaskawa...

— Niech ojciec nie wstaje, ja załatwię.

Gdy wyszła do sieni, Zięba chwycił ją za rękę. Zanim się zorientowała, chłopak zaczął te ręce pokrywać pocałunkami. Szarpnęła się, lecz trzymał mocno.

— O co panu idzie?... Proszę zaprzestać, proszę mnie puścić.

— Ja panią przepraszam, że byłem niegrzeczny może, ale nie dla pani, tylko ten stary tak mnie rozgniewał... On nie wart małego palca pani, a będzie się tu srożył... taki cham!

HELENA MNISZEK

— Proszę zamilknąć natychmiast, słyszy pan?! — zawołała ostro Dada, wyrwawszy mu ręce z uścisków i spytała wyniośle.

— Czy to był ten pilny interes?

— A ten, bo chciałem panią przeprosić.

— Ublizając mojemu teściowi?...

— Przecież pani wie, że on cham w porównaniu z panią, nawet ze mną. Przecież ja panią...

— Zatem interes skończony! Dziękujemy za przewiezienie przesyłki i dowidzenia — rzekła Dada oschle i weszła do izby, przerywając rozmowę.

— Jakiż to był interes? — spytał Tur ciekawie.

— Chciał kupić od nas psa, ale odmówiłam.

— To i dobrze! Ot już odjeżdża... czegoś zły piekielnie, aż mu oczy goreją. A którego chciał kupić?...

— Zagraja — odrzekła machinalnie, przeglądając książki.

— Poczciwy ten porucznik, tyle książek... żeby nie stare oczy, tożbym czytał — rzekł Tur.

— Ja będę ojcu czytać głośno, wieczory długie, czasu wystarczy.

— Dobra ty jesteś, dziecko, kochane...

A po chwili szepnął na pół do niej, na pół do siebie.

— Żeby Bóg dał i żeby Wacek prędko wrócił... tożby radość i święte życie byłoby wtedy dla nas.

Książka wypadła z ręki Dady, schyliła się po nią nisko, by ukryć gorącą falę krwi na twarzy i łzy okropne, palące pod powiekami, łzy żalu, wstydu, bólu przeźliwego, lęku i okrutnej pewności, że to nie nastąpi... Ale dokąd, dokąd tak będzie trwać?... to ukrywanie prawdy.

Zanurzyła się w książkach, odsuwając myśli obłędne jaknajdalej.

I książki ją ratowały.

Odtąd codziennie po powrocie z obchodów lasu, Dada czytywała głośno Turowi rzeczy dla niego przystępne. Gdy zaś gajowy przy lekturze zasypiał, wtedy z radością

POWOJENNI

i głuchą jakąś tęsknotą zabierała się do czytania swoich, jak je nazywała, książek. W miarę czytania tęsknota wzmagala się, rosła i unosiła Dade w niebezpieczne krainy marzeń płomiennych. Obrazem tych pragnień bywał Jerzy, ale często inne źrenice, przepyszne, migocące rozpaloną stałą, przyćmiewały szafir oczów Strzeleckiego i budziły w sercu Dady dawne zastygłe podniety, uczucia. Było to wspomnienie oczów młodego myśliwca, który ongiś w borach przepastnych, oczarował spotkaną przygodnie cygankę. Stał się on niemal mytem dla dawnej Dady Dobruckiej. Obecna młoda Turowa, chwilami nie mogła rozdzielić w swej wyobraźni tych dwóch: Jerzego Strzeleckiego z tamtym, nieznanym... Jerzy był dla niej ukochaną rzeczywistością, tamten — cudną fantazją.. bajką przeżytą w zaraniu najpierwszej młodości. Ale obaj łączyli się w jedną jakoby całość, która wzbudziła niesłychaną tęsknotę w duszy Dady, która stała się w końcu męką jej życia na gajówce. Czuła, że już nie wytrwa tu dłużej. Wrzała w niej burza, grożąca lada chwila zerwaniem względów litości dla starego Tura. Sympatja jaką dla niego żywiła, głównie na podstawie wdzięczności za okazywane jej serce, zmieniała się czasem w niechęć i politowanie, że on tak biernie czeka na powrót Wacława. Chciała już nieraz przygotować go do tragicznej wieści, aby ostatecznie w tej nadziei fałszywego czekania zaszedł jakiś fakt nowy i w tym celu wyrażała swoje wątpliwości co do powrotu Wacława. Lecz Tur gniewał się na nią, wyrzucając jej wtedy dość brutalnie, że nie robi żadnych starań, by się dowiedzieć o losie męża. Gdy rozdrażniona na starego próbowała wyjechać, narzekał i prawie płakał, że go chce opuścić. Słabł coraz bardziej i coraz częściej zaniedbywał się w służbie. Wkrótce cały ciężar obowiązków gajowego spadł na Dade. Wschód słońca zastawał ją zawsze w lesie. Sumiennie obchodziła swój rewir, czuwała nad nim, jeździła do odległego leśnictwa zdawać raporty, była czynna, energiczna, niezmordowana. Czuła się zdrową, wró-

HELENA MNISZEK

ciła jej dawna pogoda dziecka, razem z dawnymi błyskami w oczach, które pod czarną gęstwą rzęs świeciły teraz przeczystym lazurem, niby jezioro w cieniu czarnych olch. Na twarzy szczupłej, matowej, zakwitł delikatny, jak różowa chmurka rumieniec. Ciało jej nabrało dawnej giętkości, kształty zaokrągliły się, nie tracąc nic ze swych klasycznych linii. Życie leśne pomimo swej monotonji wzmacniało jej zdrowie fizyczne, zachwiane przez czas bolesnych przeżyć wojennych i przez małżeńskie współżycie. Teraz powrócił jej spokój. Wiedziała, że trwa na gajówce, trzymana tu nie siłą musu i obowiązku, lecz własną wolą i trwać tu będzie, dopóki sama zechce. Postanowiła przebyć tu zimę zbyt ciężką dla Tura, z wiosną zaś wyfrunie w świat. Dokąd — na razie nie myślała o tem. Żyła się tu z naturą leśną, lubiła psy, przywiązane do niej bałwochwalczo. Lubiła opowiadania starego Tura o dawnych latach i różnych zdarzeniach. Lubiła książki, które jej teraz przysyłał Strzelecki, wypożyczane z biblioteki uchańskiej, a nade wszystko kochała listy Jerzego, coraz serdeczniejsze, coraz dla niej droższe. Odpisywała mu długą i szczerze, nie zdając sobie sprawy, że te listy zacieśniają ich stosunek w węzeł, który już wiąże miłość. Słodki świat marzeń otworzył się stubarwną tęczą czaru. Lecz urok ten przedziwny, mącony bywał często nagłym błyskiem ciemno-szarych oczów, które zawierały w sobie moc iskry piorunowej. I nie potrafiła już rozróżnić czasami, czy te oczy patrzące gdzieś jakby z mroku, były fantazją, zwidem jej wyobraźni, czy też istniejącą kiedyś rzeczywistością. Lecz gdy tylko rozpalona ich stal przeniknęła ją nawskroś odczuwała tę iskrę w całej istocie swojej. I zawsze wtedy wyczuwała na wargach pocałunek jego, pierwszy pocałunek mężczyzny na niewinnej krasie ust Dady - cyganki. Często budziła się w niej ironja i szydziła.

— Twój myśliwiec tajemniczy z przed siedmiu laty zapomniał o sielance leśnej z cyganką. Może ma już

POWOJENNI

dawno żonę, dzieci, może już wtedy był żonaty? może zginął? I znowu obraz Jerzego takim, jakim go znalazła na polanie gajówki wywoływał wspomnienia bliskie i drogie. Tamto było mytem, Jerzy jest prawdą, Jerzy przyniósł dla niej spokój, wlał do jej duszy otuchę, sercu jej dał miłość i pragnienia. Ocknął ją z letargu duchowego, wskazał jej nowe zakresy życia. Nie było w nim nic niepokojącego, nic co drażni i burzy. Myśląc o nim, poddawała się marzeniom, by znowu go ujrzeć, by mu w te szafirowe głębie źrenic zajrzeć ufnie i miłostnie, by na dłoni swej uczuć dotyk jego ust.

— A Wacek nie wraca i nie wraca — wpadły kiedyś słowa starego Tura w barwną przędzę marzeń Dady. Zadrżała, jakby dotknięta gorącym żelazem.

— Zwiędniysz tu sama, dziecko. Co tobie za życie. Męża masz i nie masz. Młodaś, a bez żadnej uciechy życie prowadzisz. I kiedy wróci i czy wróci?

Dada spuściła oczy i poprawiła głownię w kominie.

— Jak tylko wiosna błysnie, pojedę szukać — szepnęła.

— Daj Boże miłosierny. Czuję, że moje życie, albo moja śmierć jest w nim, w Wacku. Albo tak, albo tak. Niechby się już raz wyjaśniło, na którą stronę, lewo! czy prawo! Dobrze mi z tobą, Madzeczko, oj jak dobrze, jak w raju, ale przecie żeby i Wacek był, byłoby jeszcze lepiej. Czy tego doczekam?

Każda taka rozmowa raniła serce Dady. Była przekonana, że Tur istotnie ciosu swego nie przeżyje. Doznawała lęku, że jednak chwila ta musi nastąpić. A zima wlokła się długo, długo. Lasy pod okiścią śniegów leżały martwe, zastygłe, śniące o wiosnie, czekające biernie na jej sygnały. Dada oczekiwała jej również, czując instynktownie, że wiosna przyniesie jej jakąś zmianę. Wyobraźnię tłumiała w sobie, by zbyt bujnych, zbyt rozległych nie sięgała horyzontów. Chłonąc zapachy lasów wyczuwała w nich wiosnę i tęskniła do niej z utajoną radością.

Roman Pobóg odetchnął pełną piersią.
Czy to złuda, czy uratowany istotnie?
Spojrzał na swoją towarzyszkę, była blado-zielona,
ale w oczach jej gorzał płomień. Patrzała na Romana,
dyszac ciężko z fizycznego zmęczenia i trwogi.

Pobóg dotknął miękko jej ręki.

— Olga, jesteśmy uratowani — szepnął gorąco.

— My tylko uciekli od „czeki“, ale to jeszcze nie ratunek. Borys będzie nas szukał, a jak nas znajdzie...

— Mamy rewolwery.

— Będzie i on miał, tylko że nas dwoje a ich cała banda.

— Mamy przed sobą las i noc. Uciekajmy.

— A granica? Ty myślisz, że oni granicznej straży nie ostrzegli. A zresztą do granicy jeszcze bardzo daleko. Przytem musimy zboczyć do ruin mego pałacu.

— Oszalałaś!

Dziewczyna roześmiała się wesoło. W oczach jej błysnęły złowrogie iskierki.

— Mówiłam Ci, że nie daruję im swoich klejnotów. Za nic w świecie! Mogli się carskimi obłowić do woli, ale naszych rodzinnych nie powąchają. Zresztą to i lepiej. Zanim my dojdziemy do Zruba a stamtąd do granicy, to już czujność straży trochę osłabnie. Nikomu z nich do głowy nie przyjdzie, że zamiast uciekać w świat, siedzimy w Zrubie.

— I ty myślisz, że klejnoty ocalały?

— Już oni ich nie znaleźli. To pewne!

— A jak nas zdradzą?

— Kto?

— No, ci co są w Zrubie.

POWOJENNI

— Tam nikogo prócz Chazmary niema, mój miły. A Chazmara tak samo jak puszczyk lub sowa nie zdradzi. Tam ruiny tylko sterczą, a dokoła las, jezioro, pustka.

— Tak było jak was spalili, ale teraz może być inaczej. Narażasz się, Olga, sama, dla tych swoich kamyków i mnie narażasz. Ciebie Borys zabierze z powrotem a mnie czeka kula w łeb.

— A czyś się do tej myśli nie zdołał już przyzwyczaić? Stałeś ze dwadzieścia razy „pod stienkoj“, a naprzeciw ciebie rury karabinów i dlatego ci nic!

— Tyś mnie ratowała, ale teraz karabiny zadymiłyby napewno.

— Nie tyle ja Cię ratowałam ile nadzieja okupu, no i twoja dumna mina. Ale co o tem mówić! Do Zruba musimy zawędrować i będzie potem co Bóg da.

Olga podsunęła się do Poboga, położyła mu ręce na ramionach i spojrzała słodko a wnikliwie w jego oczy. W czarnych otchłaniach jej oczów świeciły gorące iskry.

— Roman, sokole mój, już ty się nie bój. Olga Gruzinka, Olga księżniczka Czhangirani nie zdradzi ciebie umiłowany. Ty, dla mnie teraz cały świat.

— Ale bez tych kamyczków ze Zruba jestem dla ciebie niczem.

— Widzę ironję w twoich oczach. A czyś ty widział szczęście bez pieniędzy? W tych kamyczkach cały mój majątek, moja przyszłość. Może... i nasza.

Pobóg spojrzał na nią surowo.

— Mów tylko o sobie. Ja tu nie wchodzę w grę. Moje życie inne — twoje inne. Tyś mi uratowała życie, ułatwiłaś ucieczkę, ja dopomogę ci do tej ryzykownej eskapady do Zruba, ale potem...

Olga odsunęła się od niego i oczy jej nabrały grozy.

— A potem co? porzucisz mnie?

— Odejdę do swoich, wiesz, że mam żonę i dzieci.

— Wiem, wiem! ale oni mnie nic nie obchodzą. Ty mnie obchodzisz, ty! Bo ciebie kocham i ciebie się nie

HELENA MNISZEK

wyrzeknę dla żadnych względów. Jak tylko skończymy ze Zrubem, przejdziemy granicę wygodnie. Jeden pierścień wystarczy na to. A potem do Włoch! Roman, tak mi lekko na sercu, że już tej „czeki“ przeklętej nie mamy na karku i tego szatana Borysa. Roman!

Zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się wysoko na palce i gorącemi ustami przywarła do jego ust. Ogień płynął z jej warg do jego żył i rozpałał je pożądaniem. Roman panował nad sobą całą siłą woli, lecz Olga ciągnęła go w płomienie swej namiętności z tak tyraniczną mocą zmysłów, że nie mógł oprzeć się tej potędze i jej urokowi. Zaczął oddawać jej pocałunki z szalem porywającym już całą jego istotę. Nie kochał tej kobiety, ale jej pożądał. Pragnienie jej rosło w nim, lecz zwalczał je stale do tej pory. Teraz czuł, że wola jego się łamie pod mocą jej ponęt i jej pożądania, którem obsypywała go niby purpurą iskier palących. Unicestwiało się jego postanowienie, jego nakaz własny, duchowy, nakaz męskiej woli, znikł pod wszechpotężnym nakazem głosu krwi. W pomroce lasu mętnie rozjaśnionej księżycową poświatą oczy Olgi gorzały jak dwa płomienie. Roman czuł ich żar w całej swej istocie i, sam zapłonął jak stos ognia, przestał władać sobą.

— Olga — jęknął głucho — odepchnij mnie od siebie. Ty wiesz, że ja...

Zamknęła mu usta pocałunkiem tak zachłannym, że stracił przytomność. Szaleńczym porywem przycisnęła ją do siebie. Uniósł w górę i zgniótł ją w uścisku. Jęk rozkoszy wydobył się z ich krtani. Spleceni objęciem mocarnem, w dreszczach szarpiącego aż do bólu pragnienia, zapomnieli o wszystkim.

.

Księżyc płynął po niebie wielki czysty zasuwając się chwilami za szare kłęby obłoków. W lesie, blaski te srebrzyste ślizgały się po czarnych pniach sosen, tworzyły jasne polany i ciemne otchłanie. Las był głuchy,

POWOJENNI

ale Roman Pobóg słyszał w nim ciągle szmery niepokojące. Nerwy jego były w napięciu straszliwym. Czuł się zgubionym i już nie widział ratunku. Obok niego Olga, z głową na jego kolanach, spała bez troski, oddychając rytmicznie. Widział jej twarz cudną o rysach przezczystych. Jej rzęsy olbrzymie tworzyły nieprawdopodobne cienie czarne pod zamkniętymi powiekami. Roman nienawidził jej w tej chwili. Posiadł ją, uniesiony wichrem namiętności, długo tłumionej i starannie ukrywanej. Ale teraz, gdy szął zgasł, uczuł całą odpowiedzialność za swój czyn wobec tej dziewczyny, która oto oddała mu dziewiczość swoją z miłości. O tem, że ona go kocha, wiedział prawie od chwili poznania się. Od tej samej chwili i on jej pożądał, lecz ani przez chwilę nie wątpił, że zwalczyć się potrafi i nie wierzył w jej niewinność. W otoczeniu, w jakim ona się znajdowała, wydawało się to prawie niemożliwe. A jednak...

Rozpacz gryzła uczciwą duszę Romana. Nachodziły nań takie momenty, że prawie żałował, iż go nie rozstrzelano. Ocalenie swoje zawdzięczał Oldze, a teraz ona stała się przyczyną jego nędzy duchowej, z którą uporać się nie mógł. Wszak ona wiedziała, że jest żonaty, że ma dzieci, niczego przed nią nie ukrył, lecz te względy dla niej nie istniały, powiedziała mu, że jest szczęśliwa. I on nie cierpiałby może nad dokonany fakt co do samego siebie, lecz cierpiał dlatego, że stał się przyczyną jej upadku. Wszak on mógł być dla niej tylko przygodnym towarzyszem niedoli i tak oto odwdzieczył się jej za ocalenie.

— Ocalenie?

Zaśmiał się z ironią.

A wszak teraz są już — zgubieni. Zamiast uciekać jaknajdalej od wrogiej czrezwyczajki, oddali się upajającym pieścizotom, lekceważąc grożące im w pobliżu niebezpieczeństwo. Wszak znajdą ich teraz bez trudu, Borys przetrząśnie lasy okoliczne, obejrzy każdy pień sosny, pierwszy patrol ich znajdzie, a wtedy, kula w łeb.

HELENA MNISZEK

Tak, Olga mówiła prawdę: miał czas przyzwyczaić się do grozy śmierci, gdyby się istotnie było można z nią oswoić. Ale teraz po tylu trudach nieludzkich, po zwalczaniu najniebezpieczniejszych przeszkód, teraz dać się wziąć, było dla Romana błazeństwem, które go oburzało i śmieszyło, które go przede wszystkim napoiło rozpaczą i wstrętem do samego siebie. Patrzył z litością i pobłażaniem na Olgę uśpioną spokojnie. Całą winę przypisywał sobie, siebie tylko czynił odpowiedzialnym, tembardziej, że Oldze tak dużo zawdzięczał. Przetarł czoło dłonią, westchnął z głębi udreżonej piersi i znowu zaczął zwalczać zmagający go sen. Musiał czuwać, pomimo że wiedział, iż to daremne. Czy wezmą go we śnie czy po krótkiej obronie, było mu to już obojętne. Postanowił jednak czuwać, by w momencie krytycznym uprzedzić strzał wroga własną kulą w swe serce. Ta myśl wydała mu się jedyną.

Wydobył browning, sprawdził czy przygotowany do strzału, położył go przy sobie. Błysnęła w nim myśl, by zbudzić Olgę i uciekać z nią, lecz uczuł w sobie taką ociężałość, takie osłabienie woli, że nie miał sił na wykonanie zamiaru. Siedział nieruchomo, oparty o sosnę, wpatrzony w gęstwinę leśną. Zwolna, wśród ciszy, zaczęły napływać wspomnienia, gdy ciężko ranny po straszliwej a bohaterskiej walce ręcznej, podczas szarży, omdlał i wzięto go do niewoli. Jako rotmistrz ułanów skazany był na rozstrzelanie. Pierwszym obrazem, który ujrzał po odzyskaniu przytomności, była cudna twarz „siostry Olgi“, która pielęgnowała go w długiej chorobie jak brata. Olga była wtedy po słowie z Borysem, komisarzem czerezwyczajki. Dobrowolnie asystowała przy śledztwach, wywierając wpływ dobroczynny na srogim komisarzu, który ulegał jej bezpamiętnie. Olga niejednokrotnie wpływem swym ratowała skazańców od zguby. Do celi Poboga przychodziła często niby dla badania więźnia. Pobóg wywarł na niej wrażenie nadzwyczajne; pokochała go całą siłą swej żywiołowej natury i, posta-

POWOJENNI

nowiła go zdobyć dla siebie. W tym celu opowiadała Borysowi zmyślane historie o Pobogu, czyniąc go krewnym swoim i milionerem. Zapewniła, że pochodzi on z kaukaskich książąt i że „opalaczył się“ przez ożenienie się z Polką. Gdy Borys uwierzył w to, dodała, że więzień nazywa się właściwie Pobohi i że posiada on na Kaukazie skarby olbrzymie, któremi gotów jest podzielić się z Borysem dla ocalenia życia. Mało inteligentny a chciwy Borys uwierzył i zląkomił się na obiecwane skarby. Zaręczony z księżniczką gruzińską i dumny z tego wielce wbrew teorjom bolszewickim, Borys zapragnął obiecanych milionów Poboga. Olga była jedyną pośredniczką, przez którą skarby te można było osiągnąć. Ale Borys musiał zwalczać swoich towarzyszków, którzy nie mogli pojąć, dlaczego ranny rotmistrz ułański jest tak troskliwie pielęgnowany w chorobie, przez Borysa i tak długo oczekuje śmierci; niejednokrotnie wyrzucali mu to i Borys wściekał się, manewrował, łgał, wykręcał się jak piskorz, urządzał dodatkowe śledztwa i stawiał Romana pod mur, tyranizując go, lecz do istotnej egzekucji nie dopuszczał. Na wiosnę mieli wszyscy troje razem wyruszyć na Kaukaz po domniemane miliony Poboga. Borys obiecywał sobie solennie, że gdy raz je zdobędzie, wtedy odpłaci się temu dumnemu Pobogowi i nawet wpływy Olgi nie zdołają tego zamiaru odmienić. Borysa drażniła również oporność Olgi, ale dzięki ten barbarus, o ile potrafił wraz z bandą swoją napisać na dwór jej ojca, kniazia Czhangirani, generała, którego zamordowano, o tyle wobec księżniczki, która własnoręcznie zabiła kilku krasnoarmiejców uczuwał szczególną nieśmiałość, ubóstwiając ją przytem jak „ikonę“ świętą. I nawet gdy się z nią zaręczył, oszczędzał ją, trochę przez dumę, trochę w tym celu, aby wobec tej księżniczki wydawać się europejczykiem. Olga korzystała w pełni z osiągniętych wpływów, aby wreszcie wykonać swój dawno i dobrze obmyślany plan. Społła Borysa i kilkunastu towarzyszków na uczenie, wydanej z okazji niby

HELENA MNISZEK

swojego pełnoletnia i prędkiego ślubu z Borysem i, tejże nocy uciekła z Pobogiem, zabierając z kasy Borysa tyle, ile wedle jej obliczenia potrzebne było na drogę do Zruba. Zaopatrzyła też siebie i Poboga w doskonałą broń, w żywność i fałszywe paszporty, w których oni oboje byli małżeństwem. I oto po tak trudnem wykonaniu dzieła ucieczki, teraz sami niejako wpadli w pułapkę własnych namiętności. Pobóg nie wątpił, że zostaną ujęci, lecz zmęczenie fizyczne i wyczerpanie duchowe po przebytych dniach poprzedzających ten krok ryzykowny wywołało w nim, zwłaszcza po ostatnim fakcie, apatję krańcową i uczucie zupełnego bezwładu. Sen go morzył, apatja rosła, zniechęcenie dopełniało w nim miary jego depresji. Wreszcie zasnął i ujrzał się w Uchaniach. Patrzał jak na jawie na pogodną twarz Tereni, która coś do niego mówiła i kładła mu kojącą dłoń na czoło. On zsuwał tę miękką, pachnącą dłoń na usta swoje i wpijał się w nią z jakimś uczuciem dziwnie dobrem i cichem. Widział dzieci swoje, pieścił je, widział w Uchaniach dużo ludzi a nie mógł ich poznać. Było mu dobrze, ale i nad wyraz ciężko jednocześnie, jakby w duszy jego trwała zacięta walka dobrego ze złem i, zło zwyciężyło a on nie mógł zwalczyć tej złej siły w sobie. Oczy Tereni nie przestawały nań patrzeć ze słodką wymówką i anielskiem przebaczeniem a dłoń jej pachnącą czuł ciągle na swych ustach. Wtem Terenia krzyknęła głośno i odepchnęła go silnie od siebie. Roman w tej samej chwili przebudził się. Zerwał się gwałtownie, uczuł, że coś się zsunęło z jego kolan na ziemię. Dokoła panowała ciemność i cisza. Pobóg oprzytomniał. Schylił się nad śpiącą Olgą, której nie przebudziło opadnięcie głowy z jego kolan, i uniósł ją całą ruchem dość brutalnym. Zawołał na nią cicho lecz z naciskiem. Ocknęła się. Wówczas pomógł jej wstać i jął naglić do ucieczki. W oczach miał jeszcze obraz Tereni, na ustach wyczuwał jej dłoń, słyszał jej krzyk. Ten krzyk był dla niego ostrzeżeniem. Oboje z Olgą porwali się z miejsca

POWOJENNI

tak gorączkowo, jakby i ona słyszała krzyk Tereni, jakby niebezpieczeństwo było blisko. Roman chwycił sakwę na plecy, umocował przy boku rewolwery i ruszył krokiem wojskowym. Olga złapała go za rękę.

— Wolniej! gałęzie trzeszczą pod twojemi stopami. Oni mogą być już blisko. Czy w dobrym kierunku uciekamy?

— Idziemy na południe.

— Skąd wiesz? a może prosto na nich.

— Bądź spokojna!

Ruszyli. Obawy ich sprawdziły się na tyle, że po godzinnym marszu, gdy już słaby brzask świtu przedzierał się przez zwarte korony sosen, usłyszeli tętent przed sobą. Zdrętwieli i przycisnęli się do szerokiego pnia olbrzymiej jodły. O kilkanaście kroków w bok od nich przejechało tęgim kłusem dwóch jeźdźców. Mignęli w ich oczach słabym zarysem sylwetek i znikli. Gdy echo po nich ucichło, Olga szepnęła:

— To posłaniec z poczty do naszej osady i jakiś kozak. Szczęście, żeśmy odeszli stamtąd, prosto w tamtą stronę jadą. Uciekajmy, bo jesteśmy przy leśnym szlaku. Może ich tu więcej jechać.

Skierowali się w bok i szli prędko aż do kompletnego wyczerpania. Roman rozglądał się szukając jakiejś skrytki, lecz nie widział jej nigdzie. Był już dzień, gdy znaleźli się wreszcie w gęstwinie drzew starych, zwalistych, i krzaków jałowcu oraz szeszczącego morza suchych paproci. Było tu pełno zwałów odwiecznych pni, wykrotów, jam, zapadlin. Woń zgnilizny dusiła, czarne oślizgłe liście tworzyły na ziemi kożuch mokry, w którym stopy zapadały głęboko. Pobóg orzekł, że to jedyne miejsce do ukrycia się i wypoczynku. Znalazł głęboki wykrot pod zwałonym pniem. Pogłębił jeszcze tę jamę, wyrzuciwszy z niej jak ze śmietniska kilka naręczy zgniłych liści. Wymościł ją suchym mchem, przykrył gałęźmi i paprociami i utworzył wybornie zamaskowaną kryjówkę. We-

HELENA MNISZEK

szli tam oboje zatarłszy starannie ślady za sobą. Wykrot ich był tak zatarasowany zwałami pni i gałęzi, że szukając nawet trudno było doń trafić. Olga zachwycona dziełem Romana, rzuciła mu się na szyję obsypując ga najczulszemi pieściami. Przypominała ubiegłą noc wyrażając radość swą i szczęście, że do niego należy. Gdy on znowu przypomniał jej delikatnie swoją sytuację, obruszyła się gniewnie.

— Więc będę twoją kochanką. Przy mnie obrzydną ci wszystkie żony, zobaczysz! Do siebie tylko należeć będziemy i dla siebie tylko będziemy żyli.

Wpijała się w usta kochanka żarem swych warg spragnionych na nowo i nęcących, a gdy on ostrzegł ją, dla ostudzenia jej namiętności, że należy najpierw myśleć o ucieczce i zachować całą przytomność umysłu, ścisnęła pięści i pogroziła w niewiadomym kierunku.

— Niech oni spróbują zagrozić nam drogę do naszego szczęścia, przemocą dobijemy się do swobody jak od przemocy uciekliśmy. Musimy być szczęśliwi albo razem zginiemy w uścisku miłosnym!

Roman nie miał sposobu utemperować rozbudzonej w pragnieniu swem kobiety, która działała na niego zmysłowo tak potężnie, że w objęciach jej tracił świadomość i wolę. Wszystkie jego nakazy milkły wobec pożądania jej. Nienasycony brał ją z takim samym zapamiętaniem się w rozkoszy z jakim ona mu się oddawała. Niknął dla nich świat, nie było grozy niebezpieczeństwa, nie było wrogów ponad ich wspólne pragnienie siebie. Rozkielznane namiętności zgłuszyły w nich wszystkie inne uczucia. W swojej norze, w wykrocie, pod zwałonym pniem przeżyli momenty upojeń, ale i bezmiernie okrutne chwile trwogi i przerażenia, gdy słyszeli nad sobą las rozbrzmiewający tętentem i echem licznych głosów pogoni. Z przerażeniem w sercu, z rewolwerami gotowymi do strzału w dłoni oczekiwali lada chwila katastrofy. Czasem słyszeli kroki jakby tuż nad sobą, głosy dobiegały ich uszu wyraźnie. Wtedy palce rąk Olgi

POWOJENNI

wpijały się w ramię Romana, oczy jej pełne śmiertelnej grozy mówiły do niego w mroku to samo co szeptały usta.

— Myśl o sobie w tej ostatniej chwili, gdy się zastrzelisz, ja zrobię to samo. Nie chcę żyć bez ciebie. Twój los będzie moim.

Ale Roman Pobóg w chwilach tragicznych, nie widział jej przed sobą, jakkolwiek obiecywał sobie, że nie odda jej w ich ręce. W oczach jego były oczy Tereni, oczy żalosne, tęskne, oczy bolesne. Do nich się modlił, ją, Terenię błagał o ratunek, jej imię wymawiał razem z imieniem Boga. Jak długo trwało to napięcie nerwów i wszystkich strun żywotnych, w oczekiwaniu śmierci, nie wiedzieli, nie zdolni byli tego określić. Lecz gdy wreszcie nastąpiły godziny ciszy zupełnej, gdy chwilo-wo znikły obawy poszukiwania w bliskości nich, oboje usunęli się bezwładnie na ziemię, wyczerpani do ostatnich granic, zmęczeni jak po odbyciu walki na śmierć i życie. Broń wypadła im z rąk, sen przemożny, sen podobny do zupełnego zaniku życia owładnął nimi i po-grążył ich w sobie na długie godziny martwoty.

Roman i Olga przebyli parę dni w swojej skrytce leśnej, oczekując ciągle strasznej chwili odkrycia ich i ujęcia. Wypełzali ze swojej jamy tylko w nocy z największą ostrożnością, nasłuchując długo i płosząc się najłżejszym szmerem. Raz jeszcze usłyszeli w bliskości tętent koni, Olga dowodziła, że w tej głuszy leśnej mogła to być tylko wznowiona pogoń za nimi. Przez długie godziny oboje, przyczajeni cicho ani drgnęli. Gdy wreszcie minęło trzy dni, wszelkie obawy wydały się im zbyt ostrożnością, tembardziej, że trzeba było uciekać dalej i przewycięzać jeszcze mnóstwo niebezpieczeństw. Szli tedy tylko nocami, cierpiąc głód, ponieważ zapasy żywności skończyły się i reszta suchego chleba musiała wystarczyć aż do Zruba. Tam Olga obiecywała sobie odpocząć i pożywić się u starej swej niańki, Chazmary, Tatarki. Szli tedy wytrwale przedzierając się lasami i polami pod nieustającą grozą, wycieńczeni, głodni. Wreszcie po dziesięciu dniach tej strasznej wędrówki Olga rozpoznała okolice Zruba. Pozostał wedle jej obliczenia jeden dzień drogi. Nazajutrz o świcie, idąc polną dróżką, spotkali chłopą, jadącego wozem, zaprzężonym w jednego konia. Zatrzymali go, pytając dokąd jedzie, okazało się, że do wsi blizkiej Zruba. Olga bez wahania wsiadła na wóz i Romanowi wskazała miejsce przy sobie. Chłop patrzył na nich z podełba i minę miał nieobiecującą. Gdy Olga kazała mu zboczyć do ruin pałacu kniazia, chłop przestraszył się.

— A wy tam czego? Tam nikogo niema — rzekł po rosyjsku. — Kniazia jenerała „towariszczi“ zabili, doczkę jego komisar wziął dla siebie, gadają, że się na niej ożenił. Dwór spalili, służba przystała do bolszewików,

POWOJENNI

a kto nie chciał to i po nim. Tak skończyło się panowanie kniazia na Zrubie.

Olga słuchała opowiadania chłopca, jakby nowej dla siebie wieści. Wreszcie spytała o starą Chazmarę.

Chłop wytrzeszczył na nią oczy, poczem zmrużył je złośliwie i rzekł ponuro.

— Chazmara jeżeli i jest w Zrubie, to z czortem w parze. Ja was tam nie zawiozę i wam nie radzę jechać.

— My chcemy wróżby, ona sławnie wróży — rzekła Olga.

— Czort jej pomaga. A jakiejże wy chcecie wróżby?

— To już my jej samej powiemy, tobie bat'ku nie można, bo by wróżka nie miała siły potem.

— A wy od bolszewików uciekli — spytał chłop znienacka.

— My nie uciekali, bo my sami bolszewicy i w swoim kraju jesteśmy — rzekła Olga rezolutnie.

Chłop zaśmiał się chrypliwie, z wyraźną ironią.

— Tego to wy gadać nie potrzebujecie bo ja nie uwierzę.

— Dlaczego?

— He, he, nie wyglądacie wy na towarzyszczi, prędzej na takich, którzy od nich uciekają. Ale czego wy jedziecie do Zruba? A, a?

— Mówiłam przecie dlaczego.

— I w to ja nie wierzę. Co wam do Chazmary. kiedy, wy na wielkich panów wyglądacie. Ta i co że chude, zmizerowane i obdarte. Gęba mówi swoją prawdę i ona nie łże jak język. A ty, panienska, ty taka podobna do kniazia gienierała, że ot i powiedziałyby prawo jego doczka, kniaźna Olga. Ja tak miarkuję, że wy od komisarza Borysa uciekli. To pewno twój żenich, ale on nie ruski. Polak libo Francuzanin jaki. Tak to i jest, powiedzcie prawdę. Tylko, że poco wam do Zruba droga, nie zagranicę, tego nie wymiarkuję.

Chłop, mówiąc to wyszczerzył zęby chytrze i śmiał się

HELENA MNISZEK

niby dobrodusznie. Jednak w tym uśmiechu było coś tak złowrogiego, że Olgę i Romana przeniknął dreszcz nad wyraz przykry. Nieznacznie zamienili z sobą spojrzenie porozumiewawcze, lecz zauważyli odrazu, że chłop to spojrzenie ich pochwycił. Sytuacja stawała się bardzo niewyraźna. Wtem ujrzeli przy drodze kamienny obelisk. Olga zawołała odruchowo:

— Ot i nasza kapliczka! Zrub! Za tym laskiem już polana pałacowa.

Oczy jej zapłonęły, na twarz śniadą wystąpiły ja-skrawe plamy rumieńca.

— A, a, a! tak wy tutejsza, kiedy tak dobrze znacie Zrub! Tak ja wam teraz powiem kto wy, panienska. Wy samaż że kniaźna Olga, doczka gienierała. Ot jak! a, a! ot jak! Ja odrazu wiedział, że to wy mnie różne bajuszki opowiadacie. Nu, teraz to ja wierzę, że wy do Chazmary Tatarki jedziecie, tylko, że nie po wróżby żadne a po skarby gienierała, których ona pilnuje. Ech! — machnął ręką — ale i wid'ma i jej brat czort nie poradzi, jak tu przyjdą towarzyszczi po te skarby.

Olga zmrużyła oczy i spytała przeciągle:

— Czemuż towarzyszczi nie zabrali odrazu owych skarbów od Chazmary, wtedy gdy palili zamek i mordowali kniazia.

Chłop wzruszył ramionami.

— A kto ich wie? Pewno nie wiedzieli o skarbach, że one są.

— Skądże teraz wiedzą?

— A... wiedzą! — zaśmiał się chłop cynicznie, pokazując spróchniałe zęby.

— Ty im powiedziałaś?

— Jeszcze nie powiedziałem, ale mogę powiedzieć. Chyba, że...

— Mów!

— Jak dacie połowę tych skarbów, to będę milczał.

— Durny ty, czemuż ty odrazu o tych skarbach bolszewikom nie powiedziałaś?

POWOJENNI

— Ehe! ja nie durny kniaźna! Małó to te swołocze nabrali dobra różnego a bogactwa z pałacu dla siebie? A nas muzyków, jak my chcieli co wziąć to odpędzali won. To im wolno a nam nie? Nu tak my i milczeli, że skarb kniaziowski u Chazmary jest. Ale my się zbierali sami tam pójść taj skarb zabrać dla siebie. Tylko że...

Zaczął przeżuwać wargami i krzywić się potwornie.

— Że co? — podchwyciła Olga.

— Chazmary się bali. — Ona i czort to jedno, Zbierali my się wid'mę kiedy na kociubę wziąć i spławić w jeziorze, ale kiedy wy jedziecie do Zruba tak już inna sprawa.

Zaśmiał się znowu głupowato i rzekł:

— Dacie mnie połowę, to będę milczał przed towarzyszcami i przed naszymi. A jak nie... Ale wy dacie, bo wy dobrze wiecie co to komisar Borys znaczy. On by za diengi i z rodzzonego ojca skórę zdarł, nie dopiero ze swojej niestety libo żynki. Oho! ten Borys to zwier. Nu, dacie kniaźnia, ha, co?

— A skądże my wiemy, że ten skarb tam jeszcze jest, może nie znajdziemy go już.

— To nieprawda, bo on jest i wy po niego jedziecie.

Zatrzymał konia.

— Ja dalej nie pojedę nawet z wami. Ja się boję Tatarki. Czort z nią nie ja! Twój żenich niech zostanie tu ze mną a ty kniaźna idź do Chazmary i jak ty ją „usmirisz“ to pójdziemy wszyscy po skarb.

— Jedźmy razem, Chazmara przy mnie nic tobie nie robi.

— Nie chcę! Ale żeby ty kniaźna wróciła tu, tak ja żenicha twego zatrzymam przy sobie, wtedy nie uciekniesz.

— No dobrze, ale złaź i ty z woza kiedy tak — zawołała Olga groźnie.

Chłop zeskoczył trzymając lejce w dłoniach. Głos

HELENA MNISZEK

Olgi podzielał na niego niezwykle. Spojrzał na dziewczynę zdumiony i jakby nieco strwożony.

— Ale ty kniaźna do gienierała podobna no, no!!!

Gdy Roman zeskokczył również, Olga rzekła do niego po rosyjsku.

— Idź na brzeg polany i zobacz czy nikogo niema przy ruinach. Stąd jeszcze czas uciekać, gdyby tam kto był.

— Ot prawdu każe! Ty mądra kniaźna — rzekł chłop.

Pobóg, zdziwiony trochę, odszedł w stronę otwartego wylotu lasu.

— Piękny twój żenich, kniaźna... mądra ty, że wolała jego od Borysa. A on co, kniaź może jaki, a?

— Kniaź — odrzekła Olga głucho.

— A czego ty tak na mnie patrzysz strasznie?! — spytał chłop z nagłym niepokojem.

— Tam ktoś w lesie — szepnęła Olga zmienionym głosem — patrz, na lewo, może to oni?

Chłop odwrócił głowę w tę stronę gwałtownie, wypatrując bacznie.

Dał się słyszeć suchy trzask i... ciało chłopca opadło martwe jak wór u stóp Olgi.

Gruzinka wystrzelony browning schowała z flegmą do kieszeni zasunawszy bezpiecznik.

Pobóg, który usłyszał strzał zawrócił i podszedł krokiem prędkim. Zatrzymał się nagle, oczy utkwił w trupie chłopca z przestrzeloną skronią.

— Co to znaczy? — spytał drewnianym głosem, chwytając swój rewolwer.

Oglądał się zdumiony.

— Kto go zabił?

— Ja! — odrzekła Olga blada jak widmo.

— Ty?

— Ja.

— Olga! dlaczego to zrobiłaś?

POWOJENNI

— Jeszcze się pytasz? Ha, ha! Widzisz ja przeczułam, że ty gotów byłbyś przeszkodzić w usunięciu tego chachłaka z naszej drogi. Przecie jutro Borys wiedziałby o nas napewno. A ty z twoją naturą lacką oszczędziłbyś go narażając własne życie. Ja nie taka! Zresztą o jedną swołocz mniej w matuszce Rasiji! Niema o czem mówić. Pomóż mi odsunąć tego draba dalej w gąszcze, z drogi. Wóz nam także niepotrzebny. Najwyżej koń przydać się nam może.

— To podłość, coś ty zrobiła, podłość! — zawołał Pobóg oburzony.

Gruzinka dźwignęła ramiona w górę.

— W obronie swego życia można popełnić nawet podłość. Powtarzam, pomóż mi odsunąć chłopca w gąszcze, bo ciężka bestja, uf!

Pobóg zaciął usta, w milczeniu odsunął trupa daleko w zagaj jodłowy.

— Może jest szpadel na wozie, idź zobacz — rzekł tępo.

— Chcesz go pochować? może mu jeszcze krzyż zaczniesz strugać i modlitwy nad nim odmawiać.

— Milcz! — syknął Pobóg i tak spojrział, że Olga spuściła oczy.

— Nie mamy za dużo czasu — rzekła cicho, ostrzegająco.

Pobóg nakrył zwłoki gałęzmi jodeł, przeżegnał je i sam się przeżegnał. Poczem wóz podsunął także w gąszcze i wyprzągnął konia. Wziął go za uzdę, milcząc poszedł za Olgą w stronę Zruba.

Gdy zbliżali się do zwałonych ruin pałacu, Olga odwróciła się do Poboga, spojrzała mu prosto w oczy i rzekła prawie pokornie:

— Gniewasz się na mnie?

Wzruszył ramionami lekceważąco.

— Roman, co tobie? czy ty naprawdę żałujesz tego chachłaka? Jakiż ty oficer i żołnierz.

HELENA MNISZEK

— Ten chłop nic mnie nie obchodzi, tylko nie lubię zostawiać za sobą ofiar niepotrzebnych.

— Dobry sobie jesteś, wolałbyć, żeby nam unieвозмоżliwił dalszą ucieczkę i żeby po tylu męczarniach wpaść znowu w ręce Borysa?

— Można było chłopu dać cośkolwiek z twoich skarbów i jeszcze byłby nam pomocą.

— Żebyś mu oddał wszystko, byłoby zawsze za mało. Ty ich nie znasz. Nawet obdarowany hojnie, uciekłyby do bolszewików, żeby od nich dostać nagrodę za denuncjację.

— Można go było związać i pilnować do czasu.

— Eee! żaden sznur ani łańcuch nie jest taki pewny jak kula we łbie. Musimy o sobie myśleć nie o tym muzyku. My jeszcze nie w Paryżu, my teraz jak muchy na nosie tygrysa, którego drażnimy i wzywamy, a on może lada chwila capnąć nas zębami i zdruzgotać nas na wieki. No, nie gniewaj się ty na mnie, romantyku drogi, ja wiem, że kosztem tego draba uratowałam nasze życie i przyszłość. Patrz, Chazmara! —

Przed nimi stała kobieta wysoka, mizerna i okropnie chuda, o twarzy płaskiej, żółtej i oczach jak sztylety. Ubrana była po chłopsku, ale na ramionach miała zarzuconą pelerynę sobolową, wytartą i nabitą kurzem. Biała, niegdyś atłasowa podszewka wystrzępiona, zwisała brudnymi łachmanami z pod cennego futra. Oczy małe, czarne, jak dwa gwoździe z ostrym wyrazem, skierowała na Poboga. Spojrzała na Olgę i uśmiech szeroki rozchylił jej usta od ucha do ucha.

— Księżniczka Olga! Ot i wróciła!

Olga poklepała ją po ramieniu.

— Jak się masz, stara nianiu. A co, nie spodziewałaś się mnie.

— Spodziewać się, spodziewałam — odrzekła Tartačka chrypliwie — nie z takich ty, żeby cię do niewoli brać. Ty pewno Borysa zabiła, gdzie on?

— Borysa? nie! Twój kum czort zrobi ta za mnie.

POWOJENNI

— A kto strzelał na drodze? Ja słyszałam strzał, jakby z rewolweru.

— Dobrze ty masz uszy, nianiu, kiedy tak. Zastrze-
liłam chłopca, który nas tu wiozł, gdyż poznał mnie i
chciał się dzielić skarbem.

— Jakim skarbem?

— No tym, którego ty pilnujesz, o czym ludzie już
opowiadają bajki.

— A to jego koń?

— Jego. Dziękuj ty mnie, Chazmarka, bo choć tu
ciebie za czarownicę mają, ale chłopcy się zbierali ciebie
spławić a skarb odebrać.

— No i co oni mnie zrobili?

— Nic nie zrobili, bo ja chłopca zabiłam.

— No, to na kogo padła czarna godzina?

Olga zaśmiała się.

— A ten pan kto jest — spytała Tatarka, wskazu-
jąc Poboga.

— Towarzysz niewoli, któremu Olga ułatwiła u-
cieczkę — odrzekł prędko Pobóg.

Olga spojrzała na niego przeciągle. Pobóg zrozumiał
ten wzrok, patrzył na nią mocno przez zmrużone po-
wieki, sugestjonując ją i nakazując swoją wolę. Olga
po długiej chwili tej niemej obserwacji, spuściła oczy.

— Co wy przedemną ukrywacie, czego wy tak na
siebie patrzyli. Ja dużo w waszych oczach widziałam,
dużo. Czy on może twój narzeczony, albo kochanek?
Czego ty przed nim tak „strusiła“ co, ha? mów. —

Olga wstrząsnęła się. Spojrzała na Poboga prawie
nienawistnie i rzekła szorstko do Chazmary.

— Spraw ty, babo, żeby on o swojej żonie i swoich
dzieciach zapomniał i moim tylko został a ja tobie po-
łowę moich klejnotów oddam. Uciekniesz z nimi w świat
i będziesz żyła jak carowa.

Rzekłszy to księżniczka odeszła szybko, a Chazmara
zaśmiała się jakoś dziwnie. Cynizm, ironia, gniew i jak-

HELENA MNISZEK

by melancholja była w tym okropnym śmiechu baby. Zapiszczała z chichotem.

— Carowa! Ha, ha! Carowa?! Ja teraz szczęśliwsza jak carowa. Bóg był bliżej ludzi niż car, a teraz co? gdzie car? Łapa podleców ściągnęła cara w dół da i propał! Da i truchło odarte ze sławy i wielkości. Ot jak zrobili z nietkniętym carem samodierżawcą. Tak samo jak i z gienierałem kniazem na Zrubie. A Chazmara była, da i będzie dokąd jej Bóg rozkaże. Ha, ha! Ot i jak! Ty kto taki, bolszewik? — zwróciła się do Poboga — „towariszcz“? Żeby wam czort „towariszczom“ był całe wieki. Gadaj kto ty.

— Jestem polskim żołnierzem — odrzekł Pobóg z dumą, patrząc prosto w oczy strasznej babie.

— Nu, to tak? i ty pan był w niewoli u Borysa i ty żyw od niego wyszedł?

— Powtarzam, Olga mnie ocaliła od rozstrzelania i ułatwiła ucieczkę.

— Ona ciebie miłuje, ja to czuję, ja to odrazu zobaczyłam w jej oczach jak patrzyła na ciebie. A ty pan ją? **Mów!**

— Mam dla niej wdzięczność na całe życie i miłą mi jest — odrzekł Pobóg — ale...

— Wiem, masz żonkę i dzieci i mężem Olgi zostać nie chcesz! Nu, tymczasem wspólny los was złączył, żonka daleko nu, to i co tobie o niej myśleć? Olgę ty kochaj teraz kiedy ona chce i ciebie miłuje. A potem przyjdą inne wiatry, albo was złączą, albo odrzucą precz, co teraz można wiedzieć co kogo spotka?

Westchnęła ciężko, machnęła znamiennie ramionami i nagle rzekła ciszej, patrząc na niego uważnie.

— A ty pan już ją miał swoją? co?

Pobóg milczał, tylko zaciął zęby i zmarszczył brwi.

— To ja! ty ją już miał, tak ty o niej nie zapomnisz — rzekła Chazmara z najgłębszym przekonaniem i odeszła do Olgi.

POWOJENNI

Pobóg został sam. Machinalnie przywiązał konia do drzewa i rozejrzał się dokoła. Przed nim rozciągała się ogromna przestrzeń, okolona gęstym zwałem boru. W środku tej olbrzymiej polany sterczały ponure ruiny pałacu, osmolone od pożaru. Straszne szczątki dawnej, wspaniałej budowli. Szeroka u osady, widocznie ongi wysoka bardzo baszta była w gruzach. Z boku sterczał szczyt jakiejś wieżyczki z okienkiem zasłoniętym firanką. Na szybach okienka igrały czerwone refleksy zachodu. Szczególnie wyglądało to okienko, widocznie zamieszkałe a przyczepione jak gniazdko do wątego cokółu ruin. Dokoła tych potężnych zwałisk, rozsypywało się ogromne rumowisko cegieł opalonych, kamieni, odciosy granitu, złomy marmuru oraz przesmutna poręba wyciętego parku dokoła. Gdziekolwiek tylko stały nietknięte grupy jodeł i buków olbrzymich. Blisko ruin tuliła się do siebie skupina srebrnych świerków, z których odarta gałąź ukazywała białą ranę i w blasku zachodu płakała zda się gorącymi łzami bursztynowej żywicy. Mnóstwo drzew, krzewów leżało zmasakrowanych, zarówno jak i krata żelazna, stanowiąca widocznie ogrodzenie pałacu, była przełamana, zdruzgotana, stercząc gdzieś ostrą igłą żelaza. Wycięte aleje leżały pokotem, niektóre drzewa na pół ścięte, pochylone, wsparte o siebie obejmowały się konarami jakby w okrzyku rozpacz. Cała sadyba wyglądała jak jedno wielkie cmentarzysko. Widok był potworny i groźny. Odczuwało się dziką siłę, która wtedy przeszła niszcząc po barbarzyńsku jakieś dzieło sztuki. Pobóg zamyslił się głęboko.

Zorze zachodu gasły na skłonie nieba rzucając smugi jaskrawe na bezbarwny, zimowy jeszcze krajobraz. Las zwarty, okalający polanę, był cały w czerwonych łunach gasnącego słońca. Korony drzew prześwitywały delikatną mgiełką purpury. Zapach wyłączny, znamieny jaką wydaje wilgoć leśna w połączeniu z wonią niedawnego pogorzelska, drażnił nozdrza Poboga. Roman za-

HELENA MNISZEK

patrzył się w ten las, obcy dla siebie i przeniósł się myślą do Uchań, do Krąża. Już dziesięć miesięcy nie był w domu. Wyjechał na front ponownie w kwietniu, a oto już początek stycznia. Całą duszą i sercem stęsknionem był tam przy swoich. Przeżywał tu godzinę zapomnienia o troskach i smutnej teraźniejszości. Ale powrót do niej był mu tem przykrzejszy, że czuł, iż zabrnął bardzo niebezpiecznie. Stosunek z Olgą stał mu się wyrzutem. Pomimo pożądanja, jakie w nim wzbudzała, czuł niesmak z powodu zbliżenia się do tej żywiołowej Gruzinki. Ostatni wypadek z chłopem, jakkolwiek traktowany z zimną logiką może i słuszny, może konieczny dla bezpieczeństwa ich obojga, zraził go jednak do Olgi. Coś było w tem tak dzikiego dla Romana, tak niekobiecego, że wszystkie jego uczucia zostały zdraśnięte i Olga, którą idealizował w swej wyobraźni, przedstawiła mu się w świetle mniej dodatniem. Miał wrażenie, że z chwilą gdyby odsunął ją od siebie, jako kochankę, wówczas życia swego nawet nie byłby już pewny. I jednak pomimo to, urok, jaki posiadała dla niego Olga, nie rozwiązał się, pożądanje pozostało jakby zaostrzone tembardziej i niesłychanie silne, urągające jego uczuciom, jego dumie i wszelkim ujemnym wrażeniom. Duma nakazywała mu zerwać ten stosunek choćby narażając się na utratę życia, ale Pobóg wyczuwał w sobie wybornie, że te nakazy zmilkną odrazu, gdy tylko ujrzy oczy Olgi skierowane na siebie z tym jej wyrazem, który obudzi w nim podłą, niską, zwierzęcą żądzę ciągnącą go ku niej bez ratunku. Pobóg postanowił sobie bronić się przed tą hydrą żądzę, która go teraz w jego przekonaniu upokorzała. Zgnębiony był i moralnie rozbity. Duch jego odłączył się jakby od ciała, pozostawiając mu świadomość jego nicości przy rozbudzonej tem silniej etyce krytycznej.

Zamyślony posępnie usłyszał szmer obok siebie. Księżniczka dotknęła jego ramienia. Drgnął, spojrział na nią niechętnie. Pochyliła się nad nim, poczuł jej usta

POWOJENNI

gorące na swoim czole. Ręka jej wsunęła się delikatnie w jego dłoń. Usłyszał szept przymilny.

— Roman, chodź na posiłek. Chazmarka coś tam zgotowała, trzeba zjeść i wywczasować się, aby mieć siły do dalszej wędrówki. Czeka nas jeszcze dużo trudu, a już teraz tak jestem zmęczona.

Prawie dziecinnie **skarga** zabrzmiała w tonie jej głosu. Pobóg spojrział na nią łagodniej. Olga usiadła obok niego na głazie i nagle zawołała z lekkim okrzykiem.

— Mój kamień! moje ulubione miejsce marzeń za dobrych czasów, gdy żył ojciec.

Załkało jej w piersi, głos załamał się. Roman spojrział na nią z pod rzęs, trochę nieufnie. Wtem Olga oparła czoło na jego ramieniu i tuląc się całą postacią do niego, szepnęła słodko.

— Romek, czy ty mnie kochasz naprawdę, powiedz miły? bo ja bez ciebie życia już nie rozumiem. Zawsze marzyłam o takiej miłości i żeby znaleźć takiego mężczyznę, któryby mi sobą zasłonił cały świat. No i znalazłam go w tobie.

— Olgo — rzekł Roman głucho — bądź rozsądną i zrozum mnie.

— Nie chcę nic wiedzieć — krzyknęła — nie, nie! Zwłaszcza dziś, po tym wypadku z chłopem nie mów mi nic. Głupia byłam, że cię pytałam właśnie teraz. Tyś się do mnie zraził. Ale ty mnie musisz kochać! Rozumiesz! ja cię przykuję do siebie takimi łańcuchami, że sam ich rozerwać nie zechcesz. Ale teraz nie czas mówić o kochaniu. Nad nami groza zemsty Borysa. On jest już blisko. On nas szuka i szukać nieprędko przestanie. A on ma długie ręce, dobry węch i dobry słuch. Chodźmy, Chazmara czeka na nas.

Poszli w stronę ruin.

Olga szła pierwsza cicho i zwinnie, przesuając się jak cień przed oczami Romana. Gdy ją spytał dlaczego takie ostrożności, odrzekła, że na każdym kroku może się czaić niebezpieczeństwo. Roman uczył znowu w pier-

HELENA MNISZEK

siach ciężar niepokoju jaki go przygniatał przez całą zimę w chorobie i w niewoli. Jednocześnie spadło nań zniechęcenie tak silne, że było mu nawet wszystko jedno czy go teraz złapią czy nie, byle już zabili na miejscu, byle już nie cierpieć, nie tęsknić tak strasznie i takich mąk nerwowych nie przechodzić. Szedł za Olgą obojętny na wszystko, nie starając się nawet tłumić swoich kroków. Przy narożnej, zwalonej baszcie pałacu Olga wciągnęła go za jakiś węgieł. Schodzili prawie po omacku po krętych schodkach w dół, przeciskając się przez głązy, w których schodki ginęły i były tak niewyraźne, że trzeba się ich było raczej domyślać. Trwało to długo, szli w zupełnej ciemności co nerwowało Romana. Gdy chciał zapalić lampkę elektryczną, którą miał w kieszeni, Olga zatrzymała jego rękę.

— Stąd jeszcze blask może przemknąć nazewnątrz, idź za mną, ja znam dobrze to przejście.

— Ależ czego się lękasz? jeśli kto jest w pobliżu to już nas widział i słyszał.

— Ale jeszcze nas nie ujął — syknęła Olga — a o to chodzi nam najwięcej. Tu gdzie idziemy nikt nie trafi choćby go i sam djabeł prowadził. Mogą całe ruiny zdeptać, nas nie dostaną a my wtedy uciekniemy im z przed nosa.

— Którędy?

— Podziemnem przejściem.

Szli w milczeniu. Wreszcie po niezliczonych zakrętach i korytarzach, w jakiejś szyji długiej, piwnicznej błysnęło światelko. Ujrzeni Chazmarę, trzymała nad głową latarnię i śmiała się do Olgi.

— Nu, ot i trafiła sokoliczka nasza, ot i nie zapomniała! Chodzi, wieczera ostygnie.

Weszli do izby sklepionej, niezbyt obszernej, ale nie ciasnej. W żelaznym piecyku palił się ogień, na stole duża lampa naftowa rzucała żółte światło dokoła. Było ciepło i jasno. Zapach prażonego mięsa i fasoli przypomniawszy Romanowi głód dotkliwy. Chazmara zapraszała

POWOJENNI

do stołu. Podeszli bliżej i Pobóg zdziwił się. Stół nakryty był śnieżnym obrusem z wytkanemi cyframi i insygniami książęcemi. Nakrycie przygotowane dla dwóch osób składało się z przepięknej porcelany, srebrnych sztucy i kryształowych pucharów. Z butli omszałej, mchem porosłej, Chazmara nalała wino, maślacz odwieczny, gęsty jak złota oliwa, z którego woń rozniosła się upajającym aromatem po całej izbie.

— Wypijcie duszki, za zdrowie wasze, na sławę i szczęście — rzekła baba podając Oldze i Pobogowi puchary.

Wzięli je do ręki i spojrzeli na siebie. Oczy Olgi pałały ogniem jak dwie pochodnie, oczy Romana przyćmione rzęsą miały w sobie stalowe błyski i zagadkę.

— Patrzysz jak szatan — szepnęła Olga — do piekła temi oczami mocarnemi zaprowadzić mnie potrafisz, albo do mogiły.

— Albo pod wieniec, co daj wam Chryste! — rzekła Chazmara z powagą.

Pobóg uczuł dreszcz niemiły, ale pod mocą słodkiego wzroku Olgi wychylił maślacz jednym tchem. Uśmiech szczególny błąkał się na jego ustach. Olga nie przeczuła, że uśmiech ten był odbiciem wspomnienia wywołanego jej słowami o jego oczach: „Masz w oczach moc upiorną” zaszeptał mu najdroższy głos Tereni. I jednocześnie przypomniał mu się może przez pewną analogję tajemniczości Krąż, Paschalis... przeżyte chwile, zda się, już przed wiekami. Męka ostatnich czasów odsunęła tamte czasy daleko w mrok.

Księżniczka nie spuszczała z Romana swoich pałających źrenic.

— I uśmiech masz na ustach szatański. W oczach chmura, na czole gromy, a na ustach... och! Roman! o czym ty teraz myślisz, gdzieś ty stąd odleciał?

Pobóg milczał, bał się wybuchnąć, więc zacisnął usta, nakazał sobie spokój i spojrział na dziewczynę wzrokiem tak przenikliwym, że zamilkła. Ale Chazmara

HELENA MNISZEK

patrzając na Poboga zagadała znowu jakby do Olgi i jakby sama do siebie.

— On jest orzeł, lata myślą, gdzie sam chce i gdzie go skrzydła poniosą.

Poczem zmieniając ton rzekła uprzejmie.

— Jedzcie panie! nic lepszego nie mam, tylko to co dla siebie warzę a co mi jeden chłop, który się mnie boi, dostarcza. Pijcie za to wino, takie i na carskiem stole nie często bywało. Z winnic kaukaskich ono, z naszej Gruzji, z pod Tyflisu, gdzie majątek rodziców naszej księżnej Milicy, nieboszczki, Tatarskiej. Ale to wino, kiedy ono jeszcze rosło w gronach tak wtedy i o Ekaterinie wielkiej, nikt w Rosji nie słyszał, nietylko, że naszej księżnej nie było na świecie i jej dziada. Pijcie gołąbki a zamroczy w głowie, tak się prześpicie zdrowo przed podróżą. Wy tu bezpieczni, że i w Paryżu nie będziecie lepiej.

— Ale że takie wino ukryliście przed bolszewikami?
— rzekł wreszcie Pobóg, aby coś rzec i własne myśli stłumić.

— Ha, ha! — zaśmiała się baba. — Ot, towarzyszy jakby się do niego dorwali a spili się niem, takby gotowi mnie, starą czarownicę Chazmarę za carycę ogłosić i piękną młodycą by mnie widzieli da i całowali. Ale ja i carycą nie chcę zostać i dać im tego wina nie durna! Nie dla wrażego gardła Borysa taki napitek. Jak Olga się urodziła, to sto takich butelek pękło a goście, bez ubliżenia i nasz kniaź, jak barany spite leżeli. Hej! toż to były chrzciny! Następca tronu w Petersburgu lepszych nie miał. Jabym takie wino bolszewikom dała? Za nic w świecie, żeby nawet mieli od niego pozdychać. Już to wino tak schowane, że jego i sam czort bezemnie nie znajdzie, a przyjdą lepsze czasy tak ono się jeszcze przyda i znowu pokotem położy najczęstszych gości.

Nalała powtórnie pełne puławy.

POWOJENNI

— Ale i my się upijemy — rzekł Pobóg — a nam uciekać trzeba na trzeźwo.

— Już wy się nie bójcie, pan, wywczasujecie się i pójdziecie jak będzie pora.

Baba jęła opowiadać o napadzie na zamek, o rabunku, wreszcie rzekła:

— To co oni stąd zabrali, to starczy im wszystkim do końca życia na dobrobyt wielki, ale to co oni tu jeszcze zostawili, ho, ho! i dla was sokoły wystarczy jak przyjdzie pogoda.

— Kiedyż to nastąpi — spytała Olga.

Chazmara podniosła dłoń do góry i patrząc mocno w oczy księżniczki rzekła uroczyście:

— Wtedy, kiedy Borysa nie stanie, kiedy nie szatan a Chrystus zapanuje na ziemi.

Zapadło milczenie jakby imię wymówione rzuciło swój urok wszechmocny na tych ludzi, niedolą zgnębionych. Wtem Olga rzekła do Poboga, wskazując na Tatarkę:

— I tę kobietę oni uważają za służebnicę złego ducha i boją się jej.

Chazmara usłyszawszy te słowa powstała ze swego zydla, podeszła prędko do głównej ściany i odsunęła zasłonę koronkową, przez którą prześwitywał słaby brzask lampki.

Pobóg i Olga ujrzeni obraz Chrystusa wznoszącego dwa palce jak do błogosławieństwa. Słodkie oblicze i oczy wymowne wizerunku, malowanego przez znakomitego malarza, patrzyły na obecnych z taką plastyką wyrazu i życia, że dreszcz przeniknął Poboga i rumieniec gorący okraszył jego smagłą, ciemną twarz.

— Ot mój Pan — rzekła Tatarka — ot moja wiara! ot temu ja Duchowi służę i wierzę, że On zwycięży. On skruszy złość dzisiejszą, która Mu Oblicze Najświętsze zasłania. Wtedy ci wszyscy co z Niego teraz drwią, wszystkie Borysy ujrzą swoje własne grzechy i włas-

HELENA MNISZEK

na podłość zabije ich, bo na świecie On będzie rządził, Jego Duch.

Chazmara stojąc przed obrazem Chrystusa wyglądała jak prorokini. Oczy jej płonęły zapalem, twarz miała w ogniu a głos nizki, prawie męski, rozbrzmiewał niby dzwon śpiżowy. Z twarzy Chrystusa bił jakiś blask niesamowity, wzrok Jego spływał na obecnych łaskawy, głęboki, do dusz ludzkich wnikający. Zdawało im się, że wzrok ten mówił:

„Powstańcie!”

Coś było takiego w onej minucie, w całym jej nastroju, że jednocześnie Olga i Pobóg zgięli kolana i pochylili głowy. Nad klęczącymi zawisnął ten wzrok boski i czarem przedziwnym ich objął. Po chwili silnej sugestji duchowej, jakby po odczuciem tchnienia Boga, zabrzmiał znowu cichy głos Chazmary.

— Przed tym obrazem dziad i ojciec kniazia nieboszczyka i on sam chrzcili się, księżę Arczył brał przed nim ślub z kniahiną Milicą. Przed tym obrazem chrzcili Olgę, przed tym obrazem umarła kniahinia i kniaź generał skonał.

Księżniczka podniosła na nią oczy zdziwione, pytające.

— Tak — odrzekła Chazmara, zrozumiawszy ten wzrok — bolszewiki strzelili do kniazia a ciebie porwał Borys. Odeszli! Trupa kniazia generała zostawili na posadzce w sali gdzie padł. Ale księżę jeszcze żył. Z kaplicy pałacowej, gdzie nie było jeszcze nikogo z łotrów, ten obraz przyniosłam. Kniaź mówić już nie mógł, patrzył tylko na oblicze Chrystusa i łzy mu się z oczu polały, ostatnie. Dwa razy. ja tylko łzy kniazia widziałam, wtedy jak my kniahinię Milicę chowali i wtedy jak on sam konał, wiedząc, że ty kniaźna w rękach Borysa. Zgarnęła ja te łzy z powiek konającego i złożyła je ot tu, na sercu Chrystusa. Kniaź zaraz cicho skonał.

POWOJENNI

Pobóg i Olga powstali z kolan. Ona miała oczy pełne łez, on westchnął do swojej własnej idei, którą powierzał Obliczu Zbawiciela.

.

Na tapczanie w kącie izby Roman Pobóg pomimo zmęczenia zasnąć nie mógł. Patrzył na koronkową zasłone przesłoniętą blaskiem lampki. Moment przed odsłoniętym wizerunkiem Chrystusa targnął jego sercem i wyrwał je z apatii, odrzucił precz poprzednie zniechęcenie. Całym zasobem wiary, jaki pozostał mu w duszy wzmocniony przez Terenię, modlił się o wyzwolenie z objęzy, o powrót do ojczyzny i rodziny, bo czuł, że ona jest dogmatem jego życia. Doznawał wrażenia, że opadły z niego wszelkie inne pokusy, że oczy Chrystusa odsłoniły w nim ten dogmat jedyny, który pod wpływem przeżytych miesięcy, bólu, rozpacz i nędzy duchowej popychał go do pożądań niebezpiecznych. Zrozumiał teraz, że pożądanie, jakim pałał do Olgi, było przemijającym orkanem, który szarpiąc jego fizyczną istotą i niosąc go w odmęty nie unicestwił w nim miłości dla żony. I z refleksji nad własną psychologią przeszedł nagle do zagadnień ogólnych, które usta Chazmary wypowiedziały tak prosto a które Pobóg powtarzał sobie teraz jak Ewangelię. „On skruszy złość obecną, która Mu Oblicze Najświętsze zasłania, wtedy wszystkie Borysy ujrzą swoje grzechy i własna podłość zabije ich, bo na świecie On będzie rządził... Jego Duch“. I oto próbował zastosować znaczenie tych słów do samego siebie i wydało mu się, że Olga to owa złość obecna, która mu oblicze jego prawdy zasłania i wszystko zło ujrzał jakby w słowie Borys zawarte, bo gdy Borysa nie stanie, wtedy nie szatan lecz Chrystus zapanuje nad światem. Wydało mu się, że wszyscy ci, którzy tworzą ideę Borysa są opętani taką samą mocą szatańską jak on jest opętany przez namiętność swoją dla Olgi. Wierzył w tej chwili, że prorocze słowa Chaz-

HELENA MNISZEK

mary będą urzeczywistnione, gdyż wierzył przedewszystkiem, że dusza jego opętana wyzwoli się wkrótce z jarzma zmysłów. I patrząc w przymglony blask lampki palonej przed Obliczem Boga, widział swoją umiłowaną Terenię jak szła ku niemu z wyciągniętymi rękami, dobra, uśmiechnięta, przebacząca. Zaczął modlić się do niej ożywionym płomieniem serca i z tą modlitwą na ustach zasnął.

.....

W zacisznym kątku sklepionej izby, za kotarą, Olga leżąc na łóżku rozmawiała szeptem z klęczącą obok niej Chazmarą. Niańka patrzyła na swą księżniczkę z bezmierną miłością i mówiła:

— Powtarzam ci doniu, że on to orzeł i z orlego gniazda pochodzi. Poleci gdzie sam chce i gdzie go skrzydła szerokie poniosą. Ty jemu, Olga, nie przeciw się w niczem, ty sokół ale on orzeł, ty jego do siebie nie nakłonisz, jemu skrzydeł nie zwiążesz.

— Chazmara, ja jego miłuję bez pamięci, on musi być mój na całe życie.

Baba gładziła rękę Olgi łagodnie i patrzyła w jej oczy prznikliwie, a smutno.

— Nie będzie on twój na całe życie, lubko, nie będzie! I ty jego nie zabieraj tamtej kobiecie.

— Nieprawda! on mnie miłuje. On mi to sam powiedział.

— Sokolico ty moja! Prawa dziecina z ciebie. Każdy mężczyzna jak chce posiąść pożądaną kobietę, to jej mówi, że miłuje, i miłuje, ale jej ciało tylko.

— On mnie nie chciał posiąść, ja mu się sama oddałam wtedy jak z „czeki“ od Borysa uciekliśmy. On jak w salonie się ze mną obchodził choć ja mu sama lazałam w ręce, nieszczęsna, widziałam, że on się męczy, że mnie pragnie.

— Taj, gdzie miał cię brać, w łapach Borysa? Ha, ha!

POWOJENNI

— Eh, babuszko, jakby chciał, to by mnie miał milion razy. Ale nie chciał. Wtedy wiedziałam, że mnie miłuje.

— Jak siostrę, co? ha? tak gadał?

— Nie, tego nie mówił i ja sama czułam, że inaczej i chcę, żeby mnie miłował jak kochankę. Niech moje ciało tylko miłuje, to mi wystarczy, a zechce to niewolnicą jego będę, byle mnie nie rzucał, byle był ze mną.

— Ty niewolnica? Księżniczka Olga Czhangirani! To nie dla ciebie! Ty gruzinka...

— A moja matka, pamiętasz? Samaś mi opowiadała: dumna księżniczka, bogata ze sławnego rodu Czarawdżadzów, porwana przez ojca mego, bo mu jej dać nie chcieli, choć on był też kniaź i gruzin. Miłowała go tak bardzo i niewolniczo, że kiedy on podjudzony przez wroga posadził ją o zdradę i w szale rozpaczy i gniewu rękę na nią podniósł, Milica, matka moja, upadła mu wtedy do nóg i buty jego całowała.

— Tak i jest — westchnęła Tatarka. — Kniaź ją biedną w furji uderzył po białych plecach szpicrutą, a ona woła: „Bij mnie, Arczyłł, kiedy mnie nie wierzysz, tylko nie odpychaj od siebie i miłuj mnie zawsze jednakowo.“

— Ot i widzisz! Tak i ja Romana miłuję a ty chcesz, żebym...

— Czekaj, ty o jednym, sokoliczko, zapomniała, że co innego było tam, a co innego tu.

— Wiem co chcesz powiedzieć, — rzuciła się Olga — że ojciec był mężem Milicy.

— No i to, ale to nie najważniejsze, jest, doniu, jeszcze coś innego...

— Chcesz mówić, że Roman ma żonę?

— To ważne, bo Chrystus nie pozwala rozrywać małżeństwa! Ale najważniejsze to, że twój ojciec miłował Milicę tak, że świata za nią nie widział. Miłował nie tylko jej ciało przepiękne, ale jej duszę, jej serce, każdą jej myśl, każde jej tchnienie. A jak ona biedna chorowała długo po tobie, to nie tknął jej przez ca-

HELENA MNISZEK

ły rok prawie, choć był mężczyzną młodym i silnym i żadnej innej kobiety nie znał. Ona była dla niego jak święta, a poza nią nikt! Prawda, że była jego niewolnica dobrowolna, ale i on jej niewolnik z miłości.

Olga spuściła oczy i zacisnęła mocno powieki, po chwili z pod jej rzęs czarnych wypłynęły wielkie, ciężkie łzy. Długo trwało milczenie, bardzo długo. Już Chazmara myślała, że Olga usnęła. Wtem zaszemrał jej szept zdławiony:

— On musi być mój! Ja poczęta jestem z wielkiej, szalonej miłości i sama noszę w sobie tę siłę straszną. On musi być mój! Zabiore go tamtej kobiecie i prędzej życie stracę, niż on odemnie odejdzie.

— A jak odejdzie?

— To przez trupa mego przestąpić będzie musiał. Inaczej nie!

— Ej Olga, Olga! Ty od Borysa siły tej szatańskiej nabrała. Ty Chrystusa słuchaj nie tego, co Borys uczył

— Kłamiesz, babo! Gdybym ja szła za ideą Borysa, ja bym Romana zabiła raczej niż bym się go dla tamtej wyrzekła. Ale on dla mnie Bóg i siebie tylko dla tej miłości zabić potrafię.

Chazmara westchnęła. Znowu nastąpiła głucha cisza.

— Chryste, zbaw nas grzesznych — zaszemrał cichy głos Chazmary.

— Chryste, zbaw nas — powtórzyła szeptem Olga.

— Ot, tak ty i mów doniu, sokolico ty nasza, gruzinko! Ot tak i mów zawsze a On zbawi.

— Czy my to wszystko mamy zabrać z sobą i z tem uciekać? — spytał Pobóg, patrząc na otwartą szkatułę pełną bezcennych klejnotów.

W głosie jego była wątpliwość i niechęć. Olga patrzyła także na migotliwe kamienie i kręciła głową niepewnie.

— Przecie tego zostawić nie możecie — rzekła Chazmara. — Toż cały majątek Olgi do zabrania. W Zrubie i bez tego zostaje dużo, ale tamtego dobra nie weźmiecie, a to można.

— Ale jak? To będzie ciężki kamień u naszych nóg. W szkatule to zabrać niemożliwe, a jak schować? W razie rewizji jesteśmy zgubieni — mówił Pobóg zgryźliwie.

— Ja to poniosę, pójdę z wami jako żebraczka, aż na Kaukaz i do Gruzji, w nasze góry, do Tatoryjska — rzekła Tatarka.

— Ty pójdziesz z nami? — zdumiała się Olga.

— Pójdę! Taj co? Ja tu sama nie zostanę już więcej. Poradziłam wam dobrze, żeby uciekać do niepodległej Gruzji, w nasze strony, tam najbezpieczniej dla was i ja z wami pójdę! Czekałam na ciebie, to i byłam w Zrubie, ale teraz pocol! Do Zruba zawsze trafisz jak pogoda nadejdzie. Wszystko dobro co tu jest zamknę i schowam tak, że nikt tego nie znajdzie. Niech rozbierają nawet mury ruin, to tego nie znajdą. A ty jak kiedy przyjdiesz, znajdziesz.

— Ale czy zdołasz Chazmaro, to daleka droga!

— Pójdę! Ja Tatarka, ja wszystko wytrzymam. Wy kniazie, pany wielkie i tyle trudów i nędzy wytrzymali, a ja nie wytrzymam?? O to się nie bójcie. Jeszcze wam dużą będę pomocą. A teraz trzeba to spakować.

HELENA MNISZEK

Zaczęły się przygotowania do podróży. Chazmara zaprowadziła Poboga i Olgę do skrytki w tajnym miejscu podziemnym. Było tam jeszcze dużo srebrnych naczyń, serwisów ze starej porcelany, makat, gobelinów, futer i innych rzeczy cennych, chowanych widocznie na prędcę. Ujrawszy płaszcz z szenszyli Olga zawołała:

— To jeden z cennych prezentów mojego ojca dla matki! Ten płaszcz tobym wzięła. Co?

Pobóg wrzucił ramionami.

Olga nałożyła płaszcz na siebie, otuliła się nim.

— Eh, niema lustra, żeby się przejrzeć! Ładnie mi, co? — spytała Poboga.

Ale zanim odpowiedział zrzuciła płaszcz ze wstrętem.

— Pfe! Czuć naftaliną! Uperfumowała go Chazmara po czortowsku.

— W tych perfumach i w tej skrzyni może on jeszcze wnuków twoich doczekać, albo ciebie jak tu wrócisz.

— Chyba jak za Borysa wyjdę zamąż — sarknęła Olga.

— Nie wyzywaj wilka z lasu! — zawołała baba z gniewem.

— Durna ty Tatarczycha, a kto od tego wilka uciekł?

— Ale on ciebie szuka, ja czuję, że on już blisko.

— Kto?? — padły jednocześnie dwa pytania.

— Borys!

Olga zadrżała. Spojrzała na Poboga z lękiem. Brwi jego były ściągnięte groźnie, usta miały wyraz zacięty.

— Uważam, że wogóle zadługo przebywamy w Zrubie. Te wszystkie rupiecie mogą nas zgubić.

— Nie bójś pan, tu nas nikt nie znajdzie. Jak ubiją, to mnie. Olga zna tajemne przejście, a tam, gdzie ono wychodzi na świat, ho, ho, to daleko stąd. Nic wam nie będzie sokoliki.

Jednak wszyscy podnieceni jakby jakimś przecuciem, zaczęli prędko zamykać skrzynie, do których Chazmara pakowała resztę dobytku, pozostałego po rabunku

POWOJENNI

pałacu. Potem w izbie sklepionej Olga z Chazmarą zaszywały klejnoty w stare watowane łachmany, w które Tatarka miała się ubrać. Kilka płaskich brylantowych bransolet i pierścionków, Olga zaszyła w swoje ubranie i w ubranie Poboga. Trwało to dosyć długo. Potem przyszła kolej na żywność. Wzięto ją w sakwy Chazmary i Romana. Ogarniała ich gorączka dziwna, jakby ich ktoś gonił i popędzał. Gdy wszystko było skończone, nagle Chazmara zaczęła zdejmować ze ściany obraz Chrystusa.

— Co ty robisz, gdzie to podziejesz? — zdziwiła się Olga.

— Ja bez tego obrazu nie pójdę. Mogą nawet obraz ten u mnie znaleźć; jako u żebraczki nie będzie to dziwne, powiem, że go kupiła za kwartę wódki u pijanego „towaryszcza”. Taj co! teraz takie rzeczy są częste. A nam opieka Jego potrzebna. Już niech was o to głowa nie boli!

Przeżegnała obrazem obecnych, zawinęła go szczelnie w łachmany i umieściła z boku w sakwie głębokiej.

Dużo jeszcze zajęło im czasu zawalenie wejścia z ruin do korytarza, prowadzącego do sklepionej izby. Wejście było istotnie trudne do odgadnięcia, z tylokrotnymi zakrętami i załomami, że nikt trafić by nie mógł, kto nie znał tych kombinacji. Zawalili tak otwór, że została tylko wąska szczelina do przejścia w podziemie, poczem zewnętrzny gładz trzymany na żelaznym pręcie miał się na nią opuścić. Nagle Chazmara dała znak, by być cicho i ją nasłuchiwać. Zdrętwieli na sam jej widok.

— Idą! są blisko, przy ruinach! — zawołała głucho i wepchnęła gwałtownie do szczeliny Olgę i Poboga.

— Czekajcie na mnie przy skrytce.

— Chazmarka! — krzyknęła Olga.

Ale Pobóg położył jej rękę na ustach. Kamień zsunął się na szczelinę nad ich głowami z tępem łomotem Roman pociągnął Olgę w głąb lochu.

— Oni ją zabijają! — jęknęła księżniczka.

HELENA MNISZEK

— Cicho! Uważajmy tu. Na tych zakrętach na każdym kroku można głowę rozbić. Musimy czekać na nią przy skrytce. Skoro tak poleciała, to znaczy, że wróci. Uspokój się Olga — rzekł Roman łagodniej, bo trzęsa się jak liść i zęby jej szczękały.

— Romanie, ty mnie ratuj od Borysa, on mnie teraz nie będzie oszczędzał. On mnie, o Boże!... lepiej mnie zastrzel, jeśli nie będzie ratunku.

— Przysięgam ci, że cię nie dam w jego ręce, chyba sam polegnę.

— To mnie najpierw zastrzel.

— Cicho, na Boga!

— Chryste miłosierny! — złożyła ręce Olga — miej nas w opiece.

Posuwali się wolno poomacku w zupełnej ciemności. Gdy nareszcie znaleźli się w izbie sklepionej, Olga zgasła lampę. Pobóg uśmiechnął się.

— To już zbyt czone, Chazmara nie paliłaby lampy, gdyby nie była pewna, że jej blask żadną się szczeliną nie przesaczy:

— Chodźmy dalej, ja tu nie zostanę, tu za blisko.

Niepokój Olgi udzielił się i Pobogowi. Ale on ją nasłuchiwać.

— Chyba strzały? — szepnęła księżniczka.

— Tak, strzelają.

— Chryste! pewno Chazmarę rozstrzelali!

— Nie, to są pojedyncze odgłosy. Możliwe wszystko, ale wiesz, mam przecucie, że ona nie da się wiać, że im się nawet nie pokaże.

— Poczóby strzelali?

— Poprosto Borys chce wywołać kogo z pustych ruin. Zresztą nie wiem?

— Sądysz, że to Borys?

— Nikt inny!

Posuwając się coraz dalej, znaleźli się przy wnęce, w której była skrytka zawalona kamieniami. Ale Olga chciała iść dalej. Pobóg ją zatrzymał.

POWOJENNI

— Zostań tu, ja pójdę z powrotem, bo Chazmara, jeśli zdołała uciekać do nas, nie da sobie rady z kamieniem.

— Romanie, tyś oszalał! Chcesz iść tam?

— Chcę iść do wylotu, przez który weszliśmy, aby ocalić Chazmarę, gdy będzie uciekała.

— A samemu zginąć! Za nic cię nie puszczał! Ja się boję sama tu zostać! Za nic!

— Ależ my bezpieczni, a ona tam może być w opałach.

Olga uczepiła się ramienia Poboga i jęła go błagać, by nie szedł.

— Ty chcesz uciec odemnie, ja wiem — jęknęła z żalem.

— Nie chcę uciec, tylko chciałbym się oko w oko spotkać z Borysem. Mam go już dosyć! Gdybym wiedział, że to on istotnie.

— On sam przecie nie jest, tylko z kozakami, a zresztą dla takiego drania będziesz życie narażał?

Wtem głuchy łoskot przebił się poprzez mury, odczuli silny wstrząs.

— Co to, mury prochem wysadzają?! — zawołała Olga.

— Eee, nie! przecie on tu ciebie szuka, nie będzie więc wysadzał.

— Ale coś się zawaliło!

Nasłuchiwali oboje długi czas z zapartym oddechem. Cisza panowała grobowa i zapach stęchlizny aż dusił. Jak długo to trwało nie mogliby określić. Olga przytulona do ramienia Poboga, krępowała go coraz mocniej swoim objęciem. Czuł jej gorący oddech na swej szyi, odczuwał jej młode, pełne piersi wgniecione w jego pierś i, nowa niepokojąca fala zaczęła go ogarniać wichrem zmysłów. Ona drżała w jego ramionach, a oddech jej stawał się coraz prędszy i gorętszy. Żar ten unosił Romana, pochylił głowę niżej, przygarnął Olgę mocno do siebie. Jęknęła z rozkoszy, uniosła się. Po-

HELENA MNISZEK

bóg dotknął ustami jej powiek i wpił się w nie na sekundę. Płomień jej ust palił i nęcił. Zachłanne wargi Romana pochwyciły je żarłocznie, z szaloną namiętnością. Zwarli się w tym pocałunku prawie dzikim i trwali w nim bez tchu, bez pamięci, skuci jednym łańcuchem przeogromnego pragnienia. Mogliby zginąć w onej minucie nieświadomi, że giną. Czuli tylko szum w głowach coraz potężniejszy, walenie pulsów w żyłach, w których krew bulgocząca płynęła kaskadą rozpiętanego żywiołu.

Wtem Pobóg zadrzał gwałtownie i oderwał nienasycone usta od ust Olgi.

— Kto to?!

— Cicho! to ja, Chazmara!

Baba ścisnęła mocno ramię Poboga. Szepnęła.

— Borys!... cały skład „czeki“ kozacy.

— Kto strzelał?

— Borys strzelał do chłopów okolicznych, którzy się za tym zabitym upominali i przyszli mnie szukać, bo myślą, że ja go zabiłam.

— Znaleźli chłopów?

— Znaleźli!... za śladem szli, bo koń wrócił do wioski.

— Zapomnieliśmy o koniu zupełnie — rzekł Pobóg tępym głosem. — Przywiązałem go tam przy tym dużym kamieniu.

— Ja dura także zapomniałam o koniu — rzekła Chazmara. — Ale teraz uciekajmy podziemiem aż do wylotu tej nory. Nikt mnie co prawda nie widział, bo już był mrok, ale zawsze im dalej tem lepiej.

— A jak nas tam złapią? Borys pewno obstawił ruiny szerokim wałem.

— Nie bojś, pan!... ten wylot jest wiorst dziesięć stąd. Ja niedawno sprawdzałam tę drogę, czy się co nie zawaliło, wszystko w porządku. Tą oto sklepioną szyją dojdziemy do końca, a tam bór odwieczny ze trzy wiorsty, taj rzeka. Tam my od Borysa bezpieczni.

POWOJENNI

— A jakżeś ty uciekła? Co to się zawaliło? Czy widziała Borysa? — pytała Olga.

— Zawalił się cokół tej baszty narożnej, której resztki sterczały... runął razem z kozakami, bo poszli tam szukać nas. Skusiło Borysa okienko, zasłonięte firanką. Umyślnie ja to okienko tak wyszykowałam, żeby ich zdurzyć. Ot i udało się! Może tam i Borys był? Ale on ostrożny! Jak się zrobił krzyk i pobiegli wszyscy do zwaliska, tak ja wtedy pod nasz kamień. Odsunęłam go trochę, tylko szparą prawie wlałam, daj zasunęłam go na amen. Tam do niego nie dojdą, bo tam tak, jak wy widzieli ułożone kamienie, że każdy się trzęsie jak nad przepaścią.

— A nikt ciebie nie widział?

— Ba!... żeby oni mnie widzieli, to jużby i po mnie było! A czy ja durna? Ale ja ich widziała zdaleka, Borysa, daj jego towarzyszy i chłopów. Słyszała jak się o mnie upominali. Ot tobie i czarownica! ją Chrystus ocali, a was czort weźmie, nie dziś to jutro. Osobliwie Borysa.

— Chłopi naprawdę niewinni, upominali się o swego — rzekł Pobóg.

— Borys jak obejrzy tego chłopca będzie wiedział, że to ja, albo Roman go zabił, pozna że z browninga — dodała Olga.

— A cóż to ja nie mogę mieć także takiego rewolweru?

— Uciekajmy, bo ja mam przeczucie, że oni do podziemi trafią — rzekł Pobóg. — Jeśli nie Borys, to chłopci im wskażą. Niemożliwe, żeby nie wiedzieli o podziemiach.

— Czort ich wie! Ale są tu jeszcze inne lochy, bez wyjścia, jak tam wpadną, tak już amen!

Szli wolno, bo z powodu ciemności i rozmaitych zakrętów z trudem mogli się posuwać. Brak powietrza najwięcej dawał się im we znaki. Parokrotnie słyszeli nad sobą głuchoe odgłosy, które mogły być strzałami, lub

HELENA MNISZEK

zawalaniem się resztek ruin. Zdawało się im, że szli tak wieki.

Sprawdzając godziny na zegarku przy pomocy lampki elektrycznej, przekonali się, że szli tak całą dobę. Loch zdawał się nieskończony. Wreszcie ogarnęło ich znużenie silne, musieli odpocząć. Siedząc na chłodnej, wilgotnej ziemi, przytuleni wszyscy do siebie, przespali się kamiennym snem. Pierwszy ocknął się Pobóg i od razu zauważył słaby brzask przesiąkający w ogólnej ciemności lochu. Nie budząc Olgi powstał, by znaleźć źródło światła. Trafił na wąski komin, wychodzący na zewnątrz. Z lubością wciągnął świeżego powietrza w ściśnięte płuca i zapragnął zobaczyć co się tam dzieje na wierzchu i gdzie są. Dźwignął się na kamieniach oślizgłych, tępych i wkrótce dosięgnął głową wylotu otworu. Zachowując ogromne ostrożności wysunął głowę ponad otwór. Uczynił to z trudem wielkim, bo otwór był ciasny. Dokoła była pustka. Las gęsty oświetlony był wschodem słońca. Roman zapragnął nagle swobody, samotności. Uczuł tak silną pokusę, by wyzwoić się teraz od tych kobiet i samemu uciec w ten las czarny i w świat! w świat!... do Uchani. Był moment jak błysk pioruna gwałtowny, że już dźwignął się, by wyskoczyć z komina. Pokusa wzmagala się, pragnienie ucieczki rosło, wszak Olga i Chazmara dadzą sobie radę bez niego. Pokusa potężniała, ale jednocześnie głos wewnętrzny, uparty mówił mu, że Olę zdradza, że chce popełnić czyn niezgodny z jego sumieniem i pojęciem honoru. A wszakże przysiągł Oldze, że jej nie odda w ręce Borysa. Czy nie za blisko byli tej grozy, czy ona nie wpadnie w te ręce straszne, z których ocalała go przed niechybną śmiercią. Wszystkie te rozumowania Pobóg starał się zagłuszyć w sobie, nadaremnie, czuł, że pokusa ucieczki była zbyt silna i że go uniesie. Pobóg drżał jak w febrze, zęby mu szczękały z wrazenia. Był już do połowy wysunięty ponad otwór komina, już rękoma oparł się na suchej trawie, już czuł na twarzy

POWOJENNI

muskanie suchych paproci, rosnących dokoła, już tchnienie swobody owiało go huraganem szczęścia, gdy nagle jak grom spadła nań świadomość straszna.

— A klejnoty Olgi?

Jakby go kto taranem huknął w głowę. Pociemniało mu w oczach. Głuchy jęk wydobył się z jego piersi, jęk bólu, wstydu i ulgi, że świadomość ta przyszła w porę. Bez chwili namysłu, odrazu, posłuszny nakazowi własnej woli, Pobóg wsunął się z powrotem w otwór komina i w parę minut był już znowu przy Oldze, śpiącej twardo.

Wtem znienacka odezwał się ponury głos Chazmary:

— A co wy tam, pan, widzieli w lesie. Ha?

— Las i pustka, można byłoby i wtedy już uciekać. Żywego ducha niema dokoła.

... Boże, dzięki ci żeś zesłał na mnie opamiętanie dość wcześnie, że nie zostałem mimowoli posądzony o zło-dziejstwo — westchnął Roman w głębi duszy.

— Wy, pan, mogliby wtedy przejść i Olga też i sakwy, ale ja nie, zresztą tu za blisko Zruba.

— Czy prędko dojdziemy do wylotu?

— Dziś wieczorem.

Po całodzienniej wędrówce, po załomach podziemi dotarli wreszcie do miejsca, gdzie loch zwęzał się nagle bardzo i zniżał tak, że musieli pełznąć na kolanach jedno za drugim z pochylonemi głowami. Chazmara pełzła pierwsza i pierwsza dosięgła końca ciasnej kamiennej nory, przypominającej kształtem borsuczą jamę. Gdy wreszcie postać Chazmary wyłoniła się nazewnątrz, odsłaniając sobą wylot, Pobóg wysunął się prędko za nią i wyciągnął Olgę nawpół zduszoną ze zmęczenia i braku powietrza. Wszyscy troje wyciągnęli się z ulgą na suchej ziemi wzgórze, oddychając jak ryby wyrzuczone z wody. Olga była bliska omdlenia. Pobóg wydobyl z plecaka butelkę wina i napoiwszy niem Olgę,

HELENA MNISZEK

natarł jej skronie. Uśmiechnęła się do niego słabo i szepnęła.

— Odpocznij, Romanie sam, dziękuję ci, już mi lepiej, tylko bolą mnie wszystkie mięśnie i kości.

— Tu wypoczniemy przez całą noc i jutrzejszy dzień. Przy tej norze jesteśmy bezpieczni, w każdej chwili ukryć się możemy.

— Dziękuję! — jęknęła Olga. — Za nic na świecie drugi raz do tej nory nie wejdem!

— Wejdiesz, doniu, jak byłoby źle! Człowiek w grób się schowa kiedy bieda, a strach opęta.

Chazmara obeszła las dokoła nory, ale cisza panowała tu głucha, tylko sosny szumiały, poruszane podmuchem wieczornego wiatru. Noc zapadła wreszcie dość jasna, choć bez księżyca. Chazmara wydobyła żywność z sakwy, ale jeść nie mogli. Posilili się winem. Zachowywali zupełną ciszę, nie paląc ognia. Wkrótce legli spać. Pobóg ofiarował się pierwszy stróżować, po północy miała go zastąpić Chazmara. Olga spała mocno, jęcząc czasami przez sen. Roman zapatrzony w gwiazdy rozmyślał. Ale myślami był teraz daleko od własnych tęsknot i umiłowań. Myślał o Oldze. Los tej bogatej gruzinki, rzuconej oto w lesie, bezdomnej, ściganej, wzruszał go daleko więcej niż jej miłość dla niego, którą uważał za zmysłowy popęd, nie zaś za prawdziwe, szczere uczucie duchowe. Sądził zresztą po sobie, bo czuł to wyraźnie, że Olgi nie kochał ani jednym drgnieniem serca, ale pożądanie jej przekraczało siłę jego woli. Były to pęta, które ciągnęły go w przepaść, wiedział, że trudno mu będzie wyzwolić się z nich. Czar Olgi, jakkolwiek tylko fizyczny ujarzmił go, nie przygaszając jednak tęsknoty do swoich. Pobóg całą swoją istotą duchową trwał przy Tereni, fizyczną był przy gruzince i wiedział, że czar jej pójdzie za nim nawet wtedy, gdy

POWOJENNI

się od niej wyzwoli. To go niepokoiło, tembardziej, że wspólna ich ucieczka zapowiadała się jeszcze na czas dłuższy. Postanowili bowiem uciekać do Gruzji, gdzie Olga miała swoich bliskich krewnych i skąd przy ich pomocy o wiele łatwiej i bezpieczniej mogliby opuścić Rosję. Sama zapowiedź tej podróży, była dla Poboga męką dręczącą. Mogła przytem podróż trwać bardzo długo i coraz bardziej przywiązać go do Olgi. Bał się tego a wiedział, że już jest związany z temi kobietami do końca ich ucieczki. Postanowił sobie, że gdy tylko opuszczą Rosję, natychmiast pożegna Olę i przez Rumunję powróci do Polski, do siebie. Wyobrażał sobie nieprzyjemny moment rozstania z księżniczką, lecz jednocześnie czuł w sobie siły niezmożone do walki i pewność zwycięstwa.

* * *

Gdy błysnął ranek, uciekinierzy stojąc nad brzegiem rzeki, okolonej bujnym lasem, patrzyli tęsknie w dal, na sine, bystre fale, które miały ich unieść ku wolności. Chazmara z tryumfem ładowała sakwy do łodzi, kołyszącej się u brzegu. Na wyrażone przez Poboga słowa podziwu, odrzekła z dumą:

— Coby ja była za rab kniazia nieboszczyka i kniaźny sieroty, żeby ja nie przewidziała, że z nią będę uciekać ze Zruba i żeby nie przygotowała wszystko naprzód? Toż prawie całą zimę byłam sama i mogłam robić, co chciałam.

— Ale że tej łodzi nikt nie wypatrzył nawet w takich jak te szuwarach?

— Tu pustka! dokoła błota wielkie, grzęzawiska, tu nikt łodem nie przyjdzie, a rzeką choćby kto i płynął, łodzi nie dojrzy, za dobrze była schowana, a zresztą...

HELENA MNISZEK

Chazmara podniosła uroczyście palce ku niebu.

— Chrystus chciał, żeby tej łodzi żaden Borys nie znalazł, tak i ocalała! Teraz w drogę sokoliki! Do Gruzji, do Tataryjska w nasze góry! Hej tam wy bezpieczni!

— W drogę! — powtórzył Pobóg.

W atłasowym buduaraku ananasowego koloru panował nastrój chmurny. Panna Róża Krongold wciśnięta w róg kanapki szarpała książkę, którą czytała przed chwilą. Postrzępione kartki spadały melancholijnie na puszysty dywan, niby pióra skubanego ptaka. Niektóre wiechetki papieru zaczepione o jedwabną suknię chwiały się i zdawały się uśmiechać ironicznie czarnymi resztkami druku mającemi wygląd wyszczerzonych zębów. Naprzeciw panny Róży wielka postać jej ojca wypełniała doszczętnie głęboki fotel. Krongold ręce trzymał oparte na brzuchu a duże palce zaczepiał jakby dla równowagi o złotą, grubą dewizkę zegarka. Bogaty przemysłowiec patrzył na kawałki papieru, rozlatujące się z książki z filozoficzną miną człowieka, który już nawet nie oburza się na widok marnotrawstwa, dopełnianego w jego oczach. Milczenie trwało długo. Twarz Krongolda ponsowała coraz bardziej, panna Róża natomiast bladła. Książka nikła w jej rękach, a u jej stóp rósł stożek postrzępionego papieru. Wtem zabrzmiał głos Krongolda, przytłumiony, jakby się wydobywał z pod warstwy tłuszczu.

— A co będzie dalej?? Czy to tak długo może być?

— Będzie dokąd ja zechcę — odrzekła panna obojętnie.

— No pewno! ale ja ci coś powiem, Róziu, że tak jak ty strzepisz tę nieszczęśliwą książkę, tak on strzepi naszą fortunę i twoją opinię.

Panna podniosła na ojca pyszne, czarne oczy z wyrazem zdziwienia.

— Cóż to znowu za porównanie?

— Zastanów się sama. Zebrzydowski bywa tu ciągle, cały karnawał wyprawiałaś dla niego bale, festyny, obiady, rauty. Aj! co to kosztowało i co z tego? Wszys-

HELENA MNISZEK

cy wiedzą, że on się tak długo starać o ciebie nie może i wszyscy myślą, że on już dawno twój kochanek. No co to jest za interes?

— Niech sobie myślą! Być kochanką Zebrzydowskiego to wcale nie wstyd i nie jedna mi zazdrości. Może być papa pewny.

— Niech zazdrozczą, ale jak moja kieszeń jęczy, tego mi nikt nie zazdrości. Ten panicz, ten War, to on wystrzępi moją kieszeń tak, że aj! i myśleć się nie chce. To jest rozbój, to czysty rozbój!

— Czy jesteśmy milionerami, czy nie?

— Miljonerami? my? Nie daj Boże, żeby my przy obecnej walucie byli tylko milionerami! To byłby już koniec z nami! My teraz miliardery, ale to wszystko się wystrzępi, jak ta twoja książka. Ona też kosztowała pieniądze a teraz ot, została okładka! Ten War...

— Niech papa nic nie mówi na Wara. On jest Zebrzydowski, jemu wszystko wolno. Wszystko!

— I zrujnować Krongolda też wolno?

— Wolno, skoro Krongoldówna kocha się w nim.

— Aj, aj! to jest rozbój, to nieszczęście! A jak on się z tobą nie ożeni? ten panicz, ten jaśnie pan?

— Ożeni się, może być papa spokojny.

— Mówią coś, że on się kochał w mężatce.

— Cóż mnie to obchodzi?

— No, ja myślę, ale czy jemu pozwolą się z tobą ożenić? Jego matka podobno wielka arystokratka, Mohyńska z domu, ma być dumna jak królowa.

— Z czego? wszystkie majątki pod bolszewikami, a ona żyje z renty. Pochleby należą do Wara.

— To prawda co mówisz Róziu! Ty mądra jesteś dziewczyna, ja wiem! Ale te polskie magnaty to one są dumne zawsze, czy mają z czego, czy nie. Taka już w nich natura i taka krew błękitna, jak mówią. Ha! ha!

— Tembardziej potrzeba im purpurowej na domieszkę, żeby nie zwodniała do reszty.

POWOJENNI

— Ha, ha! Ty mądra jesteś Róziu. Ale czy oni czują tę potrzebę sami, czy oni pozwolą sobie tę krew narzucić?

— Muszą! Z purpurą naszej krwi wniesiemy im, ich zatraconą purpurę świetności, bogactwa. Zebrzydowscy znowu blask magnacki roztoczą dokoła, to wystarczy, żeby ich zjednać, a nawet zachwycić.

— Aj, aj! Dla Wara to tak, ale dla jego matki? Ona podobno nie widziała partji w kraju dla syna, pomiędzy najpierwszemi księżniczkami i hrabiankami.

— Bardzo wierzę, ale to było dawniej, teraz baronówna Krongold będzie świetną partją dla Zebrzydowskiego na Pochlebach. Może papa być spokojny.

Krongold zamyślił się, poczem nagle podniósł ręce w górę i uśmiechnięty rozkosznie zawołał wesoło:

— Aj, aj! Róziu, ja już ciebie widzę panią Edwardową Zebrzydowską na Pochlebach. Piękna z was będzie para.

— Co tam na Pochlebach? Papo! My kupimy ogromne dobra z pięknymi pałacami, zamkami, stajnią wyścigową. Urządzimy sobie życie lux, pierwsza klasa. Przecie stać nas na to.

Krongold patrzył na córkę rozpromieniony.

— Z Krongoldów Edwardowa Zebrzydowska na Derbyszczach i Hłowatynie, to dopiero brzmiałoby tak jak trzeba. Ale tamto już pewno nie wróci, a zresztą.

Wtem zasepił się i w oczach jego przemknął niepokój.

— Ale jeśli War zacznie po dawnemu hulać i cały świat uważać za swój dom? To będzie gorzej! Tego i nasza fortuna nie wytrzyma.

— Ja go utrzymam przy sobie, ale nie chcę mu zabraniać tego, do czego przywykł i co jest jego naturą. War to wielki pan, jemu potrzeba oprawy i ja mu tę oprawę dam wzamian za jego osobę i za jego nazwisko.

— Co znaczy nazwisko bez pieniędzy? Ty, Róża, pamiętaj zawsze, że ty jemu dajesz górę złota, czyli

HELENA MNISZEK

że o tysiąc procent więcej, niż on tobie. A kiedy tyle dajesz, to możesz tyle również żądać od niego ustępstw rozmaitych. On musi ciebie słuchać, bo ty musisz rządzić majątkiem, nie on. Jakbyś jemu dała prawo do swojej fortuny aj, aj! ja bym już dziś widział płótno w moich kieszeniach. Nawet nasza kasa byłaby za uboga.

Papa Krongold mówił jeszcze długo na temat Wara, ale panna Róża nie bardzo słuchała jego wywodów, zajęta była własnymi myślami. Postępowanie Wara dziwiło ją, nie mogła zrozumieć dlaczego tak zwleka z oświadczeniami, których oczekiwała z upragnieniem. Burzyła się w niej gorąca krew wschodnia i duma jej cierpiała nad tem, że dotąd nie może się nazwać narzeczoną Zebrzydowskiego. Kochała go po swojemu namiętnie, a zarazem ambitnie. Zebrzydowski imponował jej urodą, układem, sposobem bycia, tak samo, jak nazwiskiem, lecz trochę się już za długo starał bez żadnych kroków konkretnych.

Panna Róża postanowiła, że wiosenną przejażdżkę zagranicę odbędzie już z narzeczoną. W tym celu, gdy Zebrzydowski tego dnia o zwykłej godzinie zjawił się w bogatym mieszkaniu Krongoldów, panna Róża rozwinięła cały zasób swych wdzięków, kokieterji i czaru, by go nareszcie skłonić do oświadczeń, tak przez nią wymarzonych. Był wieczór dla kilku wybranych osób, z którymi Krongold grał w karty. Panna Róża i Zebrzydowski, pozostawieni sami sobie, pomimo wszelkich starań panny nie doszli jednak do porozumienia. War pił koniak i szampana z wprawą i nonszalancją, jakiej mu niejedyn młodzienc, chcący go naśladować pozazdrościłby, patrzył w oczy panny Róży głęboko, wzrokiem, który działał na nią jak narkotyk. Całował jej wypieszczone ręce aksamitnym dotykiem ust, róże od niego, które ona muskała niedwuznacznie swojemi ustami, przykładając do warg i łapał niemi atłasowe płatki, patrząc na pannę Różę wzrokiem, mówiącym, że pragnie jej ust. Lecz mimo te obopólne manewry do wy-

POWOJENNI

znań nie doszło żadnych. Krótkie słówko Wara, gdy mówił pannie Róży o zamierzonym wyjeździe do rodziny i dodał: „a gdy powrócę“... to słówko niedokończone było całą zdobyczą tego wieczoru i uratowało pannę od wybuchu nerwowego, ale nie uspokoiło Krongolda.

— Co to znaczy „gdy powrócę“? POCO on ma powracać, kiedy on tu jest i powinien się oświadczyć. To są głupstwa te wasze gadania i patrzenia sobie w oczy i całowanie głupich róż. Co to jest? Jak ja się oświadczyłem twojej matce, to ją znałem dwa dni przedtem, a potem to jej powiedziałem, że się mnie podoba, że ja mam taki a taki majątek, wiem jaki ona ma i że może być pewna, że go nie zmarnuję. Nu i za tydzień był ślub.

— Papa był papą, a on jest Zebrzydowski — sarknęła panna oburzona.

— Jak on ciebie oskubie do ostatniego grosza, a potem rzuci, to on też będzie Zebrzydowski! Ja jestem Krongold - miljarier, a potem będę Krongold - goły z łaski pana Zebrzydowskiego. Gdzie tu logika, czy to po kupiecku, czy to po naszymu? — irytował się papa, ale córka miała zagadkowy uśmiezek na ustach, który jak zwykle zamykał dyskusję bezapelacyjnie.

Papa odchodził zły, epitetując Zebrzydowskiego w myśli, a panna Róża oddawała się marzeniom.

War zaś wracał do hotelu na nowo podniecony.

— Piekielnie ładna i piekielnie ponętna ta Różia — myślał. — Chyba już nareszcie palnę najkapitałniejsze głupstwo w życiu i ożenię się. Co tam mama, albo ciocia kalendarz! I jedna i druga milionów mi do kasy nie nasypią. Umieją tylko moralizować i jęczeć. „Zaden Zebrzydowski nigdy nie popełnił mezaljansu.“ To mi dopiero argument! To właśnie nudne i monotonne. Dla rozmaitości będę nielojalnym względem tradycji, nazwiska i wszelkich tego rodzaju zardzewiałości. Popełnię zbrodnię i naszą tarczę herbową oczyszczę z patyny wieków, wypucuję ją na glans milionami Krongolda, że będzie błyszczeć jak, jak, jak nowe guzy na liberji

HELENA MNISZEK

Krongoldów. Ha, ha! Ciocia Kalendarz dostanie obłędu, może nawet ataku furji. Wuj August mnie wyszydzi. A mama? Och mama, pompatycznie i majestatycznie wyrzeknie się mnie i... wy... dzie... dziczy! Ha, ha! To ostatnie będzie najzabawniejsze! Wyobrażam sobie jak mama to ładnie zrobi. Ruch będzie taki:

Monologując w myśli podniósł ramiona, by naśladować gest matki, lecz zorientował się, że jest na ulicy.

— Idjocieję wyraźnie.

W hotelu znalazł na biurku swoim kilka listów. Spojrzał na nie ironicznie.

— Pewno jakieś rachunki. Ktoby tam teraz pisał do takiego hołysza jak ja? Nie przedstawiam interesu.

Jednakże jeden zastanowił go.

— Od kogo to?

Rozerwał kopertę. „Jerzy Strzelecki“ i parę słów, że chciał się z nim widzieć, lecz że nie zastał w hotelu, przeto podaje adres pensjonatu, w którym mieszka i numer telefonu.

— Hm! Jerzy Strzelecki, czego on odemnie chce? i co on tu robi?

Wtem uświadomił sobie, że majątki Strzeleckiego są poza linią demarkacyjną, wszystkie. Zatem i on zrujnowany. Co ten milioner kresowy robi? czy i on ma jakieś Pochleby?

Na drugi dzień o 12-tej w południe War dzwonił do pensjonatu wskazanego i czytał na tabliczce nazwisko właścicielki, obce mu zupełnie.

Usłyszał za drzwiami głośną rozmowę i zdawało mu się, że jeden głos znajomy. Prędkie kroki, szelest sukni i drzwi się otworzyły. Smukła postać kobieca stała przed nim w mroku przedpokoju w niepokojącym milczeniu. War miał wzrok krótki, jednakże spostrzegł odrazu i odczuł, że to ktoś nie ze służby.

— Czy zastałem pana Strzeleckiego?

— Wyszedł, ale za chwilę wróci, pozwoli pan, proszę.

POWOJENNI

Otworzyła drzwi salonu i sama w nim znikła. Zebrzydowski zdjął palto, uderzony dźwiękiem głosu tej kobiety.

Wszedł do salonu i... oniemiał. W pełni światła stała przed nim pani Teresa Pobożyna. Uśmiechała się do niego tym swoim wdzięcznym, dawnym uśmiechem.

— Pan mnie nie poznaje?

War rzucił się do jej rąk i całował je zachłannie.

— Cóż za niespodzianka, co za radość! Tyle lat! — powtarzał, czując, że od tych pocałunków przenikają go dreszcze, jakby go kto iskrami obsypywał. Ale pani Teresa po chwili wysunęła dłonie z jego rąk grzecznie, lecz stanowczo i jeła go wypytywać o męża. War doznał wrażenia, że oblano go zimną wodą, ostygł i opamiętał się od razu.

— Podobno pan był w jednym pułku z Romkiem. Wiem o tem od Ganiewicza, który w zimie wrócił z wojny do Kraża. Stracił nogę biedak i humor już nie dawniejszy, ale jednak wrócił, a Romana dotąd niema.

Głos jej załamał się, w oczach stanęły łzy.

Pochyliła się wdzięcznie w stronę Zebrzydowskiego i mówiła głuchym głosem.

— Może pan coś wie o Romku. Proszę niech mi pan nic nie ukrywa, choćby ta prawda była najgorsza.

War złożył ręce jak do modlitwy.

— Pani najdroższa, nie wiem nic o panu Romanie. To omyłka, nie byliśmy w jednym pułku, lecz tylko w ułanach. Przez cały czas wojny oraz inwazji ostatniej, nie spotykałem pana Romana ani razu. Czy pani nie czyniła starań w celu dowiedzenia się w sztabie o losie pana Poboga?

— Ach panie! wyczerpałam już wszystko co możliwe. Nie mają żadnej wiadomości, a to przecie już marzec. W kwietniu poszedł na Kijów, do lipca wieści od niego miewałam, potem już ani słowa.

Łzy obfite spłynęły z oczu pani Teresy. Twarz jej miała taki wyraz bólu i męki, że Zebrzydowskiemu ścis-

HELENA MNISZEK

nęło się serce. Patrzył na panią Teresę i znajdował ją cudowną po dawnemu i po dawnemu ponętną dla siebie. Ale jednakże dałby dużo za to, gdyby mógł udzielić jej wieści dobrej o jej zaginionym mężu. Patrzył na nią, patrzył i wydawała mu się uosobieniem słodyczy i piękna. Poczuli się tu dziwnie dobrze w tym zacisznym saloniku, wobec tej kobiety, która odegrała tak wielką rolę w jego życiu, a którą na tak długo stracił z oczu. I oto znowu Edward zapomniał o panie Róży, o swoich troskach, o całym świecie i widział tylko panią Teresę i jej łzy, które go nie bolały jako łzy, wylewane za mężem i rywalem, lecz raniły dlatego, że nie mógł powstrzymać ich jakąś dobrą wieścią, że nie mógł jej powiedzieć: „Wiem gdzie jest pani mąż, niech pani nie płacze“.

Edward uczuł w piersi tyle uczucia, pozbawionego całkowicie egoizmu, że żałował serdecznie, iż nie był w możności zadość uczynienia swoim pragnieniom. Nasycał się tylko obecnością pani Teresy. Odpowiadał na jej pytania i chłonał ją oczami jak istotę ukochaną i odnalezioną cudownie. Rozpytywał ją o Uchanie i rodzinę, o Krąż i w trakcie tej rozmowy chwycił z rozkoszą każdy dźwięk jej głosu, każdy znajomy dawniej rys na jej twarzy, każde drgnienie ust, lub mrugnięcie oka. Uśmiech jej był teraz inny, nie ten dawny, pełen słońca i promieni, był dobry, jak zawsze, lecz smutny, trochę melancholijny. Edward czuł, że za ten uśmiech bolesny oddałby życie. Pochylony ku niej był w nią tak zapatrzony, że wreszcie ona to spostrzegła. Odsunęła się nieco i spytała:

— A pan? Cóż z panem? Pana także wojna skrzywdziła okropnie. Hłowatyn, Derbyszcze, po tamtej stronie?

— Jestem nędzarz zupełny.

Edward machnął ręką.

— Jakto? przecież Pochleby...

— Pochleby to sakwa żebracza, proszę pani. Nie

POWOJENNI

mówmy o tem, bo nie warto! Cóż ja teraz? Jestem niczem, parjasem, nędzarzem.

— Czy Pochleby są tak zniszczone? Przecie są na lewym brzegu Wisły. Inwazja tam na szczęście nie doszła, więc dlaczego nazywa się pan nędzarzem?

— Ach, proszę pani, cóż te Pochleby?

Pobożyna patrzyła na Edwarda poważnie.

— Pochleby to doskonały warsztat, na którym pan może pracować i żyć dostatnio, gdyby pan pracować chciał.

— Eh, proszę pani, to temat za błahy na rozmowę naszą! — pochylił się do jej ręki — mówmy lepiej o pani, o... o tem, co panią interesuje.

— Dziękuję panu za serce, lecz...

Pani Teresa wysunęła rękę z zaborczych rąk Wara, gdyż pocałunki jego stawały się zbyt gorące.

— Chciałabym wiedzieć o panu coś dobrego, bo tyle się widzi dokoła nieszczęścia po tej wojnie strasznej, że doprawdy jakby nad ludzkością przeminął wiek, takie wszędzie zmiany, tyle ruin i łez. Pan znał Jerzego Strzeleckiego, nieprawdaż?

— Owszem znałem, ale mało, spotykałem go u państwa.

— No tak, dziś on jest zrujnowany zupełnie. Cały klucz Nowosiólecki przepadł. Wszystko w gruzach. Jerzy jest rzeczywisty bankrut, a jednak nie nazywa się już nędzarzem i zbudził się do czynu. Szuka posady, pragnienie pracy rozsądza go. Nie traci nadziei w przyszłość.

— Gdzie obecnie jest pan Strzelecki?

— Był u nas przez całą zimę od listopada.

— Ach, był w Uchaniach... no więc mu się nie dziwię, że posiada zapal do życia i...

— Dlaczego pan to mówi?

Zmierzyli się wzrokiem.

Poważny pytający wzrok Teresy zmieszał nieco Wara. Spuścił oczy pod mocą wyrazu jej oczów i odrzekł ciszej:

HELENA MNISZEK

— Gdy się jest blisko pani, gdy się jest pod jej wpływami, to wystarczy by człowiek nabrał wiary i zapału do życia. Niech się pani za moją szczerłość nie obraża. Ja wiem, że gdybym był w położeniu pana Strzeleckiego, czułbym się także inaczej. Ale ja jestem fatalista, wykolejeniec, nędzarz materialny i duchowy. Dla mnie ratunku już niema!

War zerwał się z krzesła i podszedł do okna.

— Widzę, że muszę pana wypowiadać, bo pan ma przede wszystkim chorą duszę. Nie wiem jaki powód realny tej strasznej choroby, bo utrata majątków kresowych to wielka krzywda, ale ani nędza, ani nieszczęście. Pogadamy o tem, dobrze panie Edwardzie? Ale najpierw niech się pan uspokoi, proszę. Ma pan we mnie zawsze szczerą przyjaciółkę, proszę wierzyć.

Podskoczył i chwycił jej rękę, którą ucałował niemal z nabożeństwem. W tej chwili odezwał się dzwonek.

— Pewno Jerzy — rzekła pani Teresa.

War ochłódł, spojrzał na wchodzącego niechętnie. Strzelecki przywitał Wara chmurnie. Patrzył na niego dziwnie jakoś, badawczo i pytająco.

— Byłem u pana wczoraj w Bristolu, lecz nie zastałem. Dziękuję za rewizytę i... mogę podobno złożyć życzenia?

— Życzenia?... czego?

War zrobił wielkie oczy.

— Dowiedziałem się przed godziną na mieście, że pan zaręczony.

— Ja?!

Krwawy jak ogień rumieniec oblał twarz Edwarda.

— A niedobry pan War, nic nie mówił — zawołała pani Teresa.

Ale uśmiech zgasł na jej ustach. Ona i Jerzy patrzyli na twarz Wara, poruszoną niebywale i płonąca, Teresa ze zdziwieniem, Jerzy z nagłym zakłopotaniem. Wreszcie Strzelecki rzekł nieco innym tonem, trochę cieplej.

POWOJENNI

— Przepraszam pana, widzę, że byłem niedyskretny, lecz ponieważ mówią o tem głośno...

— Kto to panu mówił? — wykrztusił War.

— Słyszałem od kilku panów w cukierni, gdzie umawiałem się z moim przyszłym chlebodawcą. On mi także mówił, że słyszał o tem rano, na giełdzie.

— Jak o nowej walucie — syknął War i chwycił ręce pani Teresy.

— Żegnam panią!

— Panie Edwardzie, co panu? Niech pan zostanie, pan taki wzburzony.

— Jeszcze raz przepraszam pana bardzo, bardzo — rzekł Jerzy serdecznie — powtórzyłem jakąś plotkę i szczerze tego żałuję. Proszę mi wybaczyć.

Edward stał jak skamieniały, więc pani Teresa posadziła go na fotelu i usiadła obok. Ale War ukrył twarz w dłoniach i rzekł głosem cichym:

— To plotka, choć właściwie, może i nie plotka.

— Więc nie mówmy o tem — przerwała Pobożyna.

— Niech się pan uspokoi, proszę.

Teresa zwróciła się do Jerzego.

— Pan mówił o przyszłym chlebodawcy? Więc pan już znalazł posadę?

— Tak, droga pani, dziś przed godziną umówiłem się z panem Bójskim ze Zdołczyc na posadę rządcy.

— Rządcy? Pan?

— Niestety tylko, na razie. Muszę się dać poznać, niech ocenią moją pracę. Wczoraj kołatałem do pana w tej sprawie — rzekł Jerzy do Wara — chcąc prosić o protekcję i rekomendację w znalezieniu pracy. Dziś ją znalazłem.

Zebrzydowski odkrył twarz. Oczy mu gorzały, na ustach miał dziwny uśmiech.

— Do mnie o protekcję? Pan ze mnie żartuje! Przecie my koledzy w niedoli powojennej. Skądże ja teraz?

— Ma pan Pochleby, stosunki, niech pan nie bluźni.

HELENA MNISZEK

— Ha, ha! Ja nie bluźnię! Będę miał stosunki, nawet wpływy o... ogromne! Teściem moim ma być baron Krongold... wszak pan o tem słyszał już? pomimo, że jeszcze rodzowego brylantu Krongoldów na palcu nie noszę. Ale panna Róża zapewne go już obstałowała, takiej wielkości! — zakreślił palcem duże kółko — musi być przecież brylant, godny narzeczonej, bo narzeczony, — machnął ręką — djabła wart! Żeby nie to, że się nazywa Zebrzydowski...

— Panie Edwardzie, mówi pan jak w gorączce. Jaki Krongold, jaka panna Róża? nic nie rozumiem.

— Moja narzeczona.

— Krongoldówna?

— Właśnie, właśnie!

Pani Teresa spojrzała zdumiona na Jerzego, on skinął głową potakująco.

— O, widzi pani — zawołał Edward — to już sprawa przesądzona!

Rozłożył ręce szeroko i wykonywał niemi ruchy pływackie.

— Ja jestem proszę państwa w czepku urodzony. Straciłem kresową fortunę, ale za to włązę na kupę złota finansisty Krongolda! Los się zrehabilitował.

Zebrzydowski uklonił się Teresie i Jerzemu i wybiegł z salonu. Wyszli za nim, lecz nie pomogły żadne perswazje pani Teresy. War odszedł.

— Poco pan mu składał te życzenia, panie Jurku. Może jakaś niedorzeczna plotka, a jeśli prawda, to go widocznie boli.

Strzelecki zmarszczył brwi.

— Niech boli, skoro się zaawanturował, niech ponosi konsekwencje. To wstyd, aby chłop młody, zamożny, był takim niedołęgą, żeby włązić do kieszeni żyda dlatego, że stracił fortunę, zresztą nie całą. Pochleby śliczny majątek i przez wojnę nietknięty. Warsztat pracy ogromny, a ten? Po jego początkowym zachowaniu się

POWOJENNI

sądziłem, że to istotnie plotka, i było mi bardzo przykro, ale pani sama słyszała, nie zaprzeczył.

— Słowa jego były jednak gorzkie. A może powoduje nim nie tylko interes? Jakaż ona jest ta Róża Krongold?

— Nie wiem, proszę pani, wiem tylko, że Edward Zebrzydowski takiego głupstwa robić nie powinien. Powoduje nim zwykle próżniactwo i chęć użycia, więc jak sam mówił wchodzi na kupę złota Krongolda, gdzie osiągnie to, do czego dąży. Gdybym był wiedział o tem wczoraj, nie chodziłbym do niego z prośbą o protekcję. Usłyszana dziś wiadomość oburzyła mnie. Jeśli istotnie ożeni się z tą bankierówną to...

— Panie Jurku pomau! — zawołała pani Teresa. Nie osądzajmy go przedwcześnie. Jego słowa były tego rodzaju, że mogły wyrażać również dobrze ironję, jak i prawdę. Pan nie zna Wara. W jego ustach często fałsz staje się prawdą, a prawda fałszem. Może tylko słowami swemi wyszydził plotkę usłyszaną z ust pana, tembardziej, że te życzenia składał pan tonem lodowato-ironicznym. Gdyby nie wrócił do nas, byłoby mi bardzo przykro.

— Jeśli pani każe, pójdę do niego i dokładnie zbadam sprawę.

— On panu nic nie powie więcej nad to, co tu mówił. Wydał mi się niebywale rozdrażniony, nigdy go takim dawniej nie widywałam.

— Ba! dawniej przed wojną był magnatem, a teraz jest zamożnym ziemianinem. Różnica!

Strzelecki spochmurniał i zwiesił głowę.

— Pamięta pani moje przyście do Uchani w jesieni, wyglądałem nieco gorzej, niż Zebrzydowski.

— Co tam wspominać takie smutne chwile! Ale wtedy pan także nazywał siebie nędzarzem i różnie tak, a jednak osiągnął pan równowagę ducha. Miejmy tedy nadzieję, że i Zebrzydowski...

Strzelecki błysnął oczami.

HELENA MNISZEK

— Niech go droga pani zaprosi do Uchani, jestem pewny, że tam wszystkie głupstwa wyparują mu z głowy i nabierze rozsądku.

Teresa uśmiechnęła się.

— Krongoldówna będzie może zbyt trudną do usunięcia, jeśli nią zajęty. Gdy go zobaczę, jeszcze wysąduję tę sprawę. Zaprosiłabym go do nas na Wielkanoc, jedziemy w Wielki Poniedziałek. Ale Zebrzydowski ma tu przecie matkę, więc może zostanie z nią. Pan jedzie ze mną nieprawdaż?

— Tak, droga pani. Korzystam jeszcze raz z dobroczynnego wpływu pani i jej serca. Chcę pożegnać pana Pawła i ukochane dzieciaki. Tęskno mi będzie bez uchańskich mieszkańców, ale rad jestem, że zacznę pracować. Tak pragnę pracy. A pan Orlicz?

— On przyjeżdża dopiero w Wielką Sobotę na dwa dni tylko. Stryj czuje się zdrów, energia i siła woli trzyma go mocno.

— Stryj pani zawstydza mnie, bo nie chce przyjechać na rezydenta, podczas gdy ja byłem całą zimę.

— Pan był ranny i chory, niech pan nie nudzi, panie Jurku, bo się będę gniewała. Stryj wziął się na siebie, jest na szczęście zdrowy i pełen energii, ale to wstawanie ranne do biura i siedzenie do czwartej, piątej, nie wpływa na niego dobrze. Zmizerniał, postarzał. Radzimy właśnie z Renatą, żeby zamieszkał tu, w jej pensjonacie, miałby opiekę serdeczną, dobre życie i mieszkanie, bo ten jego pokój na czwartym piętrze bez windy, to zabójstwo.

— Pani Palicka to także dzielna kobieta, jak sobie umie radzić. Wszakże po zgonie kapitana Palickiego została na bruku.

— Renata? — zawołała z zapalem Teresa — przykład z niej brać! Przecie ona sama chodzi na targ po sprawunki z dziewczyną. A jak urządziła pensjonat, jak sama o wszystko dba! Dawniej nie wiedziała co znaczy gospodarstwo! Po stracie Kunakowa nie opuściła rąk,

POWOJENNI

lecz zabrała się odrazu do pracy. Musimy i Zebrzydowskiego przerobić, panie Jurku, na nasz styl, bo on przecie nasz, kresowiak.

— Jaki on tam kresowiak! Kosmopolita w całym słowa znaczeniu.

Wtem wbiegła do salonu pani Reneta Palicka, piękna brunetka z twarzą madonny. Ubrana bardzo skromnie, lecz gustownie. Powitała wesoło Pobożynę i Strzeleckiego i zdejmując kapelusz przed lustrem mówiła z ożywieniem.

— No, nareszcie załatwiłam sprawunki wielkanocne, drożyzna niemożliwa! bierze się walizę pieniędzy, a przynosi się sprawunki w małej paczce. Skandal! O czym radzicie? Ale, ale, spotkałam Szrenicza i zgadnijcie z kim jeszcze? Szli razem i budowali nową Polskę

— No, to naturalnie z Kołomyjskim — zawołała Teresa. On córkę i zięcia swego morduje stale swojemi doktrynami. A gdy się zjadą z Czymielskim, tedy już nikt do głosu nie dojdzie. Ale zacny człowiek! A cóż porabia Szrenicz?

— Został nauczycielem w domu jakiegoś nouveau-riche'a. Klnie na cały porządek świata, bo sądził, że w nowym ustroju państwowym zostanie, za swoje cierpienia wojenne, co najmniej ministrem.

— No, o to nie trudno, nawet bez uprzednich cierpień — rzekł Strzelecki — tylko trzeba umieć ruszać się politycznie, o czym Szrenicz obecnie pewno nie myśli i pojęcia nie ma.

— Ale u nas tu był ktoś ciekawszy niż Szrenicz, razem z całym jego patosem — uśmiechnęła się Teresa.

— Któż to taki?

— Edward Zebrzydowski.

Pani Renata aż skoczyła na krześle.

— Co mówicie! Och, czemuż go nie widziałam. Moja sympatja!

— Żeni się z bankierówną Krongold.

HELENA MNISZEK

— To niemożliwe! War! ten wybredny War z żydówką?

— Cóż pani chce, żydówki bywają bardzo piękne, a w dodatku ta jest bogata jak Krezus.

— Terenia mu wyperswaduje takie małżeństwo.

— A co, i ja mówię to samo! — zawołał Jerzy.

— Ratuj go zatem, Teruś, szkoda tak świetnego chłopca. Ale przede wszystkim wciągnijcie go tu, do pensjonatu, to reklama i wabik dla panien. Znajdę dla niego parę doskonałych partji. Tylko, obiecaj...

— Co mam obiecać? — spytała Terenia zauważysz figlarny uśmiech kuzynki.

— Obiecaj, że go nie zatrzymasz pod swoim urokiem.

— Daj pokój Reno, — odrzekła Pobożyna tonem tak smutnym i bolesnym, że pani Renata zmieszała się nieco.

— Wybacz Teruś, człowiek lubi przypomnieć sobie dawne, wesołe chwile. A zresztą, dlaczego tak tragicznie przesądzasz sprawę? Roman żyje i wróci, bo inaczej byłyby już dawno oficjalne zawiadomienia. A czy dzisiejsze twoje starania nie dały nic nowego?

— Nie! Przyjadę tu jeszcze w końcu kwietnia. Może wtedy?

W tej chwili służąca wniosła list i oddała go Strzeleckiemu. Jerzy rzucił okiem na adres, szybko rozerwał kopertę, przeczytał i podnosząc błyszczące oczy na panią Teresę rzekł matowym głosem.

— Umarł stary Tur. Pani Dada pisze, że zabiła go nagła wieść o zgonie syna, nie zdołała przewidzieć ciosu i czyni sobie z tego powodu wyrzuty.

Przetarł dłonią czoło.

— Została teraz sama jedna. Pisze, że musi dobrać na stanowisku swoim aż do czasu zanim naczyną nowego gajowego. Za nic na to nie pozwolę! Wyrobię dla niej łatwo zwolnienie w zarządzie leśnictwa, bo ona przecież tylko zastępowała chorego teścia i zaraz po nią jadę.

POWOJENNI

— A z nią do Uchań na święta, panie Jurku. Koniecznie!

Pani Teresa wyciągnęła ku niemu ręce z serdeczną prośbą w głosie.

— Proszę mi ją przywieźć, chcę ją poznać i zatrzymać u nas na dłużej. Zawiezie jej pan mój list, będę oczekiwała całym sercem.

Strzelecki schylił się głęboko i przytulił usta do rąk Teresy. Całował je długo.

— Jeszcze i to, jeszcze i to, droga pani? Czemże się wam odwdzięczę?

Edward Zebrzydowski prosto z pensjonatu wpadł do mieszkania Krongoldów. Lokaj, widząc jego wzburzenie cofnął się zdziwiony. War rzucił przez zęby:

— Czy pan w domu?

— Jaśnie pan baron jest w banku.

— A panna Róża?

— Jaśnie wielmożna panna baronówna pojechała do magazynów.

Mina lokaja, pełna godności, zirytowała Zebrzydowskiego. Zatrzymał na końcu ust złośliwe słowa: „pojechała po pierścionek“. Nie wypowiedział ich, wzruszył tylko ramionami i rzekł sucho:

— Poczekam na powrót baronówny.

Lokaj skłonił się i otworzył drzwi salonu.

— Jaśnie Wielmożna baronówna rozkazała zatrzymać jaśnie pana na obiad, o ile jaśnie pan przyjdzie przed powrotem jaśnie wielmożnej.

Edward obrzucił go wzrokiem wyniosłym.

— Jaśniesz baronównie tak, jakby ci za to dopłacała podwójnie.

Zebrzydowski wszedł do wspaniałego salonu, skąd widać było amfiladę salonów, gabinetów i strojny buduar złołący się z daleka, istotnie jak ananasowy owoc, soczysty w lite materje, połyskujący atłasami. Edward stanął na progu tej złotej groty, wciągnął w nozdrza zapach perfum, dobrze mu znanych i cofnął się niechętnie.

— Tu zapadł wyrok na mnie — zgrzytnął ze złością.

Oglądał obrazy, rzeźby, bezmyślnie, czuł w głowie jakiś tłok, który mu dokuczał nieznośnie, jakby w skroniach tkwiły mu dwa ćwieki, nie mógł ich wyrwać, bo

POWOJENNI

nie miał sił. Błądził po salonie wielkim i przeładowanym bogatymi meblami, że aż przygniatał mnóstwem ornamentacji, rzeźb, bronzów, kryształami żyrandoli i innych drobiazgów.

— Barok! Oni tu są wszyscy w stylu barokowym. Co ja tu robię? Czy to moje ramy? Co ja im powiem? Po co mnie tu djabli przynieśli? Czy po rodowy klejnot Krongoldów, który w postaci pierścionka kupuje się właśnie w tej chwili u Mankielewicza? I to ja tu czekam na jaśnie wielmożną baronównę, ja, Zebrzydowski?

Uczuł ściśnienie gardła dziwnie przykre. Zdławił go nagły przypływ upokorzenia, krew zalała mu policzki.

Wtem ujrzał tuż przed sobą wielki wazon z rozkwitłą tuberozą, poznał go: przed paru dniami przysłał go pannie Róży. Wtulił płonąca twarz w białe kielichy kwiatów. Subtelny zapach owionął go i przypomniał Teresę Pobożynę. To ona! biały wonny kwiat! Jakże on ją pożegnał? Wypadł jak warjat! Ach ten Strzelecki z tą wieścią nagłą o jego zaręczynach. Skąd, co? przecie się nie oświadczył jeszcze nawet. To sprawa Krongoldów, prowokacja! A on teraz czeka na co? Żeby przedwczesną pogłoskę potwierdzić i uprawomocnić?

Zanurzył znowu czoło rozpalone w kwiecistych gronach tuberozy.

Nie oświadczył się formalnie, to prawda, ale tak zabrnął, że nie miał innego wyjścia. Panna Róża zwracała się do niego często z pieśczośliwą nazwą Wah, bo tak wymawiała zawsze literę r, co czarowało papę Krongolda. — „Ach ta Różia, ona stworzona na arystokratkę!” — mówił papa z promiennym uśmiechem.

Zebrzydowski przypomniał sobie błyski oczów Róży, gdy na niego patrzyła, drzenie jej ust szkarłatnych i czuł, że to wspomnienie przenika go dreszczem zmysłowym.

— To jest jednak ponętna panna — myślał. — Et, gwizdnąć na wszystkie względy i dać się porwać tej zło-

HELENA MNISZEK

tej i purpurowej fali! Cóż za rozkosze z taką kobietą. Róża Saronu! Córa Izraela! No, więc wielkie rzeczy!

Zebrzydowski utkwiał wzrok w dużym portrecie panny Róży. Drgnął. Podobizna ta robiła na nim zawsze ogromne wrażenie. Wśród mnóstwa rozsypanych róż ponsowych i ciemno-żółtych, półkłęczała śliczna sylwetka kobieca w purpurowych przezroczych gazach, które niby mgłą ognistą owiewały plecy smukłe, biust i ramiona, reszta postaci tonęła w różach. Włosy czarne, rozdzielone nad czołem, spięte były z tyłu głowy złotym grzebieniem i luźno opadały na kark w swobodnych puklach. Pochylona nad pękiem róż, które trzymała w ręku, zwracała się twarzą do widza, ukazując prześliczne zarysy półprofilu. Usta rozkosznie roześmiane i oczy marzące, słodkie, w których migotały iskry wesela, lecz jakby za chmurką tęsknoty. Te oczy właśnie, ocienione rzęsą czarną, artysta rozjaśnił, nie wyglądały na czarne, jakie miała panna Róża, był w nich jakby błękit pogodny jakby toń szafiru morza, były przeto słodsze w wyrazie, łagodniejsze i bardziej urocze. Te oczy, ich wyraz i te usta ślicznie złożone, pełne powabu kobiecego, zmysłowości i zarazem niewinne, czarowały zawsze Wara przypomnieniem. Majaczyło mu się coś cudownego, jakiś sen - bajka! Ten portret to nie była podobizna panny Róży, to była wizja jakiejś fantazji prześnionej, czy przeżytej, którą War jednak upajał się ciągle. Stał długo przed portretem zapatrzony.

— Jeśli ożenie się z Różą, portret ten zawieszę obok swego łóżka, patrząc w te oczy i na te usta zawsze zapomnę, że to Krongoldówna.

— Czy ożenie się?

Odwrócił się i przeszedł salon parę razy krokiem nerwowym. Stała mu w oczach twarz Strzeleckiego ironiczna, gdy mu składał życzenia.

— Bohater! On by tego napewno nie zrobił. Katon! patryjota! Stracił fortunę, więc bierze się do pracy. Bardzo piękny przykład dla mnie, tylko, że mnie jakoś

POWOJENNI

nie wzruszył. A ona? Pani Teresa? No cóż! płacze za mężem i tęskni i wzdycha! Co komu po kobiecie wzdychającej wiecznie do swego męża? Nudne i bezcelowe!

War rozmyślał dalej z goryczą:

— Chociaż zawsze jest śliczna. Co w tej kobiecie tak wabi? Przecie uroda nie wyjątkowa, przystojna, więcej nic, ale urok, urok niesłychany. Gdybym z nią przebywał często, weźmie mnie znowu na własność! Wtedy panna Róża kaput! Kocham tę Terenię i basta! nie pomogą tu żadne rozumowania, ani wzdychania za mężem. Dziś bym ją rozwiódł, gdyby tylko chciała. Ha! może i rozwód już zbyteczny, może już wolna, tylko sama o tem nie wie?

Edward poczuł przypływ krwi do serca, gorący i radosny prąd wywołał silny dreszcz rozkoszy.

— Mieć Terenię swoją! — podszedł znowu do białej tuberozy i wtulił usta w wonne kieliszki kwiatów.

— Terenia! Ona ma takie same ciało jak te kwiaty, to jej obraz.

Edward usiadł do fortepianu. Z pod palców nerwowych Wara wybiegła melodia słodka, preludjum Chopina. Grał z przymkniętymi oczami, marząc o Tereni. Nagle zbudził się jak z pół snu. Rzucił kilka ostrych, fałszywych akordów.

Targnął nim gwałtowny wstrząs, zerwał się jak pchnięty i prędko wyszedł z salonu.

W hallu lokaj zastąpił mu drogę.

— Jaśnie pan odchodzi? Jaśnie wielmożna baronówna kazała...

— Idź precz!

Na schodach War odetchnął.

— Lol miał rację, ta złota klatka nie dla mnie.

Wyszedł na ulicę i ochłonawszy szedł długi czas, nie wiedząc, dokąd i gdzie. Przeleciał przez mózg projekt pójścia do Tereni, mignęła pokusa Uchani i nagle

HELENA MNISZEK

dawny nałóg zatrzymał go na miejscu, olśnił radosną błyskawicą.

— Jadę do Paryża! Życia, ruchu, świata! ach świata!

Błyskawica zgasła jak gaśnie iskra piorunowa. Nagły mrok, brak tchu, zimny bolesny dreszcz.

— Za co pojedę?... teraz?

War doznał wrażenia, że obmacują go jakieś zimne lepkie macki. Ale to było tylko uczucie niemożliwości.

— Nie mogę, nie mogę! — rzucił głośno.

Ktoś się za nim obejrzał. War uprzytomnił sobie, że w ananasowym buduarze projekt wspólnej podróży do Francji i Włoch był już ustalony. Czekano tylko jego oświadczeń formalnych.

— Jestem ogromnie głupi! — wygarnął sobie komplement i wsiadł do auta. Za chwilę w małym saloniku na Wilczej siedział na przeciw matki swojej i wuja, hrabiego Augusta.

Pani Beata Zebrzydowska wystrojona i uczesana modnie, siedziała w głębokim fotelu z załamaniem rękami. Patrzyła na syna z wyrazem bolesnym. W oczach jej dużych, czarnych, bezmyślnych, a połyskliwych jak granaty wetknięte w twarz niby dwie broszki, malowało się tylko bezdenne zdumienie. Brwi czarne, wzniesione wysoko, zanurzały się w loki jasno-złociste, ondulowane starannie, spływające na białe czoło. Cała postać tej pani była pretensjonalna, znamionująca wielkie rozmiłowanie się w sobie samej, przytem dumę i pychę niezwykłą. W wyrazie ust było zniechęcenie, graniczące z rozpacziwą jakąś ironją.

Hrabia August łysy i wygolony, o rysach klasycznych, ale już zwiędłych, utkwiał duże bławe, żartobliwe źrenice w twarzy Wara i żując nieustannie wargami patrzył na młodzieńca drwiąco, kręcił głową i stukał palec o palec na swoich piersiach, na których trzymał pod samą brodą splecione dłonie.

POWOJENNI

War położył ramiona na oparciu fotela i patrzył na oboje obojętnie, a zimno. Milczenie trwało długo, wreszcie War przemówił pierwszy.

— A gdyby było tak? Jestem jak wobec inkwizycji. Czego właściwie odemnie chcecie?

— Czy ty pamiętasz jak się nazywasz? — padły słowa ostre z ust pani Zebrzydowskiej.

— Co to ma do rzeczy? Nazwisko przy pustej kieszeni im wspanialej brzmi, tem głupiej wygląda.

— No, no! War, przesadzasz! Nazwisko Krongold nawet przy jego milionach brzmi jednakże nie tego, uważasz, zanadto nowocześnie! Usłyszana dziś wiadomość zelektryzowała mnie w znaczeniu ujemnem, właśnie z powodu tego nazwiska.

— Ależ to mezaljans, to absurd! — wykrzyknęła pani Zebrzydowska — to niecna intryga i podłość tych, tych, żydów względem ciebie.

— Pardon! Jeśli kto tu winien, to chyba ja, nie oni?

— Oni ciebie złapali, to bezczelne! Zebrzydowski na Hłowatynie i Derbyszczech ożeniony z mademoiselle Krongold, to absurd!

— Jeśli by na Hłowatynie i Derbyszczech, to istotnie absurd! Ale zresztą nie popełnię nic nowego, takie fakty były, są i będą. Miljony Krongolda postawią nas znowu we właściwe ramy.

— O, o, o... pardon! — krzyknął hrabia August, wznosząc ramiona w górę. — Postawią ciebie w pozłaczonym szychu, ale nie w złotych ramach. I czy ty się w te ramy zmieścisz, War? Czy ty się z tem obliczyłeś?

— Z niczem się nie obliczałem. Wiem tylko, że żyć tak jak teraz dłużej nie potrafię. Ożenię się, kupię ogromne dobra, mamie oddam Pochleby.

— Dziękuję za hojny dar — sarknęła.

Hrabia August zaśmiał się rechoczącym głosem.

— W dodatku dasz matce synową Rojzę.

— Ona ma na imię Róża.

HELENA MNISZEK

— Po żydowsku Rojza... i wnuka, jakiegoś Abrahamka, albo Izaaka, bo ci milionerzy lubią historyczne imiona. Jakaż ona jest ta Róża, słyszałem, że piękna, jak Salome?

— Czy to prawda, że oni nie są jeszcze ochrzczeni? — spytała matka.

— Wiem napewno, że nie — odrzekł hrabia.

— To okropne! to potworne!

War spojrział na matkę przez zmrużone powieki.

— Mama jej ma to za złe? Ja sędzę, że to właśnie stawia ją w lepszym świetle. Cóż warta jest kobieta, która zmienia religję, jak kapelusz odpowiednio do danego stroju. Skoro jest przywiązana do swego wyznania i ma zasady...

— Więc niech nie wychodzi za katolika, jeśli ma zasady, bo każdy katolik zawsze od niej zażąda chrztu.

— Ja nie zażadam, co mnie to może obchodzić!

— Ma się rozumieć! — odrzekł hrabia z udaną, komiczną powagą. Co to szkodzi jednemu Zebrzydowskiemu wziąć ślub w synagodze? Fju! Bardzo oryginalnie!

— Ślub będzie w kościele.

— A któż go wam udzieli? I zresztą ona byłaby wtedy bez ślubu.

— A cóż mnie to obchodzi? Weźmiemy ślub cywilny i obejdzie się bez hałasu.

— War, tyś oszalał!

— Nie, tylko zbankrutowałem.

— Nie jesteś przecie zrujnowany doszczętnie.

— O, o, tak! spadłem z wyżyn hłowatyńsko-derbyszczo-
czowskich, połamałem nogi, ręce, żebra, potłukłem łeb.

— Fi! War, jesteś wulgarny.

— Naturalnie, bo jestem goły, ale żyję, tylko że mi takie życie nie smakuje. Szukam innego.

— Może ten twój Krongold przez swoje stosunki, miliony i wpływy postara się odzyskać dla ciebie Hłowatyn i Derbyszcze — jęknęła pani Zebrzydowska.

Edward i hrabia parsknęli śmiechem.

POWOJENNI

— Polityka mamy jest rozbijająca.

— Może dać za warunek Krongoldom odzyskanie kresów. Ha, ha! To zabawne! — rechotał hrabia August. A potem, gdy czyn tak politycznie doniosły stałby się faktem, wtedy dałbyś drapakę od mademoiselle Rojzy.

— Tak, to zakończenie à la comte Mohyński — rzucił War przez zęby.

Hrabia nasrożył się.

— Pan Zebrzydowski może będzie łaskaw oszczędzać mojego nazwiska.

— Ja zaś proszę pana Mohyńskiego nie przekreślać imienia mojej narzeczonej.

Zaległa cisza, hrabia trochę sapał, pani Zebrzydowska załamała ręce boleśnie.

— Ach, War, tyle nieszczęść, takie straty, ruiny, nędza, tyle, tyle kataklizmów, a ty jeszcze z tem swoim małżeństwem tak bardzo infortuné, dobijasz mnie. Jestem nieszczęśliwa, wszystkiego sobie odmawiam. Siedzę w tej dziurze jak w łupinie, nie mam często na lożę do teatru. U Hersego mam dług, u fryzjera także, w perfumerji, to, to straszne! Chciałabym koniecznie pojechać do Rzymu. Już szósty wielki tydzień spędzam w kraju, a Wielkanoc bez mszy papieskiej. Ach Boże! jakichże czasów się doczekałam! Przecież w Wiedniu nie byłam już także od wybuchu tej barbarzyńskiej wojny.

— He, he, prawdopodobnie z tej to właśnie przyczyny Wiedeń tak zepsiał — śmiał się hrabia.

— Ach! imbécile Auguste! Zacznie się teraz wiosenny karnawał, nie mam tualet odpowiednich, i... i... za co kupię? Nędza!

— Chcę właśnie przez ożenienie się z panną Różą wszystko to mamie wrócić.

— Na Pochlebach? Masz widzę humor do żartów, ale ja go nie posiadam, niestety.

— Słusznie! — z powagą rzekł hrabia — bo o ciebie, Beti, nie stara się żaden Krongold, jak dotąd.

Pani Zebrzydowska zerwała się z fotela.

HELENA MNISZEK

— Jesteś bez serca! U nikogo nie mam współczucia, u nikogo! Gdyby Jędrzej żył...

— Toby napewno Hłowatyn, Derbyszcze i kapitały były nietknięte — śmiał się hrabia. — Jakżeby bolszewicy mieli odwagę Jędrzeja Zebrzydowskiego ograbić? He, he! Najlepszy dowód, że zostawili Pochleby, jako jego majątek rodowy. Nawet dla nieżyjącego mieli względy. He! Tylko zdaje mi się, że gdyby Jędrzej żył, Pochleby miałyby inną fizjonomję, no i kapitały nie uciekłyby tak gracko przed jego sprytem do Rosji. Te zaś, co zostały, nie zapadłyby na suchoty galopujące, na które tak gwałtownie robią klapę. Wtedy zapewne i mademoiselle Rojz... Róża nie miałaby szans na synową. — Ach wtedy i łoża do teatru byłaby, bodaj parterową, i fryzjer i Herse i Wiedeń, nie byłby skrzywdzony, nieborak, tak ciężko, że aż bokami robić, na wzór dynastji Habsburgów, i w wielkim tygodniu nie patrzyłoby się może na stosy pluszowych jajek warszawskich. Chociaż to ostatnie to przegalopowałem. Jędrzej, Alleluja lubił śpiewać tylko u siebie. Nie uznawał cudzych ceremonji nawet papieskich. To był patryjota szczery.

— Tak, ojciec! Ba! ojciec — rzekł War tonem, który mówił wszystko, było w nim i uwielbienie i uznanie najwyższe i wzruszenie. Lecz po chwili rzekł innym tonem:

— Ale ojciec by także nie czarował, żeby teraz na wszystko wystarczało, tak, jak wystarczało przedtem.

— Ojciec twój? — zawołał hrabia. — On by zaraz objął jakąś dużą administrację, czy wziąłby dzierżawę, czy rozwinąłby jakieś przedsiębiorstwo, wszystko na dużą skalę z nakładem pracy kolosalnym i kolosalną wydajnością. On by ręk nie założył i nie stękał jak góra przed urodzeniem myszy... krongoldowskiej. On by się jał pracy i czynu. Ho, ho! On by i ciebie, War, zaprzął do młyna swoich działań. Jędrzej! Ha! Chciałbym go teraz widzieć. No, ale to był człowiek przedwojenny!

— A wuj dobrodziej? — spytał War lekko drwiącym tonem.

POWOJENNI

— Ja? Ja jestem inwalida, obdartus z ziemi kresowej, tylko w mniejszym stopniu niż wy. Na starość osiadłem na fartuchu żony i tam, w Małopolsce będę klepię, ale klepię!

— A ciocia Oktawa nie narzeka?

— Cioci Oktawy wszędzie pełno! Pracuje społecznie, wszędzie jest i wszystko umie. Teraz zakłada jakieś stowarzyszenie

— Zuch ciocia kalendarz! Ale, ale widziałem dziś panią Teresę Pobożynę.

— Panią Terenię? Co mówisz? — zawołał hrabia rozpromieniony. — Gdzie, kiedy?

— Dziś rano. Jest w Warszawie. Robi starania w celu odzyskania męża. O Pobogu ani słycho. Może zginął?

— Niech Bóg bron! Taki człowiek wspaniały! Ee, znajdzie się, pewno w niewoli siedzi. A ona jakże, gdzie mieszka?

— W pensjonacie jakiejś pani Palickiej.

— Toż Renata Orliczówna za Palickim. On zginął. Mieli Kunaków na kresach. Śliczna osoba! wcielenie Fornariny. No, ale mówże mi o Pobożynie. Cukierek! Zmieniła się co? Coś rumienisz się, War.

Hrabia poklepał kuzyna po ramieniu, zajrzał mu filuternię w oczy.

— Rumienisz się, he? Czy już ten szampanik dla ciebie wyszumiał, straciłeś apetycik? Zdaje się, że nie. He, he!

— Niech wuj nie żartuje, pani Teresa dla mnie święta.

— Wierzę! Ale chętnie ściągnąłbyś ją z ołtarza, gdyby św. Roman pozwolił? He? Św. Roman zawieruszył się, ale ona zawsze na ołtarzu. Prawda? Tak mi się zdaje. Można składać hekatombę, obstawiać kwiatami, uwielbień, będzie czarować uśmiechem, wabić, ale zdjąć jej z ołtarza ani rusz! Tak, tak! To niebezpieczny gatunek! Muszę ją odwiedzić. Jaki adres?

Hrabia notował adres, a War rzekł:

HELENA MNISZEK

— Był tam i Strzelecki, Jerzy, wie wuj, z Nowosió-
łek. Był u mnie wczoraj w Bristolu o protekcję. Ph!
U mnie o protekcję?! Mnie nie zastał, lecz posadę zna-
lazł dziś, rządca, proszę sobie wyobrazić.

— Ależ czemuż do mnie się nie udał, dałbym mu
w Małopolsce świetną administrację! To solidny czło-
wiek, wyborczy rolnik, pracownik!

— Krąż został niestracony. Dieu de miséricorde, dla-
czego nas tylko tak skrzywdziłeś? — jęknęła nagle pani
Zebrzydowska płaczliwym głosem z kąta kanapy.

Edward spojrział na nią zdziwiony, ale hrabia August
machnął ręką z lekceważeniem.

— Zwykła historia! Zawsze tylko *my*. Cała inwazja
bolszewicka przedsięwzięta była tylko w celu zabrania
Zebrzydowskim Hłowatyna i Derbyszcz. Naturalnie! No,
ale mów mi dalej o Strzeleckim. Więc rządca? Co znowu!
za krótko szukał posady. Trzeba go wstrzymać.

— War, pójdź do banku i odbierz dla mnie ten pro-
cencik. Wstyd odbierać taką tam sumkę. Ach Boże! Mu-
szę jutro wybrać sobie parę tualet na święta, kostjum na
wentę. Ach, mam tyle na głowie, a tu jeszcze te twoje głu-
pie projekty. Niedość, że cierpię na niedostatek, jeszcze
takie zmartwienie! Ach War, tyś bez serca! Ja się ciebie
wyrzeknę, jeśli się ożenisz z tą bankierówną. To za wiele
na moje nerwy, to bezczelne! Niecny żart jakiś. Jaki?
pan na Hłowatynie i Derbyszczach. Och... och mam
migrenę, jestem chora! — jęknęła.

Nagle wyciągnęła ramiona z patosem i zatrzęsła gro-
źnie rękoma nad głową Wara. Na palcach błysnęły
cenne pierścienie.

— Wyrzeknę się ciebie, War, jeśli mi zrobisz taki
wstyd! Wyrzeknę, parole d'honneur! Wydziedzi... cz...

Umilkła, ujrawszy uśmiech szydery na ustach syna.

— He, he! brawo! brawo! Wybornie obmyślona zem-
sta! — pękał ze śmiechu hrabia August.

Usiadł na kanapce i aż zatoczył się z nadmiernego
wesela.

POWOJENNI

— Brawo, brawo! Beti, używaj! Wydziedziczę! co za słowo! En effet monstre! He! he! he! No, War, nie spadasz z krzesła, chłopcze? he, he, he!

— Przewidziałem tę scenę ze wszystkimi szczegółami — odrzekł obojętnie.

Pani Zebrzydowska ścisnęła palcami głowę i jęczała cicho.

— Mam migrenę! Ty się tylko umiesz śmiać, Auguste! Na Święconem u hrabiny Tachelskiej nie będę mogła być, bo nie mam tualety, na codzień chodzę oberwana. To okropne!

Edward spojrzął przelotnie na strojną tualetę matki i nagle przypomniał sobie skromną, ciemną wełnianą, nie nową już suknię pani Teresy. Usłyszał znowu słowa matki:

— A Krąż został niestracony, tylko my tacy skrzywdzeni, tacy obdarci. Głupie pochleby i-rien de plus!

War spuścił oczy, zrobiło mu się dziwnie przykro. Wstał i zaczął się żegnać. Hrabia Mohyński wyszedł z nim do przedpokoju.

— Dokąd idziesz, War?

— Do Krongoldów — odrzekł głucho.

— War!

— Tak, wuju, bo lękam się, że wkrótce mama nie będzie miała na tualety sezonowe, nie tylko na Wiedeń i Rzym. A ja, ja sam nie potrafię z Pochlebów mamę i siebie zaspokoić.

— Daj pokój, War! Nie znasz matki? Wybacz mój drogi, ale to przecież lala, była i jest. Porcelanowa lala. Nic więcej, Ach, ach! nie rozgoryczaj się i radzę ci iść do pani Teresy.

— Czy to ratunek dla mnie, wuju?

— Moralnie tak. I ja chciałbym, uważasz, tego... zobaczyć się ze Strzeleckim.

Edward był już w drzwiach. Nagle odwrócił się, popatrzał mocno w oczy wuja i rzekł nieśmiało.

HELENA MNISZEK

— Niech mi wuj wyrobi tę administrację w Małopolsce, o której mówił, że dla Strzeleckiego.

Zapadła cisza, patrzyli sobie w oczy i hrabia nie zdołał ukryć nie tylko wyrazu oczów, w których zabłysło mnóstwo iskier żartobliwych i szyderczych, lecz nie potrafił nawet powstrzymać naglej swej wesołości. Z ust jego drgających od niezwalzonej fali szalonego śmiechu wypadło parsknięcie krótkie, lecz dosadne i rozbrzmiało gamą niepowstrzymaną po całej klatce schodowej.

— Ha! ha! ha! ha! ha!

Edward zbiegał ze schodów ogromnemi susami.

— War! Drogil! War! — wołał opamiętawszy się hrabia August.

Ale na dole tylko trzasnęły drzwi. I to była niema odpowiedź Wara na niemą odpowiedź hrabiego Augusta.

Zebrzydowski pojechał do Krongoldów, ale już ze schodów zawrócił i wolnym krokiem niezdecydowany szedł przed siebie, aż znalazł się w Alejach Ujazdowskich. Minał Aleje, wszedł do Łazienek, błędził w nich długo, przystając czasem po kilka minut przy jakimś szczególnie mało interesującym. Błędził w parku, czując, że mu się w głowie kręci, że jest jak dziecko, które samo nie wie, czego chce i do czego dąży. Rozmarzał go zapach wiosny, wchłaniał w piersi aromat ziemi i pierwszej zieleńcej trawy, ale i to go drażniło. Gdyby to był park hłowatyński, to co innego, ale jakieś tam Łazienki warszawskie! Co się tam teraz dzieje w parku, w zwierzyńcu, w akwarjum? I pomyśleć, że tam już nigdy, nigdy...

War omało że nie zaplakał, jęknęło mu w piersi. ale zdusił w sobie tę słabość uczuć i uciekł z parku. Rozmarzał się niepotrzebnie, poco ubolewać nad rzeczą straconą, tak jak ubolewa matka? Przypomniał sobie wuja Mohyńskiego i zgrzytnął zębami. Jak to się on śmiał z jego propozycji, jak się serdecznie śmiał! Więc pierwszy raz wyraził chęć pracy i wyśmiano go. Cóż byłoby tak dziwnego i tak śmiesznego, gdyby on zaczął pracować? Skoro Je-

POWOJENNI

rzy Strzelecki, dąży do tego, skoro mógł pracować jego ojciec własny, a nawet jak zapewniał Mohyński, ojciec jego w obecnych warunkach poszukałby sobie posady administratora.

Dlaczegoż tedy on?...

Bez słowa zachęty odrazu wyśmiano go tylko, więcej nic! Czyż oni go sami nie rzucają do kieszeni Krongolda?

— Ach, skończyć z tą męką, z tą niepewnością!

Edward zajęty swojemi myślami szedł wolno, nie widząc, że ten i ów kłaniał mu się na ulicy i że patrzano na niego ze zdziwieniem. Pewno wszyscy myślą, że on jest teraz u narzeczonej, a on tymczasem wałęsa się po ulicach. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się w Bristolu. Uczuł głód, nie jadł dziś obiadu. Szedł właśnie do restauracji, gdy zbliżył się do niego portjer z listem w ręku.

— Było do pana kilka telefonów, a potem przyjechał sam pan baron Krongold z baronówną. Pytali o pana, ale powiedziałem, że cały dzień pana nie było, wtedy kazali...

Edward sięgnął po list obojętnie.

— Był tu także jakiś pan nieznajomy i ten list zostawił dla pana.

War rozerwał kopertę. List od pani Teresy. Uczuł ogień we krwi. W prostych, serdecznych słowach Terenia zapraszała go na wieczór do pensjonatu pani Palickiej. Podpisane: Pobożyna, Palicka, Strzelecki.

War odczuł ciepło i szczerłość tego listu, ale odrazu usta mu się skrzywiły ironicznie.

— Robota wujaszka — rzekł prawie głośno i wszedł do restauracji. — Jeść! jeść!

Portjer poszedł do telefonu.

Zebrzydowski pił koniak, jadł zakąski i myślał był przy Tereni. Obiecywał sobie, że zaraz po obiedzie pójdzie do pensjonatu. Zapragnął ciepła rodzinnego, ciszy, spokoju i oczu Tereni.

Zabrał się właśnie z apetytem do jakiejś imponującej porcji mięsa, gdy we drzwiach zjawiła się panna Róża

HELENA MNISZEK

z ojcem. Był zdumiony. Powstał zły. Klął w duszy jak dragon. Powitał Krongoldów dość sucho.

— Jaki ich tu djabeł przyniósł, czego u czarta chcą?

Panna Róża odczuła chłód, gdy całował jej rękę, lecz nie okazała tego. Usiadła obok, mówiąc z uśmiechem:

— Chciałam panu zrobić niespodziankę, gdy pan przyjdzie tu na obiad, no i trzeba zdarzenia, że pana już zastaliśmy.

— Przeczucie i przeznaczenie — wygłosił Krongold sentencjonalnie, biorąc do rąk kartę z jadłospisem. Panna Róża szczebiotała z wdziękiem, ale była nieco melancholijna. Zagadywała Edwarda, patrzyła mu w oczy, gdy mówił, marząco i tęsknie. Robiła wszystkie miny, układała twarz, nadawała wyraz oczom taki, jaki lubił War, co dawno odgadła i co już stosowała z wprawą artystyczną. Rozmawiali sami z sobą. Krongold jadł sumiennie, pił umiarkowanie i rozglądał się po sali z wielce zadowoloną miną. Rozdał kilka ukłonów na salę i wogóle promieniał. Gdy nareszcie wchłonął nieprawdopodobną ilość potraw, przeprosił Wara i córkę, że ich na chwilę opuści dla znajomego, do którego miał interes. War został z Różą sam na sam przy lodach, owocach i winie. Oczy panny przepalały Wara jak płomień, usta jej obiecywały, nęciły. Trwało to dość długo. Krongold ciągle załatwiał interesy. Po paru godzinach powrócił do stolika, proponując teatr. Okazało się, że już za późno. Panna Róża z tęsknem spojrzeniem spytała Wara, czy nie lepiej spędzić wieczór w złotym buduaru. Będzie mu grała na fortepianie, zaśpiewa, urządzi sobie wieczór dla siebie.

War, który w głowie miał różową lunę i wszystko go zachwycało, przyznał jej rację odrazu. Wyszli oboje, bo papa załatwiał rachunek.

— Ja was dogonię, poczekajcie w naszym aucie, jeden moment.

Ale gdy Krongold wyszedł do westibulu, podbiegł do niego piccolo z dowcipną miną.

POWOJENNI

— Sprowadzić jaśnie panu baronowi limuzynę? bo młodzi jaśnie państwo odjechali Cadillac'em za miasto na spacer.

— Tak, tak, ja wiem! Ale ja pójde piechotą. Trzeba się przejść dla zdrowia! Masz tu kochanku.

Wyszedł i mełł w zębach miłe słowa:

— Młodzi jaśnie państwo! Jaśnie państwo Zebrzydowscy! O, mądra Róża, bardzo mądra!

Piccolo podsunął się do drugiego kolegi i szepnął chytrze:

— Morowo płaci, jak mu pojaśniować. A tamci zgasilili elektrykę w Cadillac'u, widziałeś?

— Co miałem nie widzieć, ona zgasła — odburknął kolega. — A mnie pana Zebrzydowskiego żal.

— Co mu tam będzie za krzywda? Fiul!

— Zawsze co nasz jaśnie pan prawdziwy, choć i obdarty, to nie tamte sztuczne miliardery.

— To właśnie dobrze, że nasz zabierze miliardy. Zebrzydowski hojny, przy nim to się każdy pożywi, żeby tylko miał z czego dawać. Ho, ho!

Jerzy Strzelecki wrócił do stołowego pokoju od telefonu i rzekł krótko do obecnych:

— Bristol odpowiedział, że po obiedzie z Krongoldami Zebrzydowski i panna Róża pojechali autem na spacer.

— Tego owego... Basta! — stęknął hrabia August.

— Wiosna! wiosna! Patrz, Zmijka, jakie inne słońce, patrz jak drzewa osnuły się zieloną mgłą, patrz jak trawka tryska z ziemi pachnącej. O, o... motyl! cytrynek, jaki śliczny! Prast! do nogi! Wara ci od motyla, co to znowu? Eh! zresztą możesz gonić dla uciechy, nie zgonisz nieboraku! On ma skrzydła, a ty tylko łapska! Dzwonek! oszalałeś, nie drzyj mi młodej trawy i zawilców pazurami. Widzisz go! Miałeś całą zimę na to, jeszcze mu się teraz zachciewa! Wiosna! Czy ty to rozumiesz, piesku? Wiosna, i taka bardzo wczesna! Ach wiosna i kwiaty! Patrz, jak tu niebiesko od przyłasczek, a tam białe kobierzec zawilców! Czeka! trzeba narwać kwiatów.

Dada Turowa zdjęła strzelbę z pleców, odpięła pantofelki i zrzuciwszy z głowy czapkę urzędową, wskoczyła w kwiaty. Nogi jej w wysokich butach tonęły w gęstym kożuchu przyłasczek, które zwartą masą niebieskich i szafirowych gwiazdek utworzyły dokoła niej jakby fale błękitną. Rwała kwiaty całymi garściami. Pęki ich pachnące wiosną i świeżością przytulała do twarzy, całowała je, chłodząc niemi rozpaloną od wewnętrznej radości twarz, usta różowe i czoło białe jak marmur. Radowała się kwiatami, rzucała je na psy, które szalały dokoła niej, wpatrzone w nią, rozszczekane, wesoło jazgocące z wielkiej uciechy. Dada rozdokazywała się jak dziecko. Całe snopy kwiatów rzucała sobie na głowę, rozdętymi nozdrzami piła woń lasu. Psy jakby ją rozumiały, towarzyszyły jej wiernie w skokach i w bieganiu. Chwytały w pyski ten wiosenny pierwszy okwiat leśny i oddając poślinione kłaki kwiecia w jej ręce, wspinały się łapami na jej piersi, lizały ją po rękach. Podsunał się

POWOJENNI

do niej stary Merdas. Głowę miał zwieszoną, wachlował smętnie ogonem puszystym, a gdy go który z młodych psów zaczepił, pokazywał zęby, jakby w zgryźliwym uśmiechu. Dada ujrzawszy go, spoważniała. Pochyliła się, ujęła łeb psa w obie dłonie i patrząc mu serdecznie w łzawe oczy, mówiła cichym głosem:

— Biedny, biedny, Merdas! Niema pana, co? niema pana starego? Pies niema z kim chodzić! za mną nie nadaży, za stare łapiny, co? za stare! I biegać nie potrafi już i skakać i kwiatami się cieszyć jak te oto bziki! Bieda, oj bieda psu, prawda? I tęskno i głupio jakoś! Pan był dobry jak ojciec, prawda? hołubił, kochał psa? Ale już pana niema, daleko stąd leży w tej wiosennej ziemi i tylko mu kwiaty nosimy i trawka rośnie na mogile. Oj bieda, bieda.

Dada całowała psa w czoło wyłysiałe ze starości i szeptała dalej, czując sama łzy pod powiekami.

— Prędko, za kilka dni już i ja stąd odejdę. Psy dostaną nowego pana. Tak! psy będą za mną tęskniły i ja będę tęskniła bardzo, bardzo. I za starym panem nie tylko Merdas tęskni, ale i ja tęsknię. Dobry był, kochany jak ojciec, poczciwy. Merdas stracił swego pana, a ja swego ojca, dawno, dawno, i jak?

Wtem podskoczyła ku niej Żmijka i nuż ją drapać po kurcie skórzanej, skowycząc i narzekając raźnie, jakby ją chciała odciągnąć od smutków i złych myśli. Dada podniosła głowę, klasnęła w dłonie i biegła przez dywany przyłaszczek, goniąc się z psami i chwytając w przełocie gałęzie leszczyny, okryte złotawo-płowym osypem pierwszych basiek wiosennych, długich jak liszki i mszyszych.

Nagle Dada uniosła ramiona w górę i patrząc na błękit nieba, zawołała radośnie:

— Gęsi, gęsi lecą! O, jaki klucz bogaty, jaki sznurowy. Na błota za Mchową Górę lecą. Hej Żmijka! hej

HELENA MNISZEK

Prast, na słonki, dziś wieczorem pójść! Ciąg okrutny!
Na przechaliny pójdziemy, na polany, to będzie uciecha!
Pamiętasz, Merdas, jak to pan mawiał:
Słonki lecącej chrzypienie
Wiosny szczere spojrzenie.

Albo tak:

Gdy jarząbek burczy na zacisznym lesie
To już i wiosenka pierwsze kwiaty niesie.
— Wszystko już wraca do puszczy na lato, a ja teraz
odleczę w świat!

Dada zamyśliła się. Od śmierci starego Tura czuła w duszy stały i dziwny niepokój. Otworzyło się przed nią swobodne, nowe życie. Ale co z niem zrobi? Jak je zapełni? Będzie pracowała, lecz jaką sobie pracę obierze. W mieście? w szpitalu? Dada wstrząsnęła się. Nie, nie! Nie chce już być sanitariuszką, toby jej przypominało tak straszne lata, chwile. Nie, za nic! za nic! Postanowiła zaraz po pierwszym kwietniu pojechać do Warszawy i szukać posady. Po ojcu Turze zostało trochę pieniędzy, które dawno oddał jej i dla niej przeznaczył. Przeczuwając śmierć swoją polecił jej sprzedać całe urządzenie gajówki i zdobyte za to pieniądze zabrać dla siebie i Wacława, gdy powróci. Dada uczyniła wedle jego woli, część rzeczy rozsprzedała z pomocą starej babki, odwiecznej służącej Tura, resztę zakupił nowy gajowy, który za tydzień miał objąć posadę. Starą babkę wynagrodziła o wiele więcej niż jej się należało i niż stary Tur dla niej przeznaczył. Sama czekała z upragnieniem daty wyjazdu, lękając się jej zarazem. Projekty spychały się w jej głowie, tak były różnorodne i takie ich mnóstwo. Ostatecznie postanowiła zostać nauczycielką. Posada biurowa przerażała ją. Dada czuła w sobie tyle życia i energii, że przy pracy zamkniętej w czterech ścianach biura nie mogła siebie wyobrazić. Jednakże uczucie swobody dodawało jej otuchy i było iskrą, budzącą w niej zapal do czynu, bodaj najtrudniejszego, aby móc spożytkować siły i werwę życiową. Straszliwa, męcząca nuda całej zimy zgłębiła ją tak bardzo,

POWOJENNI

że teraz nie zdołała powstrzymać się od zbytnej wesołości. Po śmierci teścia, z którym przez dwa lata bytowania na Sarnach żyła się i nawet pokochała starego, wesołość jej obecna razila ją samą. Lecz energja jej, zdrowie, krew młoda i bujna, a przytem zawrotna ciekawość świata porywały ją w dal nieznaną i wymarzoną gdzie czekała na nią miłość Jerzego. Co teraz nastąpi? Czy ta miłość jego, już wyraźna i jej uczucia dadzą jej poznać szczęście prawdziwe i czy to możliwe, żeby ona była szczęśliwą? Nie chciała się nad tem zastanawiać. Upajała ją wiosna. Dada chwilami doznawała uczucia żalu przed pożegnaniem ukochanego boru, który wchłonał tyle jej myśli i tęsknot, gdzie spędzała najlepsze chwile obecnej swej egzystencji. Las był taki piękny w tej mgle seledynowej, taki bogaty w biel i błękit kobierców wiosennych! Jakże tu teraz wyjechać do miasta na bruk i w mury, kiedy tu tak cudownie, tak gwarno w społeczeństwie ptasiem i zwierzęcem? Dada rozumiała, że to już były tylko sentymenty. Czekają na nią życie i praca. Pracy się już nie bała, była do niej przyzwyczajona, tylko przyszłość stała przed nią mglista i niepokoiła ją mocą nieznannej tajemnicy.

Wiatr wiosenny wpadł między konary i czuby drzew. Las rozgadał się. Zahuczały wirchy sosen chrzęstliwym szelestem. Nagie gałęzie drzew liściastych, zaledwo omgłone pierwszą krasą wiosny, niosły w przestwór rozgwar potężnej, harmonijnej pieśni wyzwolenia. Tryumf był w tym szumie i jękliwe żalosne wołania. Chwilami bór zanosił się jakby spazmem szłochu i znowu cicha melancholja regularnego poszumu, tłuczenia się o siebie igłami i gałęzmi o wątłem jeszcze niemowlęcem pąkowiu. Z głębin leśnych, z głuchych ostępów, podszytych suchemi paprociami wiało surową wilgocia i chłodem. Stamtąd szły szумы ponure, jakby tam jeszcze przyczajona zima, konając, wysyłała na rzadszy las groźne swe zawodzenia i jęki. Ciemne odchłanie odpychały Dada, przypominały jej zimę i nie wiedzieć przez jaką analogję uczuć i splot

HELENA MNISZEK

wrażen nasunęły myśl o Wacku, myśl, która budziła w niej wstrząs bolesny. Ten nieszczęśnik, leżący tam gdzieś daleko, daleko w samotnej mogile, był dla niej zawsze wyrzutem z powodu, że stał się jej wybawicielem z męki pożycia z nim.

Dada nie lubiła czarnych przepaścistych kniei, wolała las, tchnący wiosną, ozłocony słońcem, podścielony bielą zawilców. Wolała, podniósłszy głowę patrzeć na napowietrzny taniec gałęzi, które wpadały z łoskotem w ramiona sosen i odrywając się od nich rozchwiane niosły swoje hejnały w górę ku płynącym hyżo obłokom. I znowu miłosne splatanie się konarów, i znowu szaławilska zabawa czubów, chrobot, weselne pohukiwanie lasu i trzepotanie się gałęzi. Wrzawa radosna! Tu i owdzie słyhać wabienie się ptactwa leśnego, łopot skrzydeł, ćwierkanie i kwilenie, zanoszenie się w miłosnej ekstazie synogarlic i dzikich gołębi. Wysoko, hen, nad rozburzoną falą koron drzewnych widać czarne krzyżyki kluczowego ptactwa, po długiej zimie wraca do rodzinnych pieleszy ochoczo, barwnie, czujnie, a gwarnie, żądne nowego życia, miłości i gniazda. Wszędzie w naturze gody wiosenne! I w duszy Dady rozbrzmiewa pieśń nowa i pomimo protestu wyrywa się niepomna przeżytych klęsk, nieposłuszna żadnym nakazom serca i woli, bo zrodzona w głębokich pokładach młodej duszy i płomiennych porywów młodości.

Ale Dada przewycięża się w sobie. Musi wszakże obejść cały swój rewir, więc i Wielki Las. Rzuca przeto tęskne spojrzenie na kwieciste podścieliny wesołych polaci lasu i wchodzi w ciemne tunele poważnych, a mrocznych ostępów. Po mchach głębokich, w których nogi jej toną, jak w kozuchu, sunie cicho, czujnie, pochylając głowę przed nawisłymi brodami jodeł i olbrzymich świerków. Pomyka zwinnie, przeskakując zwalone pnie, przeciska się poprzez gąszcze i zatory leśnej drobnicy, tulącej się do drzew-kolosów. Weszła wreszcie na wąską mszystą drożynę, wydeptaną jej stopami i szła wytrwale, zato-

POWOJENNI

piona w puszczy drzew jak mały żuczek ruchomy, a żwawy, rozglądając się, czy niema szkody i nasłuchując. Wchłaniała specyficzny zapach boru: ekstrakt zmieszanej woni zeszłorocznych grzybów, zakisły w mchach z mocnym aromatem żywicy i pleśnią nadgniłej trawy. W miejscach najzaciszszych uderzała w rozdęte chrapki Dady stęchlizna starych oparzelisk, lub zaleciał ją swąd zwierzęcy z porzuconych barłogów. Wtedy psy, idące tuż przy jej nodze, okazywały niepokój, lecz jedno słówko Dady umiejscowiało tresowanych faworytów i znowu szły cicho, posłuszne, węsząc tylko i łopocąc zaślinionemi wafłami nozdrzy.

— Tu gdzieś blisko leżą samury w barłogach, czuj duch! Niema nas! — szepnęła Dada do nastroszonych psów, drżących od ochoty zapuszczenia się w te tajnie ponętnej kniei. W niektórych zagłuszach było prawie mroczno. W korytarzach natłoczonych ścianami drzewnych potęg panowała cisza przygniatająca. W górze zbite korony sosen, jodeł, świerków tworzyły sklepienie tunele o zwisających sufitach jak wielkie, ciemne, poszarpane sztandary. Chłodno tu było i groźnie. Wtem załomotało coś, trzask gałęzi i jakieś poruszenie powietrza rozrywające ciszę. Psy skoczyły jak sparzone jednym susem na mchy.

— Zagraj! Żmijka! Dzwonek, Szast! do nogi! — zawołała Dada zdławionym głosem. — Nie rusz! Waruj! Cicho jak makiem siał! Przy nodze! O tak! A, nicponiel! Nie widzicie, że to biedne wychudzone przez zimę warchlaki „takroczone“ jak mawiał ojciec Tur. Ani mi się waż jeden z drugim! Iść cicho i ani mru mru. Uszy wam się trzęsą do uciechy, a w ślepiach ogień? O, wierzę, pohulaćby dobrze ochota i apetycik jest, ale waa-rraa! — Nie wolno płoszyć zwierzyny! Czy pieski tego nie rozumieją, że nie zawsze radaby dusza do rajy? O, nie-mądre psy! Tyle nauk zjadły i takie durne! No, wracamy do domu. Dalej! rażno w drogę!

HELENA MNISZEK

Dada przyspieszyła kroku, a psy znerwowane, ale uśmierzone sunęły za nią cicho z wywieszonymi językami. Były zziajane poprzednimi harcami, a teraz męką trzymania się na wodzy, których to pęt zerwać nie mogły, ale, ach, jakie czuły do tego pragnienie! Wkrótce Dada dosięgła znowu weselszych ostępów boru, ożywiła się i idąc prędko rwała gęste, choć wątle kwieciny wiosenne. Sforce swojej udzieliła także nieco większej swobody. W pełnym swym rynsztunku myśliwskim Dada wyglądała zuchowato i niesłychanie młodzieńczo. Przy kurcie skórzanej, rozchylonej na piersiach, błękitniał pęk przylaszczek, drugi zatknęła za pas patrontasza, a ogromną ich więź trzymała w ręku. Z poza ramion sterczała lufa strzelby. Idąc i nawet rwąc kwiaty, Dada nie pominęła żadnego szczegółu w lesie. Wprawnym okiem widziała wszystko, czujna i pilna. W pewnym miejscu wśród gąszczy zaczęła oglądać uważnie jakąś drzewinę, na której widniał kawałek odartej kory. Po krótkim badaniu uśmiechnęła się:

— Sarniuk czemchał się tu różkami, już go swędzą. Wiosna, hej! Żeby to znaleźć rogi jelenie, wzięłabym na pamiątkę sobie. Jakie to były cudne te misy rogów losia, które w zimie zawiozłam na nadleśnictwo.

Poszła dalej i znowu stanęła.

— Co to za ślady? Cichooo psy! Aha, to odyniec walił tędy. Wycinek! Jak to się pcha, gdzie największe gęstwiny. Gdzieś jest niedaleko, bo psy jak podminowane. Waaruj! Ani kroku!

Dada odpięła nagle od pasa smyczę i całą sforkę przywiązawszy za obroże, prowadziła przy sobie.

— Nie można was już, pieski zabierać do lasu, za dużo rozkosznych pokus! No, ale ze mną już niedługo, więc jeszcze pochodzimy razem. Ja was przypilnuję, ale jakby zobaczył leśniczy, miałabym awanturę za moją miłość dla was. Poczciwe! Jak to idą posłusznie, a w oczy patrzą! Zaraz psy się najedzą i będą spały. A po zachodzie na słonki! Kropnę ze dwie!

POWOJENNI

Fala nowego przyływu wspomnień omroczyła jasną twarz Dady.

— W Dawidówce co to się działo na wiosnę! Zych przyjeżdżał zawsze z uniwersytetu na ciągi słonek. Cóż to była za radość! A przedtem liczne zjazdy na toki głuszców. Nocne wyprawy do kniei, budki myśliwskie, skakanie pod takt „pieśni“ głuszca, z ojcem, z Zychem.

Dada zakrztusiła się jakoś szczególnie. Rzuciła głową w tył, czapkę zsunęła z czoła i spojrzała w niebo.

— Ha! było kiedyś wszystko! Było, ale to już nie wróci.

Przytulila do twarzy przyłasczki, ukryła w nich ciche łzy, które z błękitu jej oczów spadły w błękit wiosennych kwiatów. W tem psy znowu zajazgotały, szarpnąwszy smycze. Ogromny zając wyrwał się opodal z krzaka i gnał stuliwszy uszy, że jeno migały siwe skoki.

— Ma tu gdzieś legowisko. Starka! Marczaki już są dawno. Hej, co ich teraz na polach! Cicho, bęcwały obrzydłe! wiecie, że was nie puszczę, poco daremnie mi tu jazgotać?

W przyłaskach na skrajach łąk śmignęło przed Dada stadko saren. Pomknęły polotne na stalowych nogach, jeno suche łebki na wyciągniętych szyjach mignęły w gąszczu i błysnęły białe talerze. Ale sfora trzymana mocno nie próbowała się nawet wyrwać, jeno stęknęły pieski obrazą i zgrozą na niepojęte porządki ludzkie, które krzywdzą rodzaj psi, wystawiając je na zbyt trudne do zniesienia pokusy. Zagraj i Żmijka najzajadliwsze kłusownicy spojrzały na Dade z wyrzutem i żalem. Uglaskała je nadzieją bliskiego obiadu. Zbliżało się południe, gdy młoda kobieta stanęła na polanie, gdzie była gajówka. Pospuszczane ze smyczy psy skoczyły na podwórze, ujadając wesoło i jęły się gzić z łańcuchowemi brytanami. Do Dady przymaszerował poważnie chowany żóraw, zakwilił i jął ocierać dziób o jej krótką spódniczkę. Pogłaskała jedwabną szyję ptaka.

HELENA MNISZEK

— Żórcio tęskni? O, o, biedaku, pewno, że ci tu nie bardzo, kiedy tam pod chmurami twoi wracają już i kruczą. Chciałoby się ptakowi do nich, co? A dlaczego był słaby, dlaczego rzucili go swoi przed wędrówką w świat? Biedny. Żórcio! żal po niewczasie! Trzeba być silnym, aby żyć tak, jak oni tam! Gdy lecą, to się żaden z klucza nie wysunie. Dlatego mają moc. A Żóruś sobie leniuszek, słabiutki. No, bez melancholji, wyciągnij Żórusiu szyję do mnie po królewsku i maszerujmy do domu na obiad. Ot tak za mną, ot tak.

Dada rozśmiana patrzyła na komiczne ruchy ptaka, który wyciągnął długie nogi i szyję w marszu pośpiesznym i kwilił przytem cichą skargę na swoje niedołęstwo.

Wtem Dada usłyszała pisk i skomlenie radosne psów. Podniosła oczy i zatrzymała się jak wryta z głuchym okrzykiem. Zbliżał się do niej Jerzy Strzelecki. Psy obskakiwały go, naszczekując z uciechą, a on głaskał je i patrzył na Dade. Był z głową odkrytą. Podbiegła i wyciągnęła do niego obie ręce. Powitali się krótko z uczuciem. Podnosząc głowę od jej rąk Jerzy, rzekł:

— Jesteśmy na tem miejscu, gdzie w jesieni pani mnie znalazła i zabrała. Dziś ja panią tu spotykam, by zabrać.

— Mnie?

— Tak. Jutro rano wyjeżdżamy.

— Ależ ja muszę tu dobrać do...

— Żadnego muszę, pani Dado! Czy mogę tak nazywać jak pisywałem?

— Ależ tak, tak. Tylko przecie pan wie, że ja...

— Mam formalne zwolnienie dla pani, otrzymane z biura leśnictwa.

— Od pierwszego?

— Nie, od tej chwili. Wszak pani tylko zastępowała teścia.

— Nadleśnictwo zawiadomione? — spytała drżąc na całym ciele.

POWOJENNI

— Naturalnie, stamtąd jadę. Wszystko w porządku. Nadleśniczy nie ma dla pani dostatecznych słów uznania. Dziś przyjeżdża na Sarny, bo chce, abyśmy zapolowali na słonki, a w nocy jedziemy na głuszce. Jutro pani zda remanent i wyjeżdżamy.

— Dokąd?

— Do Uchań. Oto list pani Teresy.

Dada przeczytała list chciwie. Rumieńce okryły jej policzki, z oczów trysnęły łzy.

— Jacy wy wszyscy jesteście dobrzy, jacy kochani!

Jerzy Strzelecki siedząc na wielkim pniu obok Dady, naprzeciw domku gajówki, słuchał jej opowiadania.

— Stało się to przez złość ludzką. Przeczynałam, że musi nastąpić ta chwila i pomału przygotowywałam ojca do ciosu. Daleki był jednak do uwierzenia w prawdę. Przed dwoma tygodniami byłam, jak codzień na obchodzie leśnym, zaszłam do leśniczówki, meldując o ścięciu dwóch dębczaków na granicy naszego rewiru i wskazałam, dokąd ślad prowadzi. Leśniczy z gajowymi, między którymi był Zięba, pojechali na miejsce kradzieży. Musiałam wskazać im to miejsce, jechałam z nimi. Potem oni podążyli za śladem, ja zaś wracałam do domu. Były pierwsze roztopy, drogę miałam ciężką. Na roistach pod Mchową Górą, skacząc po kępach, zapadłam się w bagienku. Zmęczyłam się bardzo. Szłam wolno, odpoczywając po drodze. Na łączce, blisko już gajówki rwałam sobie pierwsze kaczeńce i ot z wielkiej radości, że to już wiosna, śpiewałam sobie coś głośno. Nagle usłyszawszy szelest, obejrzałam się. W odległości kilku kroków przedemną stał Zięba. Ukośną drogą zdążył mnie zaskoczyć. Był straszny i powiedział rzecz straszną i już nie wiem dokładnie jak to się stało, ale zerwałam strzelbę w mgnieniu oka, jak na widok wilka. On patrzył na mnie jak zwierz, podbiegł, wyrwał mi strzelbę z rąk, odrzucił i chwycił mnie wpół. Uderzyłam go w twarz, zaczęłam szamotać się gwałtownie. On coś belkotał. Okropny był! Jak to trwało długo,

HELENA MNISZEK

nie wiem, dość, że wysliznęłam się z tych plugawych uścisków, dopadłam do strzelby i wymierzyłam lufę na niego, odwiódłszy kurek błyskawicznie. Zaskrzeczał śmiechem i szedł do mnie ponury, patrząc z podełba i sycząc przez zęby bezczelne słowa. Ja cofałam się z bronią wymierzona na niego. Na szczęście byłam na brzegu brzeźniaka, tam równo i sucho. Cofałam się dość prędko z palcem na cynglu. Widział to doskonale. Zawołałam do niego, że gdy się zbliży, wystrzelę bez wahania. Gdy się nieco oddaliłam, on szedł wolno, patrząc wciąż na mnie, wtedy trzymając jedną ręką strzelbę, wymierzona do niego, drugą podniosłam trąbkę do ust. Zatrąbiłam krótki, gwałtowny alarm. Szłam dalej. W parę minut powstał harmider, wrzawa i szczek naszych psów, wypadły z lasu jak szalone. Wystarczył im mój widok, zresztą nie cierpiały Zięby. Rzuciły się na niego z zajadłością jak wściekłe. Strzelił do nich raz, drugi, trzeci, na szczęście nie trafił, bo już sam robił odwrót w poszarpanej odzieży i pokaleczony. Odwołałam psy, bojąc się o nie i jednym pędem znalazłam się ot tam, na brzegu naszej polany, gdzie spotkałam ojca biedaka. Chorym będąc, włókł się pomału na moje spotkanie. Mówił, że karmił właśnie psy na podwórku, gdy usłyszał alarm. Puścił psy i poszczuł. Podobno i tego nie było potrzeba, bo sfora cała jak opętana pognęła na głos trąbki, na ratunek. Opowiedziałam ojcu napaść. Wzburzył się i przejął tym niesłychanie, musiałam go uspokajać. Zaraz też parobczak pobiegł z listem do leśniczówki, ale zanim leśniczy nadjechał, stało się to nieszczęście. Zięba powrócił. Nie wiem, w jakich zamiarach, czyżby tylko w tym zbrodniczym? Wyszłam właśnie przed wieczorem z psami na porębę, tam oto zaraz za tym pagórkiem, żeby sprawdzić ilość pozostałego po zimowej zwózce drzewa. Patrząc, drepce prędko z górki do mnie babulka i przerażona macha na mnie ręką. Dopadłam. Co się stało? A ona tylko bez tchu woła:

— Ojciec! Zięba! Zięba!

POWOJENNI

Biegłam jak na skrzydłach. Ojciec stał w drzwiach domu, oczy miał błędne, straszne. Trzymał duży, okuty kij, którym machał w powietrzu. Memlał coś charczącym głosem, że nie mogłam zrozumieć. Zięby już nie było. Ojciec nareszcie krzyknął jakimś rykiem:

— Nie żyje Wacek! Nie żyje! On mówił, Zięba. Nie żyje!

Chwycił się za piersi, jęknął, zachwiał się. Podtrzymałam go, ale leciał mi przez ręce. Coś mówił, patrzył na mnie. Och, te oczy, te oczy! Raz jeszcze szeptał świszczący, potworny w bólu, który widocznie darł mu serce i rozszarpał je.

— Nie żyje! dawno, dawno, Wacek...

Coś krzyknął, czego ani ja, ani babulka nie zrozumiałyśmy i zwiśł nam w ramionach. Dowlokłyśmy go do izby, stęknął: Jezus... i wszystko się skończyło. — Tak jak sobie zawsze przepowiadał, tak się stało. Nie przeżył ciosu swego. Jedynym świadkiem rzuconej mi w oczy prawdy, była babulka. Opowiedziała mi i leśniczemu tę bezczelną napaść Zięby i te jego zabójcze słowa. Mam sobie za wyrzut gorzki, że nie potrafiła usposobić ojca tak, by ta wieść nie była obuchem. Chociaż nieraz dziwiłam się, że mógł wierzyć w powrót Wacława. Ostrożnie, ale stale zmierzałam do tego, by zbudzić w nim wątplenie. Wierzył święcie w powrót, a jednak Zięba wiarę tę zabił w nim odrazu i śmiertelnie. Ten Zięba był męczarnią całej zimy dla mnie i ojca. Mnie prześladował inaczej, ojca zaś ciągle truł tem, co starego najbardziej bolało.

— Może wiedział o zgonie Wacława? — spytał Jerzy.

— Nie wiem! ja z nim o tem nigdy nie rozmawiałam, o przykrościach zaś, doznawanych od tego okropnego człowieka, nie mówiłam nikomu. Wiem, że w nadleśnictwie miałabym pomoc i że Zięba straciłby posadę. Nie chciałam być przyczyną tego.

— Co się z nim stało?

HELENA MNISZEK

— Z Ziębą? Usunięto go zupełnie z tutejszych lasów. Nie wiem, gdzie jest. Zapewniono mnie, że Zięby mogę się nie obawiać. Jednakże od tej pory chodzę po lesie z psami, poprostu nerwowo nie mogę się bez nich ruszyć. Dalsze rewiry przejął na siebie leśniczy do pierwszego kwietnia, ale ponieważ pensję do tego czasu ojciec wybrał, zatem postanowiłam i obiecałam dotrwać na stanowisku.

— Trwała tu droga pani aż za długo i tak dzielnie, tak pracowicie. Nadleśniczy mówił mi o pani ze wzruszeniem, ma dla pani szacunek i podziw.

Dada pokraśniała z radości.

— On był dla mnie jak ojciec i oni wszyscy leśniczowie i moi koledzy gajowi — uśmiechnęła się — dawali mi dużo dowodów serdecznej życzliwości, poparcia, służyli radą, bardzo często pomocą. Zacni i kochani ludzie, nie zapomnę o nich nigdy.

Jerzy ujął rękę Dady i podniósł ją do ust. Ucałował gorąco.

— Jestem jednakże szczęśliwy, że mogę panią wyrwać stąd, że mogę panią zabrać do innego życia.

Dada patrzyła w jego oczy chmurką błękitną. Na czole białem zarysowała się pionowa zmarszczka myśli.

— Ale jakie ono będzie to moje życie? Boję się patrzeć w przyszłość. Dawniej miałam tyle cudnych marzeń, snów, nic się nie ziściło, nic! wszystko na opak.

— Pani Dado, nie wolno tak mówić, mając w sobie tyle młodości, piękna, uroku. Niech mi pani nie wyrywa ręki! Chcę ją mieć i mieć panią nareszcie, przy sobie i...

Młoda kobieta zerwała się z miejsca. Zatrzepotała jakoś dziwnie jedną dłonią około swej twarzy, druga ręka była uwieczona w silnym uścisku Jerzego.

— Nie, nie! nic nie mówmy o przyszłości, ona mnie niepokoi!

Jerzy wstał.

— Pani Dado!

POWOJENNI

Ale ona cała w ognjach, zapytała nagle zupełnie innym głosem:

— Czy nadleśniczy wie, że Wacław nie żyje?

Strzelecki zsunął brwi, cień padł mu na twarz.

— Wie odemnie.

— Czy poznał pana?

— Tak, przypomniałem mu się, poznał z trudem ranego pacjenta pani. Był bardzo uprzejmy. Ale odczułem, że stanowisko moje wobec pani trochę go zastanawia. On uważał się tu poniekąd za opiekuna pani. Mówił mi, że domyślał się, iż Wacław zginął i los pani obchodził go żywo.

— Tak, zacny człowiek, był dla mnie bardzo dobry — szepnęła Dada. — Ale ten stary purytanin — zaważała się.

Jerzy zrozumiał.

— Właśnie nastąpiła taka jedna chwila, że uważałem za stosowne pokazać mu list pani Teresy Pobożyny, zapraszający panią do Uchań. To zrobiło doskonałe wrażenie.

W oczach Dady błysnęła radość, rozpromieniła się cała jak zorza.

— Dziękuję panu. Pan jest najzacniejszy z ludzi i kochany.

Nagłym ruchem objęła rękoma Jerzego za szyję i gorące usta przycisnęła do jego twarzy.

— Odnalazłam w panu jakby mego brata Zycha. —

Pod żarem jej ust, Jerzy zapłonął, chciał ją zamknąć w ramionach, nagle zadrżał, ostygł.

— Brata?? Pani Dado!

W jego głosie było tyle wyrazu, że młoda kobieta zmieszala się. Odsunęła się i spłoszonym wzrokiem, patrząc w jego wymowne, chmurne źrenice, odrzekła prędko, przycisnąwszy palce do skroni:

HELENA MNISZEK

— Tymczasem tak! tymczasem! Bo widzi pan! Nie tu! gdzie byłam z tym, z tym nieszczęsnym! Och, nie tu! Ja sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Taki strach! i szczęście i męka. Ale ja, ja, pana, serdecznie Kocham, tylko...

Wtem psy zerwały się z hałasem. Dada krzyknęła w podnieceniu:

— Pan nadleśniczy jedzie!

Pędem pobiegła naprzód w stronę domu. Jerzy szedł za nią i patrzył na nią przez jakieś purpurowe łuny, które nagle rozpały się w jego źrenicach.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.